

Judith O'brien

Medium

The Forever Bride

Przełożyła Zuzanna Maj

Prolog

Noc była cicha i spokojna, a powietrze przesiąknięte zapachem świeżej zieleni i rozwijających się pączków. Chociaż nie było pełni, jasny sierp księżyca oraz iskrzące się w ciemnej nocy gwiazdy dostarczały wystarczająco dużo światła. Nie potrzebował latarki — leżała schowana głęboko w torbie.

Kierował się w stronę niezwykłego domu, znajdującego się już poza miastem i poza ruchliwymi, dobrze oświetlonymi ulicami, na południe od Grand. Dom położony był daleko od centrum, trochę powyżej Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy, blisko starej Treadwell Farm, w okolicy rozpadających się budynków gospodarczych i wolno biegającego żywego inwentarza. Mimo nieciekawego położenia, siedziba miała własne oświetlenie gazowe oraz bieżącą wodę. Było to udoskonalenie wprowadzone przez samego właściciela. Zbiornik gazu znajdował się w urokliwej, nieużywanej od dawna altanie na tyłach domu, a rura doprowadzająca wodę ciągnęła ją wprost ze starej studni.

Choć czekało go ważne zadanie, nie mógł powstrzymać się od uczucia podziwu dla prostego piękna domu, który miał przed oczami. Czysta forma tego dużego, kilkunastopokojowego domostwa przemawiała do jego poczucia estetyki. To był naprawdę piękny dom, nieskazitelny w swojej urodzie, uwypuklonej jeszcze przez przyćmione światło nocy.

Tak jak przewidział, jedyne oświetlone okno znajdowało się w jej pokoju. W sypialni młodej kobiety, która niedawno przybyła z Londynu.

Była tam sama, zupełnie sama.

Torba z grubego płótna wydała mu się nagle bardzo ciężka. Zacisnął ręce tak mocno, że aż zbieleły mu nadgarstki.

Wiedział, co ma zrobić, więc ruszył zdecydowanie do przodu. Nie obawiał się niczego, bo zadbano o to wcześniej. Wszyscy sąsiedzi, choć mieszkali stosunkowo daleko, zostali wywabieni z miasta. Sam brał udział w wysyłaniu sprytnie sfingowanych listów, dzięki którym okoliczni mieszkańcy udali się w odwiedziny do mieszkających w innych miejscowościach krewnych. Wszystko szło po jego myśli.

Teraz należało jedynie przypiąć do drzwi kartkę z ostrzeżeniem. Kiedy to zrobił, sięgnął ponownie do torby i zaczął przygotowywać....

Gwałtowny wybuch i ognista fala ciepła zwały go z nóg. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła z wypadających szyb okiennych.

Co to było? Zdumiony, podniósł się z trudem. Jego torbę zdążył już strawić ogień.

Popatrzył na dom.

Płomienie buchały z czarnych okien niczym monstrualne węże.

Stał tam oszołomiony, aż nagle usłyszał dźwięk. Krzyk. Wołanie przerażonej kobiety.

Co miał w takiej sytuacji zrobić? Nic takiego nie powinno się było wydarzyć! To miało być wyłącznie ostrzeżenie, i to wszystko!

Nagle w oknie na piętrze ukazała się okropna zjawa. Zobaczył jej szczupłą sylwetkę, rozświetloną jak gdyby — przez słońce, jej uniesione w powietrzu ręce i rozrzucone włosy, które przypominały włosy płynącej syreny. Potem wszystko zamarło. Zapanowała przerażająca cisza. Zniknęła również roztańczona syrena. Wszędzie widać było tylko płomienie.

Postanowił uciec jak najdalej od tego miejsca. Nie mógł się jednak ruszyć. Był wrośnięty w ziemię, zupełnie jak stojące przed domem drzewa.

Chciał krzyknąć, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Słyszał tylko trzask płomieni, łoskot rozpadających się mebli i szkła we wnętrzu domu.

Później, jak zwykle, obudził się zlany potem, z walącym sercem, które podchodziło mu do gardła.

Rozejrzał się po pokoju. Leżał w swoim miękkim łóżku, wśród pościeli obleczonej w pachnące poszewki.

Z trudem starał się złapać oddech, nie zapalił jednak lampy. Wkrótce znowu zaśnie, tak jak każdej nocy od zeszłej wiosny.

Od nocy, kiedy zabił Amandę O'Neal Stevens.

W pokoju z zasłoniętymi szczelnie oknami czekały na przybycie ducha.

— Czy jest pani przygotowana na spotkanie z mężem? Wdowa skinęła potakująco głową, obracając nerwowo cienką srebrną obrączkę.

— Nie wiem, co powiedzieć — wyszeptała z nikłym uśmiechem. — Byliśmy małżeństwem przez osiem lat, a teraz nie wiem, co mam powiedzieć.

Celia Thomason ujęła rękę młodej wdowy.

— Rozumiem panią, pani Jenson. Ale pani mąż będzie tym samym człowiekiem, będzie miał taki sam charakter jak przed śmiercią. Nie powinna się pani niepokoić.

— Czy ludzie nie zmieniają się na lepsze? — Pani Jenson westchnęła. — To znaczy, czy po śmierci nie robią się łagodniejsi i może mają więcej bojaźni bożej?

W chłodnym mroku frontowego pokoju, gdzie ciężkie zielone zasłony nie przepuszczały popołudniowego słońca, wyciszając szybkie kroki przechodniów i odgłosy przejeżdżających konnych omnibusów, Celia zauważyła we włosach wdowy srebrne pasma. A przecież pani Jenson była od niej młodsza, więc nie mogła mieć nawet trzydziestu lat.

Miała zmęczone oczy starej kobiety i zaciśnięte blade wargi. Dla kogoś, kto ciężko pracował przez całe życie, a teraz znalazł się w jeszcze trudniejszej sytuacji, wiek nie miał wielkiego znaczenia.

Kilka miesięcy wcześniej jej mąż zginął w okropnym wypadku. Był dokerem i wyładowywał wielkie worki z kawą, z których każdy ważył setki funtów. Nie zorientował się, że najwyżej położony pakunek leży bardzo niestabilnie, i kiedy się potknął, wór przygniótł go całym ciężarem. Zostawił żonę z trójką dzieci prawie bez grosza.

Zebrawszy resztkę pieniędzy, pani Jenson wybrała się do Celi Thomason, znanej jako medium pośredniczące między światem rzeczywistym a światem duchów, aby zasięgnąć rady u swego zmarłego męża. Całe miasto wiedziało o niezwykłych zdolności panny

Thomason. W czasach kiedy seanse spirytystyczne odbywały się w naprędce rozstawionych namiotach, a ich organizatorzy, po zainkasowaniu pieniędzy, zwijali je i uciekali przed nastaniem świtu, Celia Thomason była solidną, trwałą instytucją. Pracowała w szacownym domu swojej ciotki, tuż przy Washington Square, i już od prawie czterech miesięcy urzędowała seanse spirytystyczne. Jej atutem była stabilność i długi staż pracy.

— Czasem dusze rzeczywiście łagodnieją po śmierci. Niech pani teraz zamknie oczy, pani Jenson — poleciła Celia. Po chwili wahania kobieta zastosowała się do jej polecenia. — Musimy myśleć o pani mężu, o najlepszych cechach jego charakteru. Niech pani sobie przypomni jego uśmiech.

Wdowa przechyliła głowę, a po chwili potrząsnęła nią przecząco.

— Prawdę mówiąc, Hiram nie uśmiechał się zbyt często. A kiedy to robił, to od razu wiedziałam, że znów pociągał z kieliszka.

— Rozumiem. — Celia poklepała ją po ręce. — To niech pani sobie wyobrazi czułość, jaką okazywał waszym dzieciom.

Pani Jenson wychyliła się do przodu, marszcząc w skupieniu czoło. Minuty upływały, a ona nadal szukała czegoś w pamięci. Wreszcie westchnęła.

— Panno Thomason, żebym nie wiem jak się starała, nie mogę sobie przypomnieć takich chwil. Biedny Hiram okropnie cierpiał na kolkę wątrobową i uważał, że dzieci potęgują jego cierpienia, hałasując i łobuzując.

— Rozumiem. To niech pani pomyśli o jego czułych uczuciach dla pani. Kiedy się do pani zalecał, kiedy był romantycznym, zakochanym młodym człowiekiem...

Wdowa potrząsnęła tylko głową, mając oczy nadal zamknięte.

— On nigdy zanadto nie przejmował się czułością, panno Thomason, ani romantycznością. Myślałam, że to przyjdzie po ślubie, no... ale... Wszystko, co przyszło, to dzieci. Nie, Hiram miał wiele dobrych cech, ale nie można go było nazwać czułym mężczyzną.

— To niech się pani skupi na jego zaletach. Niech pani o nich kolejno pomyśli.

Wdowa energicznie skinęła głową, ale po chwili na jej twarzy ukazał się wyraz zwątpienia.

— Muszę się zastanowić — zaczęła.

— Jako ojciec rodziny? — podpowiedziała Celia. — Na pewno dbał o to, żeby niczego państwu nie zabrakło.

— Hiram mógł zabezpieczyć byt rodzinie, gdyby się do tego przykładał — powiedziała cicho wdowa. — Ale on nie zanadto się tym przejmował. Ileż to razy musiałam wyjmować mu w nocy pieniądze z kieszeni, kiedy wracał do domu po... — Nawet w ciemnym pokoju widać było, jak się czerwieni. — Mówił, że po ciężkim dniu pracy mężczyźnie należy się kieliszek czegoś mocnego, albo i dwa. Więc wyjmowałam te monety, aby dołożyć do pieniędzy ze sprzedaży jajek. Ja handluję jajkami i czasem masłem, pani rozumie, ale coraz częściej musiałam liczyć tylko na pieniądze zarobione w ten sposób.

— No tak. — Celia uścisnęła jej rękę. — To niech pani pomyśli o nim w kościele, jak stoi przy pani i dzieciach i... Czy coś się stało?

— Muszę pani powiedzieć, panno Thomason, że przypominam sobie Hiramą w kościele tylko raz, kilka miesięcy temu.

— To niech pani o tym pomyśli! — zawołała Celia z ulgą. — Niech pani pomyśli o nim...

— To było na jego pogrzebie.

— Och!

— Ale muszę przyznać, że był wtedy bardzo przystojny, w czystej koszuli i w ogóle.

— Na pewno. No więc, czy tak by pani chciała go sobie wyobrazić?

— Chyba tak. — Przygryzła wargę. — Miał ładną, czystą koszulę. Był tak dobrze ogolony, że twarz aż mu błyszczała. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek miał takie czyste paznokcie.

— Więc wyobraźmy sobie pana Hiramą czystego i ogolonego, dobrze?

Wdowa skinęła potakująco i jeszcze mocniej zacisnęła powieki, starając się skupić.

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu. Do pokoju docierały stłumione odgłosy hałasu ulicznego. Pani Jenson sprawiała wrażenie odprężonej, przyzwyczaiła się do siedzenia z zamkniętymi oczami, w cudzym salonie, z miękkim dywanem pod stopami i gładkim mahoniowym stołem, na którym trzymała dłonie.

— Teraz będę wzywać moich pośredników, którzy skontaktują nas z duchami — powiedziała Celia. — Mam nadzieję, że pomogą pani porozumieć się z mężem. Czy jest pani gotowa, pani Jenson?

Wdowa skinęła głową.

— Tak. Tak mi się wydaje.

— To dobrze. Niech pani nie otwiera oczu, a ja będę się przedostawać na tamtą stronę.

Zapanowała długa cisza. Kiedy wreszcie Celia przemówiła, jej głos był bardzo zmieniony, głęboki i monotony, o sztucznym brzmieniu, jak gdyby napędzał go jakiś mechanizm.

— Duchy się teraz gromadzą. Przyprowadziły też jego, pani męża...

Wdowa podskoczyła na krześle.

— Czy on jest tutaj? Czy jest w tym pokoju?

— Tak. Tak. Duchy mówią, że tak — powiedziała Celia tym samym dziwnym głosem.

— Przyszedł, żeby pani pomóc.

— Czy pani go widzi?! — zawołała pani Jenson. — Czy mogę spojrzeć?

— Nie. Niech pani teraz nie patrzy. Ale on jest tu, przy pani, i duchy mówią, że jest pełen czułości i miłości.

— Hiram?

— Tak. To jest Hiram.

— Przepraszam cię za te buty, Hiram! — odezwała się wdowa, miętosząc w rękę chusteczkę z czarną lamówką. — Proszę cię, nie gniewaj się. Chcę się tylko upewnić, że się nie gniewasz, że nie będziesz straszył mnie ani dzieci. Te buty to nie była nasza wina!

— Ależ on się nie gniewa! — wykrzyknęła Celia. — Nie. Chce pani powiedzieć, że jest zadowolony. Chwileczkę powiedziała Celia, powracając do mechanicznego głosu medium. Po dłuższej przerwie, robiąc wrażenie, że wsłuchuje się w głosy duchów, powiedziała: — On jest bardzo zadowolony z tych butów.

— Zadowolony? Z butów? — W głosie wdowy brzmiało powątpiewanie. Zesztywniała, otworzyła oczy i zaczęła rozglądać się po salonie. — A gdzie on jest? Ja go nie widzę. Byliśmy osiem lat małżeństwem, panno Thomason. Dlaczego nie mogę go zobaczyć?

Celia miała nadal nieruchomą twarz i szeroko otwarte oczy.

— Duchy mówią, że nie była pani wystarczająco na to przygotowana. Ale proszę się nie obawiać. Pani mąż wkrótce skomunikuje się z panią.

Wtedy dał się słyszeć jakiś dźwięk, początkowo niezbyt głośny. Wdowa rozejrzała się po przyciemnionym pokoju, spojrzała w kierunku kanapy, fotelików i stolika. Ich ciemne drewno potęgowało wrażenie nastroju melancholii. Spojrzała również na pusty, mimo listopadowych chłódów, pozbawiony ognia kominek. Klienci panny Thomason byli informowani, że trzask ognia na kominku zakłóca jej porozumienie z duchami i dlatego w czasie seansów nigdy w nim nie palono.

Wreszcie pani Jenson zlokalizowała źródło tych dźwięków. Stojący na kominku filigranowy biało–niebieski wazon kołysał się rytmicznie w przód i w tył. Spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami.

— Co to jest?

— To jest Hiram.

Wdowa otworzyła usta ze zdziwienia.

— Co on robi? Jakie ma zamiary? — spytała cichym głosem.

— Chce, żeby pani wiedziała, że jest tutaj.

Wdowa przełknęła ślinę, nie odrywając oczu od wazonu. Nagle wazon spadł z kominka, rozbijając się na drobne kawałki.

— Och, mój Boże! — Młoda wdowa zerwała się na równe nogi. W tej samej chwili leżące na krześle skrzypce przesunęły się do przodu, jak gdyby miały zamiar powstać i zejść z krzesła. Leżący obok smyczek zaczął się niespokojnie obracać i wreszcie dotknął strun. Rozległ się zgrzytliwy dźwięk. Celia złapała wdowę za rękę, aby uniemożliwić jej ucieczkę.

— Proszę mnie puścić! — wrzasnęła. Chciała wyrwać rękę, ale Celia przytrzymała ją mocniej.

Wdowa zatrzymała się, nad słuchując. Powoli wyraz paniki na jej twarzy ustępował miejsca zdziwieniu.

— Panno Thomason, to była ulubiona melodia Hiram. Nie wiem, co to jest, ale tę

właśnie melodię gwizdał, kiedy wracał w nocy do domu.

— On chce pani przekazać wiadomość— spokojny, autorytatywny głos Celi zagłuszał teraz niezdecydowane tony skrzypiec.

Pani Jenson oderwała na chwilę wzrok od instrumentu, z szeroko otwartymi oczami i zmarszczonym czołem patrzyła w przestrzeń. Potem obejrzała się nerwowo na wszystkie strony, jak gdyby oczekując, że wydarzy się coś niemiłego.

Celia nie zwracała uwagi na zachowanie swojej klientki, znała te objawy bardzo dobrze. Widywała ten sam błędny wzrok i nagłe zeszywnienie zarówno u młodych, jak i starych kobiet. U tych należących do dobrego towarzystwa, ale także u mieszkanek dalekich przedmieść. Pozycja społeczna nie miała na to żadnego wpływu. Wszystkie reagowały jednakowo, bez względu na to, kim były i w jakich warunkach przyszło im żyć.

Jak wiele innych kobiet, i ta młoda wdowa bała się swojego męża po śmierci tak samo, jak bała się go za życia.

— Co? Czego on chce? — Spracowana dłoń pani Jenson drżała.

Celia uśmiechnęła się. Porzucając mechaniczny głos medium, odezwała się własnym ciepłym głosem.

— On chce, żeby pani była szczęśliwa — powiedziała.

— Hiram? Jest pani pewna, że rozmawia pani z właściwym duchem?

— On mówi, że jest mu przykro, bardzo przykro, że sprawił pani tyle cierpienia.

— Tak mówi? — spytała nieufnie wdowa.

— Chociaż rzadko dawał temu wyraz, kochał panią, pani Jenson, i wasze dzieci. Bardzo was kochał. I był dumny z tego, jak dobrze radziła sobie pani ze sprzedażą masła i jajek.

— Naprawdę? — Wdowa opadła z powrotem na krzesło. — Nigdy mi nic podobnego nie mówił.

— Dlatego teraz chce pani o tym powiedzieć. Jest jeszcze inna sprawa. Coś, co on chce pani bardzo pilnie przekazać. Chce, żeby pani powtórnie wyszła za mąż. Jest taki mężczyzna...

— Nie! To nieprawda! Zawsze byłam wierna Hiramowi.

— Oczywiście! On o tym wie, pani Jenson! Zawsze o tym wiedział. Ale uważa, że może

pani być szczęśliwa z...

Celia zamknęła swoje duże, głęboko osadzone oczy. Nie odzywała się, jak gdyby czekała, aż zjawa poda jej nazwisko. Potem z wolna uniosła powieki i spojrzała wdowie prosto w oczy.

— On chce, żeby pani wyszła za mąż za człowieka, który nazywa się John Tudlow.

Cała krew odpłynęła z twarzy pani Jenson. Siedziała ze zbielełymi wargami, dotykając policzka drżącymi palcami, jakby się chciała upewnić, że to wszystko prawda.

— Pan Tudlow jest właścicielem farmy mleczarskiej w Brooklynie — szepnęła. — Był zawsze bardzo dobry dla mnie i dla dzieci. Płacił za jajka więcej, niż były warte. Nauczył Setha, mojego najstarszego syna, rzeźbić w drewnie. — Wydawało się, że mówi to wszystko do siebie. Był naprawdę bardzo dobry dla nas.

— Pani mąż mówi, że powinna go pani poślubić. On będzie opiekować się panią i dziećmi.

Pani Jenson siedziała nieruchomo, odzyskując powoli rumieńce na twarzy. I po raz pierwszy tego popołudnia może po raz pierwszy od bardzo dawna — uśmiechnęła się.

— Czy Hiram oszalał?

— Ależ skąd. On chce, żeby pani była zadowolona i żeby dzieci miały dobrze. On bardzo tego pragnie.

— Pan Tudlow. — Wdowa uśmiechnęła się, potem zachichotała jak młoda dziewczyna i nachyliła się do Celi. — On jest bardzo przystojny, znaczy pan Tudlow. Nie wyzywająco przystojny, tylko spokojny i miły. Ślubował też wstrzemięźliwość. Stroni od wszelkich spirytualiów.

— Nic spirytualistycznego, pani Jenson? To niech mu pani lepiej nie wspomina o wizycie u mnie. — Skrzypce leżały teraz spokojnie na krześle i w salonie panowała cisza.

Pani Jenson spojrzała pytająco na Celię, a po chwili uśmiechnęła się znowu.

— Już rozumiem. To był dowcip. Spirytualistyczny i spirytystyczny!

— Pani Jenson. — Celia robiła wrażenie zadowolonej. Jestem przekonana, że wszystko się dobrze ułoży.

Wdowa wstała z krzesła i zaczęła rozglądać się po pokoju.

— To jest piękny salon, panno Thomason. Naprawdę bardzo piękny. Zawsze chciałam mieć zasłony w oknach. Może już niedługo, naprawdę niedługo. — Wyprostowała się i otworzyła małą, zamykaną na rzemyki torebkę, którą miała przywiązaną do nadgarstka. — Nie mam wiele, ale tutaj mam wszystkie pieniądze, jakie...

— Nie — cicho powiedziała Celia. — Proszę, niech pani je zabierze. Ja nie chcę od pani żadnych pieniędzy, pani Jenson.

— Słucham?

— Proszę. Niech je pani zatrzyma dla siebie i dla dzieci. Może będzie pani mogła kupić sobie ładny nowy kapelusz, a może te zasłony.

— Ale ja myślałam...

— To nieważne, co pani myślała. — Celia zawiązała rzemyki i odsunęła torebkę. — Proszę tylko pamiętać, że zasługuje pani na to, żeby być szczęśliwą, i jeśli tak się stanie, będzie to wystarczająca nagroda dla mnie i dla pani zmarłego męża.

Celia ujęła zdumioną panią Jenson pod łokieć i wyprowadziła ją z salonu do przedpokoju. Kiedy otworzyła drzwi i owiał je zimny podmuch jesiennego wiatru, pani Jenson zatrzymała się nagle. Na Washington Square wiatr poruszał liśćmi drzew, lśniącymi miedzią i złotem. Bawiące się w kole dzieci trzymały się za ręce, śmiejąc się i śpiewając. Kobieta i mężczyzna, których wiek trudno było określić, stali na końcu placu, nachyleni ku sobie. Mężczyzna ujął rękę kobiety i podniósł ją do ust.

Wdowa obrzuciła Celię pytającym spojrzeniem i nagle uśmiechnęła się. —

— Niech panią Bóg błogosławi, panno Thomason.

, Ucisnęła jej rękę, a po chwili wahania niezgrabnie objęła swoim chudym ramieniem.

— Niech panią błogosławi. — Potem, speszona, zbiegła po schodkach na ulicę, nie oglądając się; przytrzymując kurczowo końce swojego czarnego szala, odeszła z podniesioną głową.

Celia patrzyła za przechodzącą przez plac panią Jenson i zastanawiała się, czy jeszcze ją kiedyś zobaczy, czy też przeniesie się ona w okolice Brooklynu i rozpocznie — szczęśliwie nowe życie.

Stojąca na schodach murowanego domu Celia Thomason była osobą, która zwracała na

siebie uwagę. Jej wygląd irytował ciotkę Prudence, która bardzo chciała, żeby siostrzenica wyrosła na ponętą, niską, pulchną kobietkę, zaokrągloną tam gdzie trzeba i z blond loczkami. Ciotka Prudence, dziwnym przypadkiem, właśnie tak wyglądała w młodości.

Lecz Celia, która mieszkała z ciotką od ósmego roku życia, wyrosła na szczupłą, wysoką młodą kobietę, z gęstymi rudomiedzianymi włosami i piwnymi oczami, które robiły wrażenie zbyt dużych i zbyt rozumnych u dwudziestosześcioletniej panny. Ten niemodny wygląd był niewdzięcznym aktem buntu ze strony Celi. I wcale nie było prawdą, że nie można było nic z tym zrobić. Żeby naprawić, a przynajmniej złagodzić tę okropną sytuację, ciotka Pru starała się namówić Celię, aby spała w papilotach, garbiła się, by ukryć swój wzrost, i używała poduszek z końskiego włosia lub gumowych nakładek na biodra, aby zaokrąglić figurę.

— Masz taką cienką talię — wzdychała ciotka. — Ale jak można zauważyć ją bez żadnej pomocy? Traktuj pogrubianie jak znaki drogowe, moja droga. Żeby mężczyzna wiedział, gdzie ma patrzeć.

— Och, ciotko Pru, jeżeli do tej pory nie wiedzą, gdzie patrzeć, to już ich sprawa. A ja nie chcę być ludzką mapą drogową.

Według opinii ciotki Pru, jeśli Celia będzie nadal wysoką i wiotką istotą, to pozostanie nieszczęśliwą starą panną. Ciotka nie wiedziała jednak, że Celia postanowiła nie wychodzić za mąż. Jej doświadczenia ostatnich miesięcy potwierdziły jedynie to, co już od dawna podejrzewała, że małżeństwa bardzo rzadko są szczęśliwe. Jeśli żaden mężczyzna nie będzie jej chciał poślubić takiej, jaka jest, to tym lepiej dla niej.

Jednak mimo niemodnej figury, otrzymała propozycje małżeństwa od kilku mężczyzn. Przeważnie byli to wdowcy z całą bandą nieznośnych dzieciaków. Celia dobrze wiedziała, że żona jest mniej kosztowna niż gosposia czy guwernantka. A po ślubie żonie trudniej jest opuścić dom niż płatnej pomocy. Nie, nie widziała nic atrakcyjnego w instytucji małżeństwa. Może było to dobre dla innych kobiet, ale nie dla niej.

Wróciła do domu, zamykając za sobą drzwi. A jednak coś dobrego wynikło z tej ostatniej sesji, pomyślała. Biedna kobieta może zaznać trochę szczęścia. Ta myśl wydała jej się pocieszająca.

Po wejściu do salonu odsunęła jedną z ciężkich zasłon, wpuszczając przez okno przymglone światło. Pokój natychmiast stracił swój ponury charakter i nabrał przytulnego wyglądu.

W kominku rozległ się jakiś szurgot, ale Celia zajęta była przywiązywaniem zasłon i nie odwróciła głowy, kiedy w otworze kominowym ukazała się noga w potężnym bucie. Noga zawisała w powietrzu, wykonując skręty i wznecając kurz; po chwili dołączyła do niej druga noga.

— Panno Thomason? — rozległ się przytłumiony męski głos, dudniący tak, jakby dochodził z dużej odległości. Może mi pani pomóc?

Celia obróciła się do kominka dopiero wtedy, kiedy uznała, że zasłony są wystarczająco ładnie podpięte.

— Oczywiście, Patryku. — Widok dwóch stóp wiszących w czeluściach kominka był tak absurdalny, że Celia roześmiała się. Pociągnęła mocno za zwisające buty i po chwili Patryk Higgens wślizgnął się do salonu.

— Przepraszam, panienko. — Patryk strzepywał kurz z pleców. — Czy klientce podobało się dzisiejsze przedstawienie?

— Tak, było bardzo dobre — mruknęła Celia.

W chwilę potem rozsunęła się kotara za krzesłem, na którym leżały skrzypce. Wyłoniła się głowa pokryta siwymi loczkami i uśmiechnięta twarz ciotki Prudence.

— Ile dostaliśmy, moja droga? To było warte pięć dolarów.

— O wiele więcej! Co najmniej dziesięć — stwierdził Patryk, krzyżując ramiona na piersi. Był to silnie zbudowany chłopak, o twarzy pokrytej piegami. — To była właściwa melodia, prawda panno Thomason?

— Tak. To była odpowiednia muzyka, Patryku. Przynajmniej tak uważała pani Jenson, a o to przecież chodziło. Dziękuję ci.

— Nie byłem tak bardzo pewien, panienko. Mój informator powiedział, że była to ulubiona melodia Hirama Jensa, ale oni słyszeli ją tylko wtedy, kiedy śpiewał ją razem z tą swoją kochanką. Ta piosenka nazywa się *F'oklep po...* — Patryk zaczerwienił się. Przykrył usta kufakiem i odchrząknął. — Pomyślałem więc, że może jego żona nigdy nie

słyszała tej piosenki. A jednak słyszała. Pewnie nie znała słów, ale melodia spełniła swoje zadanie.

— Patryku, byłeś wspaniały! — Ciotka Pru poklepała chłopaka po plecach. — A ta sprawa z właścicielem farmy mlecznej? To niezwykle szczęśliwy traf, że udało ci się podsłuchać jego rozmowę z przyjacielem o małżeństwie z wdową Jenson. Byłeś po prostu wspaniały!

Patryk i ciotka Pru patrzyli na siebie z zadowoleniem, ciesząc się ze swojego sukcesu. Celia starała się cicho wymknąć z salonu.

— Celio? — zawołała ciotka Pru. — Ile na niej zarobiliśmy?

— A więc... — zaczęła Celia, unikając ich wzroku.

— Ile? — ponowiła pytanie ciotka Pru. Celia nie odpowiadała.

— Ona to znowu zrobiła, pani Cooper — wycedził Patryk przez zaciśnięte zęby. — Ona to znowu zrobiła.

— Celio — głos ciotki Pru brzmiał oskarżycielsko. Celia wzruszyła ramionami.

— Ona jest biedną wdową, obarzoną dziećmi.— Nie śmiejąc spojrzeć im w oczy, zaczęła przesuwając kryształową karafkę na małym stoliku i ścierać z błyszczącego szkła niestniejący pył. — Oni mieszkają koło Five Points, na skraju tej okropnej dzielnicy, gdzie grasują bandy złoczyńców i włóczą się świnię.

Odpowiedziała jej cisza. Celia zrozumiała, że jej tłumaczenie nie wywarło żadnego wrażenia.

— Ona jest biedną wdową, obarzoną dziećmi — powtórzyła.

— Niedługo przestanie być biedną wdową. Teraz liczy na tego właściciela farmy mleczarskiej w Brooklynie, na którego została przez nas subtelnie nakierowana. Już to samo jest warte zapłaty. — Ciotka Pru położyła ręce na swoich obfitych biodrach, obciążonych czarnym adamaszkiem. — Doprawdy, Celio, co ty sobie wyobrażasz? Już po raz piąty w tym tygodniu odmówiłaś przyjęcia zapłaty od naszych klientów.

— I pomyśleć tylko o tej całej pracy, która poszła na marne. — Patryk potrząsnął głową. — I o mnie, który siedzi w tym ciemnym, zimnym kominie i trzęsie wazonem.

— Ale nie wszystko poszło na marne, nie rozumiesz tego? Ta biedna kobieta całe życie

harowała. Teraz uspokoi się i znajdzie zadowolenie. Jej dzieci nareszcie będą zadbane, te dzieci, które do tej pory nie znały niczego poza głodem i strachem. Ona nigdy nie odważyłaby się spróbować szczęścia, gdyby jej nikt do tego nie zachęcił. Czy to nie jest wystarczająca zapłata?

Wyraz twarzy Patryka i ciotki Pru mówił wyraźnie „nie”, to nie była wystarczająca zapłata. Patryk jeszcze raz potrząsnął głową i wyszedł z pokoju, mamrocząc coś po celtysku. Ciotka Pru odczekała chwilę, zanim zwróciła się do siostrzenicy.

— Nie możemy żyć powietrzem, moja droga — powiedziała. — Kiedy żył twój wujek, niech spoczywa w spokoju, byliśmy w tej luksusowej sytuacji, że nie musiałyśmy się martwić o jutrzejszy posiłek. Ale teraz, Celio, wszystko się zmieniło. Chociaż twój wuj pozostawił nam ładną sumkę, musimy co nieco do niej dodawać, aby utrzymać dom.

Celia kiwała głową, ale jej twarz pozostała bez wyrazu. Ciotka kontynuowała monolog o odpowiedzialności i o ich wspólnej przyszłości. W ciągu ostatnich kilku miesięcy doprowadziła tę mowę do perfekcji, więc teraz wygłaszała ją bez zajknięcia, akcentując tylko niektóre kwestie gestami rąk i smutnym potrząsaniem głową.

Celia słuchała w milczeniu. Biedna ciotka Prudence nie miała pojęcia, że ich położenie było rzeczywiście okropne. Tak, wuj James, najmilszy i najsympatyczniejszy człowiek, skutecznie chronił je przed pieniężnymi kłopotami. Utrzymywał je w zupełnej nieświadomości finansowych realiów. Kiedy pielęgnowały go w jego długiej i ciężkiej chorobie, czasem chwycił rękę Celi i chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Niestety, Celia wkrótce dowiedziała się, co wuj chciał jej przekazać. Informację tę otrzymała nie od tego łagodnego człowieka, jakim był James, ale od trzech grubiańskich mężczyzn, którzy pojawili się już w dniu jego pogrzebu.

Mieli do powiedzenia tylko tyle, że w ostatnich latach swego życia wuj James pożyczał bardzo dużo pieniędzy. Według tego, co mówił najgroźniej wyglądający z tych trzech rzezimieszków, potężny facet z nosem jak kartofel, wuj James uprawiał hazard. Trzymał zakłady zarówno w kwestiach międzynarodowych (założył się, że Anglia będzie kolejnym stanem), jak i lokalnych (że kogut Jeba Hankinsona nauczy się mówić).

Niestety, wuj James nie był rozważnym graczem, więc wkrótce uzależnił się od trzech podejrzanych typów, którzy pożyczali mu pieniądze na dom, opłacenie służby, a przede wszystkim na utrzymanie w nieświadomości jego ukochanej Prudencji.

Skutkiem tego mienie wuja Jamesa zostało obciążone. Jeśli jego rozliczne długi nie zostaną całkowicie zwrócone do piętnastego grudnia — spłacone przez ciotkę Pru oraz Celię— obie kobiety pozbawione zostaną środków do życia. Aby spotęgować wrażenie, jakie zrobił, mężczyzna z nosem jak kartofel pomachał przed oczami Celi notarialnym aktem własności domu.

Szukały tego aktu jeszcze przed śmiercią wuja. Teraz Celia zrozumiała, dlaczego nie mogły go znaleźć.

O ile informacja ta była szokiem dla Celi, która nie dopuściła, aby rozmowa doszła do uszu ciotki Pru, to prawdziwe zaskoczenie wywołała wysokość pożyczonej sumy.

Do połowy grudnia miały oddać dwadzieścia jeden tysięcy dolarów. Gotówką. Jeden z tych obrzydliwych typów pokazał jej kontrakt, podpisany niewątpliwie autentycznymi zawijasami wuja Jamesa. Wyrażał zgodę na spłatę tej sumy plus pięćdziesiąt procent odsetek rocznie.

Był listopad i Celi nie pozostał już nawet miesiąc na znalezienie dwudziestu jeden tysięcy dolarów.

Jeśli nie znajdzie sposobu na spłacenie tej sumy, to wszyscy domownicy — począwszy od służących i ich 1 rodzin, a skończywszy na Celi i ciotce Prudence — zostaną 1 bez środków do życia. Nie można było nawet sprzedać żadnych wartościowych przedmiotów, ponieważ zapisane 1 były one w zawartej przez wuja Jamesa umowie.

Kochany wujek, z kosmykami siwych włosów i dobrymi niebieskimi oczami, dbały o swój wygląd, w wykrochmalonym stojącym kołnierzyku i staromodnym surducie, oddał w zastaw ich meble na podstawie wątpliwego 1 założenia, że kogut może mówić.

Kiedy Celia dowiedziała się prawdy, natychmiast przyrzekła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, bez względu na f wszystko, nie może pozwolić, aby ciotka Pru dowiedziała się, co zrobił jej ukochany mąż. Dla pogrążonej w rozpacz po śmierci męża ciotki jedyną trwałą pociechą był fakt, że na świetlanej pamięci Jamesa Coopera nie było żadnej skazy.

Celia nie mogłaby pozbawić ciotki Pru tych złudzeń. W żadnym wypadku.

Powzięła również decyzję, że zrobi wszystko, aby zdobyć pieniądze. Jeśli jej się to uda, to służba nie dowie się o niczym, a ciotka Pru nadal będzie przekonana, że wuj James dobrze zatroszczył się o ich byt.

Nie miała jednak pojęcia, jak osiągnąć ten cel.

To zadanie nie wydawało się jej nieosiągalne zaraz po śmierci wuja Jamesa. Na początku była tylko oszołomiona — od czasu śmierci rodziców, czyli przez dwadzieścia lat, wuj James zastępował jej ojca. Chociaż chorował i przez ostatnich kilka lat, świadomość jego nieobecności | była przytłaczająca. Po pogrzebie Celia otrząsnęła się i z żalu i zajęła się zdobywaniem pieniędzy. Robiła wszystko, co tylko było możliwe, począwszy od szycia, a skończywszy na pisaniu artykułów do „New York Daily Dispatch” pod nazwiskiem Cecil Thomason. Nawet, ku uciesze ciotki Pru, piekła ciasto na sprzedaż.

Odnosiła sukcesy we wszystkich swoich poczynaniach — poza tym, że nie była w stanie zarobić dość pieniędzy na spłacenie trzech zbirów.

Chwalono jej umiejętność szycia, drukowano artykuły, jej ciasta były nieodłącznym elementem wielu oficjalnych przyjęć. Dowiedziała się nawet, że burmistrz Caleb Woodhull zachwycał się jej szarlotką, która podana została na przyjęciu ku czci bohaterów wojny meksykańskiej.

Ale wszystkie zarobki Celi, tu pięć, tam dwadzieścia centów, czasami kilka dolarów, pochłaniało gospodarstwo domowe. Była to kropla w morzu potrzeb, nic nie znacząca, nie stanowiąca żadnej pomocy.

Nagle, kiedy już sama nie wiedziała, co robić, wydarzył się cud.

Pewnego razu ciotka Pru przyjmowała swoje przyjaciółki, przeważnie były to wdowy, które siedziały sztywno na krzesłach, popijając letnią herbatę i prowadząc nudne rozmowy. Celia, która w tym czasie wyrabiała ciasto na swoje wypieki, weszła do pokoju, aby zaproponować paniom świeżą herbatę.

Pani Wheelen prowadziła właśnie rozmowę na swój ulubiony temat — chorób i śmierci.

— Ostrzegałam go — pani Wheelen zniżyła głos, jak gdyby wspomnianą przez nią osobą znajdowała się w tej chwili w pokoju. — Powiedziałam mu, że ma wyłupiaste oczy,

podobne do jajek na twardo.

— Jajek na twardo? — powtórzyła zaskoczona Celia.

— Dokładnie tak. Wytrzeszczone i żółte. — Pani Wheelen rozkoszowała się tym obrazem jak kucharz udaną potrawą.

— Wielkie nieba! — wykrzyknęła pani Jarvis, zakrywając usta ręką w koronkowej mitence. — To odrażające.

— Może i odrażające. — Pani Wheelen upiła łyk herbaty i wykonała teatralny gest dłonią, z ledwie hamowanym triumfem. — Chodzi o to, że za dwa dni już nie żył.

Celia sięgnęła po filiżankę, ale ledwie jej dotknęła, filiżanka zakreśliła łuk w powietrzu i przeleciała przez pokój.

Wszyscy zaniemówili ze zdumienia.

— To on! — krzyknęła pani Wheelen, wypatrując czegoś rozszerzonymi oczami. — To był stary Ben! Tuż przed śmiercią powiedział, że powróci, aby się ze mną spotkać!

— Ten kowal? — Ciotka Pru mrugnęła porozumiewawczo do Celi. — Z jakiego powodu stary kowal Ben miałby zobaczyć się z panią, pani Wheelen?

— Ależ to na pewno on! Czy nie słyszałyście o tym, co się dzieje u sióstr Fox, tych, które mieszkają dalej na północ?

Naturalnie wszyscy o nich słyszeli. Każdy znał historię Margaret i Katie Fox, młodych dziewczyn, które mogły wzywać duchy, kiedy tylko zapragnęły. Wszyscy uczestnicy seansów spirytystycznych u panien Fox przysięgali, że odgłosy dochodzące z tamtego świata były autentyczne, a niezwykle informacje przekazywane były siostrom w zakodowany sposób. One z kolei podawały je do wiadomości nieutulonym w żalu krewnym, którzy jeszcze przebywali na tym świecie. ■,.;—■ .—•.,•,■,——..,.;.r.

28

Medium

W wieku spektakularnych wynalazków, począwszy od telegrafu Morse'a, a skończywszy na ujarzmieniu elektryczności, sprawa ta wydawała się najbardziej niezwykła ze wszystkiego. Śmierć nie kładłaby wreszcie kresu wszelkiej radości. Zwykły człowiek, w postaci dwóch wiejskich dziewczyn, pokonał nieskończoność.

Już przed rokiem ich sława rozeszła się z szybkością błyskawicy, a pomiędzy ich najbardziej zagorzałymi zwolennikami można było znaleźć takie nazwiska jak Frederick Douglas i Elizabeth Cady Stanton. Nikt nie ~” pozostawał obojętny wobec wieczystej potrzeby porozumiewania się z duchami zmarłych. Nikt nie mógł się oprzeć wzruszeniu na myśl, że miłość może być nieśmiertelna.

Zainteresowanie okazało się tak duże, że siostry Fox nie były w stanie przyjąć wszystkich chętnych, znaleźli się więc inni amatorzy, którzy za stosowną opłatą wywoływali duchy. Na każdym płocie, kawałku muru czy ścianie rozlepione były plakaty oferujące pośrednictwo pomiędzy światem doczesnym a światem zmarłych.

Celia sięgnęła po filizankę pani Timmons, ale ta również wyskoczyła jej z ręki. Chciała przeprosić i wytłumaczyć, że właśnie wyrabiała ciasto i dlatego ma śliskie dłonie, ale słowa te nie zostały wypowiedziane. A jeśli nawet to nie można było tego stwierdzić, ponieważ w spokojnym salonie świętej pamięci Jamesa Coopera zapanował istny zgiełk i harmider, jakby zbliżał się koniec świata.

Pani Timmons obwieszczała wśród łkań, że gotowa jest zapłacić dziesięć dolarów — każdą sumę — aby móc usłyszeć choć jedno słowo od swojego ukochanego Geor—

29

ge’a. Inny głos, niemożliwy do zidentyfikowania w ogólnym zamieszaniu, rozpaczał po utraconym dziecku.

Kilku służących weszło nagle do salonu. Jeden z nich niósł cieknący drewniany kubek z wodą— przypuszczając, że jedynie gwałtownie rozprzestrzeniający się ogień mógł wywołać taki rwetes.

Celia szybko wyprowadziła panie z salonu, wyglądającego jak pobojuwisko — kapelusze gości leżały wciąż na krzesłach, ale stoliki były poprzewracane, a okruchy ciasta wdeptane w dywan.

Trzej służący podrapali się po głowach, poustawiali meble na miejscu, uprzątnęli potłuczone filizanki i wyszli, nic z tego nie rozumiejąc.

Oszołomiona Celia, trzymając wciąż w ręce czajnik do herbaty, stała razem z ciotką w opustoszałym salonie.

Ciotka Prudence, która doszła już do siebie, zadała wreszcie proste, brzemiennie w skutki pytanie.

— Moja droga — spytała wymownie. — Ile pani Timmons była gotowa zapłacić za możliwość rozmowy ze swoim zmarłym mężem?

W ten przypadkowy sposób przyszło na świat słynne medium — Celia Thomason.

Idiotka Prudence zakończyła nareszcie kazanie na temat odpowiedzialności, zalet ciężkiej pracy i wytrwałości. Wzrok Celi spoczął na dagerotypie wuja Jamesa, oprawionym w ozdobne, złote ramy. Ile ten kaprys mógł kosztować? Wuj narzekał wtedy na konieczność długiego pozowania bez ruchu w śmierdzącym chemikaliami studio

30

Medium i

Matthew Brady'ego, na skrzyżowaniu Broadwayu z Fulton Street. Wówczas także pożyczył pieniądze na pięćdziesiąt procent, aby opłacić fotografa. Nawet wtedy kroczył drogą, która w przyszłości miała zrujnować jego rodzinę. Kochany, dobry, nieświadomy niczego wuj James.

Spirytystyczny interes, z Celią jako prawdziwym medium, odniósł pełny sukces, chociaż rozwijał się stopniowo. Pierwszą klientką była pani Timmons, ale już wkrótce sława Celi zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, a ludzie przyjeżdżali ze wszystkich stron, aby szukać u niej pomocy. Celia nigdy nie żądała zapłaty, ale uprzejmi klienci uważali za swój obowiązek wyrazić zarówno jej, jak i jej szacownej ciotce, swoją wdzięczność. Oczywiście, płacili za to gotówką.

Ten sposób zarabiania nie dawał Celi satysfakcji. Kiedy wręczano jej pieniądze, miała wrażenie, że popełnia nadużycie, wprost musiała się zmuszać do przyjmowania wynagrodzenia za swoje usługi. Tylko podczas seansów znajdowała usprawiedliwienie dla swojej działalności. Widziała bowiem ulgę w oczach swoich klientów, ich nagłe rozluźnienie, kiedy dowiadawali się, że ukochani zmarli są szczęśliwi i nadal ich kochają. Seanse dawały im szansę na ostateczne pożegnanie, na wypowiedzenie słów, które za życia nie zostały wypowiedziane, na naprawienie drobnych lub wielkich krzywd.

Ciotka Prudence posunęła się nawet do tego, że nazwała te spotkania „likwidatorami

rozpaczy”. Utrzymywała również, że większość klientów zdaje sobie sprawę z mistyfikacji. W głębi duszy wiedzieli, że seanse Celi są oparte na oszustwie, ale przemożne pragnienie wiary

31

JUDITH O'BmEN stale ich tam sprowadzało. Przedstawiciele wszystkich klas społecznych, od najwyższej do najniższej, stale powracali do Celi, aby zadać jakieś dodatkowe pytania czy też znowu coś powiedzieć tym, którzy odeszli z tego świata.

Czasami zdawało się Celi, że naprawdę umie wywoływać duchy. Kiedy leżała już w łóżku, a gorące podziękowania klientów nadal brzmiały jej w uszach, miała nadzieję, że zdoła przywołać swoich zmarłych dwadzieścia lat wcześniej rodziców. Wierzyła, że może jej się to uda. Leżała z zamkniętymi oczami, ściskając kurczowo brzeg kołdry i szepcząc.

— Proszę, proszę, przyjdźcie do mnie. Proszę, mamó, proszę, tato. Tęsknię za wami. Nie pamiętam, jak wyglądacie. Proszę, przyjdźcie do mnie.

Kiedy otwierała oczy, nie widziała jednak niczego poza swoją sypialnią, oświetloną księżycową poświatą. Kiedy indziej dostrzegała jedynie cienie, które niestety nie przybierały wymarzonych przez nią kształtów. Gdyby miała prawdziwy talent, na pewno mogłaby zobaczyć swoich rodziców lub choćby otrzymać od nich jakiś znak.

Lecz nie, była zwykłą oszustką. Nie była żadną wizjonerką, nie miała specjalnego daru zesłanego z góry, z dołu czy też z boku. Była tylko Celią, siedzącą z klientami w przyciemnionym salonie, i nie było tam niczego poza mistyfikacją z jednej, a nadzieją z drugiej strony.

Mistyfikacja ta nie mogła obyć się bez pomocy. Przekształcenie słonecznego salonu w prawdziwą scenę dla zmarłych wymagało nie tylko pomysłowości, lecz również ciężkiej pracy. Celia i ciotka Pru wpadły na pomysł, aby wykorzystać do pomocy służbę^h

32

Medium

Służący byli tym zachwyceni, a szczególnie Patryk, który wykazał niezwykłą pomysłowość przy opracowywaniu skomplikowanej metody poruszania takimi przedmiotami jak instrumenty muzyczne, wazony i inne wyposażenie salonu. Czasami

jedna z bardziej przedsiębiorczych pokojówek spowijała się w białe materie, a niska i szczupła dziewczyna o imieniu Ginny udawała dziecko. Hannah natomiast była świetna w roli dorosłych kobiet oraz młodych mężczyzn.

Patryk był dumny z faktu, że spoza sprytnie ukrytych „drewnianych płyt lub z wnętrza kominka potrafił poruszać prawie wszystkie przedmioty tak, że latały w powietrzu. Pracę tę wykonywał z finezją godną mistrza. Wywiązywanie się z najtrudniejszych zadań — na przykład przywołanie niemowląt bliźniaków — było dla niego sprawą honoru.

Ciotka Prudence eksperymentowała z latarnią magiczną i przeźrocami, wyświetlając obrazy na suficie i ścianach. Metoda ta jednak okazała się zawodna, kiedy papierowe przeźrocza stanęły w płomieniach, a klient Celi nabrał przekonania, że jego dobrą, bogobojną matkę trawia płomień piekielny. Celia musiała zastosować wiele dyplomatycznych wybiegów, aby znowu usiadł przy stole i dał się przekonać, że jego stara matka świętuje z aniołami w promieniach słonecznych.

Sama zręczność i pomysłowość okazały się niewystarczające. Celia potrzebowała bardziej konkretnych informacji, kiedy już zbladło wrażenie pokazów Patryka. Klienci zaczęli wracać do przeszłości, należało więc mieć jakąś solidną podstawę, aby ich przekonać. Chcieli jakichś

2 — Medium 33

znaczących, choćby drobnych faktów, aby uwierzyć, że to wszystko odbywa się naprawdę, chcieli mieć z czego czerpać pociechę podczas bezsennych nocy.

Celia wpadła na pomysł, który sama uważała za szczyt obłudy — Zieloną Księgę. Na początku powstał spis nazwisk pierwszych klientów oraz dane dotyczące ich krewnych, które zebrano w najprostszy sposób — z nagrobków na miejscowym cmentarzu. Celia odwiedziła najpierw miejsce wiecznego spoczynku rodziny Timmons, spisując daty i nazwy miejscowości, aby jej pierwsze sesje nabrały autentyczności. Do pierwszej Zielonej Księgi włączono również plotki zebrane w gospodzie, wycinki z gazet, notatki z rodzinnych Biblii plon wizyt ciotki Prudence u przyjaciółek. Zaczęto śledzić poszczególne jednostki, aby poznać ich nawyki, delikatnie wypytywać właścicieli gospody i kupców, którzy nie orientowali się nawet, że dostarczają wielu wartościowych informacji. Po

pewnym czasie Celia miała już sześć Zielonych Ksiąg, przepelnionych tak szczegółowymi informacjami, że mogłaby parać się szantażem, gdyby inne możliwości zawiodły.

I rzeczywiście, wydawało się, że wszystkie możliwości zawiodły.

Owszem, odnieśli sukces. Jednak przy kosztach „produkcji”, zakupie materiałów, dodatkowych pieniądzech dla służby — Celia zdołała zaoszczędzić tylko czterysta trzydzieści osiem dolarów. Była to niewątpliwie duża suma, która jednak nie miała żadnego znaczenia przy kwocie dwudziestu jeden tysięcy.

Kilka dolarów pani Jenson nie robiło żadnej różnicy.

34

Medium

I tak Celia będzie musiała wkrótce wyjawić prawdę ciotce Prudence oraz służbie. A w międzyczasie może uda się jej jeszcze zrobić coś dobrego, pocieszyć kilka zrozpaczonych osób.

Już niedługo nie będzie mogła nikomu pomóc, nawet samej sobie.

Idiotka Prudence oczekiwała odpowiedzi na swoje kazanie. Celia głęboko zaczerpnęła powietrza. Może powinna jej powiedzieć właśnie teraz, dać ciotce czas, aby mogła pogodzić się z tak ponuro zapowiadającą się przyszłością.

Zanim Celia otworzyła usta, ktoś załomotał do drzwi.

— Na litość boską— ciotka Prudence spojrzała na zegar na kominku. — Czy ktoś jest umówiony na piątą piętnaście?

— Nie, nikt — odpowiedziała Celia. — Pani Jenson była naszą ostatnią klientką.

Celia obrzuciła ciotkę szybkim spojrzeniem. Jak to się stało, że jest już taka stara? Jej bohaterskie wysiłki, aby utrzymać młody wygląd, nie odnosiły żadnego efektu ani nienaturalna wesołość, ani dziewczęce, siwe loczki. Coś ścisnęło ją za gardło na myśl, że miałyby wyjawić ciotce prawdę. To okropne być zwiastunem takich smutnych wieści. Przyszłość Celi niewątpliwie legnie w gruzach, ale dla ciotki byłby to koniec wszystkiego, a co najgorsze, koniec świetlanej pamięci wuja Jamesa.

Pukanie rozległo się teraz ze zdwojoną siłą, tak mocno, że aż zatrzęsły się szyby we frontowych oknach.

— Ten ktoś, zamiast stukać kołatką, wali chyba w drzwi pniem drzewa. — Celia uśmiechnęła się do ciotki. Na twarzy ciotki Prudence także pojawił się uśmiech. Celia dotknęła jej ramienia. — Proszę, ciociu, powinnaś teraz napić się herbaty. Ja otworzę.

— Tak. Masz rację. Dziękuję, moja droga. — Ciotka Prudence poklepała siostrzenicę po ręce i wyszła z pokoju z wyrazem ulgi na okrągłej twarzy.

Może znajdę jakieś wyjście z tej sytuacji, pomyślała Celia, patrząc za wychodzącą z salonu ciotką. Może zdarzy się jakiś cud.

Podeszła do drzwi, przyglądając włosy, zastanawiając się, kto tak gwałtownie zawiadamia o swoim przybyciu.

Uchyliła je i otworzyła oczy ze zdumienia. Miała przed sobą tak ogromnego człowieka, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziała. Stał odwrócony tyłem, patrzyła więc na jego potężne plecy okryte ciemnozieloną, powiewającą na wietrze peleryną. Człowiek ten był równie wysoki jak szeroki i Celia stała oszołomiona jego potwornymi, nadludzkimi rozmiarami.

Odwrócił się w jej stronę.

— Przyszedłem do panny Thomason — powiedział donośnym głosem.

Celia otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Stojący na progu mężczyzna był niezwykle przystojny. Widać było również, że ledwie panuje nad wściekłością.

2

IS nie miała pojęcia, czym mogła sprowokować gniew stojącego na progu mężczyzny. Nigdy w życiu go nie widziała, a z pewnością nie był to człowiek, o którym łatwo się zapomina.

Z trudem powstrzymała się przed chęcią błagania go o przebaczenie. Miała ochotę przyrzec, że już nigdy tego nie zrobi, cokolwiek by to było. Stał blisko niej, a z jego postaci emanowała siła i poczucie władzy. Jego przystojna, prawie arystokratyczna twarz wykrzywiona była w wyrazie wściekłości. Celia instynktownie cofnęła się o krok.

— Powtarzam, że przyszedłem do panny Celi Thomason. Miał cudzoziemski akcent. Może angielski? Jego oczy były ciemniejsze niż oczy Celi, a rozwichrzone włosy połyskiwały w przyćmionym świetle głęboką czernią. Sprawiał niepokojące wrażenie. Wiedziała, że nigdy go nie zapomni.

— Czy to właściwy adres? — spytał mężczyzna zniecierpliwionym głosem.

37

JUDITH O'BRIEN

— Tak — wykrztusiła.

— Nareszcie odzyskałaś głos — rzucił ironicznym tonem, obrzucając ją badawczym spojrzeniem. Celia miała dziwne uczucie, że jego wzrok przenika ją na wskroś, docierając aż do dna duszy. — Tu jest piekielnie zimno — powiedział po dokonaniu oględzin.

— Tak, proszę pana. — Co się z nią stało? Celia miała dobry refleks i zawsze umiała znaleźć właściwą odpowiedź. Ale chyba nie w obecności tego człowieka.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, czy panna Thomason jest w domu?

— Tak. Jest, proszę pana. — To była celna odpowiedź, pomyślała. Związła i dobrze sformułowana. Na pewno uzna, że jestem bardzo dowcipna.

— Czy jest niedysponowana albo chora?

— Nie. — Kolejny zjadliwy dowcip panny Thomason. Powinnam, pomyślała Celia w popłochu, pozapisywać te celne riposty, żeby ich nie zapomnieć.

Odetchnęła głęboko. Nagle olśniła ją przerażająca myśl. Ten mężczyzna przyszedł po pieniądze. Nie było już sensu oddawać się złudzeniom, udawać, że ta chwila nigdy nie nastąpi. Poprzez tego człowieka dosięgnie ich klęska. Mężczyzna zaraz potwierdzi pamiętną datę zwrotu długu lub, co gorsza, będzie chciał przyspieszyć ten termin.

To musi być prawdziwy powód jego przybycia, pomyślała Celia. Co prawda, wyglądał o wiele lepiej niż poprzedni jegomości, z którymi miała do czynienia. Widać było, że niedawno brał kąpiel i nosił drogie ubranie. Nawet wuj James nie miałby nic do zarzucenia subtelnym

38 i;

Medium splotom wełny, które widoczne były na jego pelerynie, ani olśniewająco

białemu kołnierzykowi.

Jeżeli działał razem z tamtymi zbirami, prawdopodobnie był mózgiem całego przedsięwzięcia, królem złoczyńców.

Cała przyszłość Celi i jej ciotki miała być zrujnowana, aby ten człowiek mógł zażywać jeszcze większego luksusu.

Celia zeszywniała. Miała teraz poczucie siły, miała własną broń przeciwko temu podejrzanemu typowi. W tym momencie szczerze go nienawdziła.

— Kto przyszedł? — z holu dobiegł głos ciotki Pru. Celia w żadnym wypadku nie mogła dopuścić, aby ciotka zetknęła się z przybyszem. Nie przeżyłaby tego ciosu.

— Ja się tym zajmę — odkrzyknęła Celia, nie ośmieliwszy się obrócić tyłem do nieznanego.

— Nowy zasób słów, jak słyszę — powiedział. — Wspaniale. Czy obejmuje również zwrot „Proszę wejść”? Wydaje mi się, że już mówiłem, że na dworze jest chłodno.

Oczywiście, chce wejść, pomyślała Celia, usuwając się z drogi. Chce zrobić spis inwentarza, przecież Boże Narodzenie coraz bardziej się zbliża.

Ciotka Prudence, która nadal stała w holu, patrzyła na wchodzącego mężczyznę z łagodnym uśmiechem.

— Jaki przystojny — wyszeptała, w zachwycie unosząc brwi do góry.

Celia skinęła potakująco głową i szybko wprowadziła gościa do salonu, zamykając za sobą drzwi. Popatrzyła na niego, kiedy stał obrócony plecami, i znów zdumiała

39

JUDITH O'BRIEN się jego posturą. Mógł ją skrzywdzić bez najmniejszego wysiłku, nie robiąc nawet jednego zagięcia na swoim eleganckim garniturze ani nie zmieniając wyrazu urodziwej twarzy.

Obrócił się do niej i spojrzał pytająco.

— Czy pani jest panną Thomason? — Tak, to ja — potwierdziła Celia.

! — Myślałem, że pani jest pokojówką, ze względu na... r — Tak?

: — Ze względu na pani uczesanie.

Celia zyskała dodatkowy powód, aby znienawidzić tego człowieka, ale mimo to nie

potrafiła poskromić ciekawości.

— Moje uczesanie?

— Tak. Widzi pani, zauważyłem, że dobrze wychowane młode damy, takie jak pani — tu wykonał ruch głową, który miał potwierdzić jej istnienie — lubią przekształcać wygląd ludzkiej głowy.

— Słucham?

Twarz mu się ożywiła, zniknął z niej wyraz złości i wyglądał teraz interesująco. Nawet bardzo interesująco.

— No tak, i w Londynie, i tutaj. Im modniejsza kobieta, tym bardziej ma sztuczną fryzurę. Na pewno pani wie, o czym mówię, panno Thomason. Włosy zwinięte w precle, w warkoczyki i w loczki. — Wykonał nieokreślony ruch ręką wokół własnej głowy. Jedną moją znajomą, z powodu wiszących na uszach włosów, przypomina mi psa, którego miałem w młodości. Zawsze mam ochotę poklepać ją po głowie i dać jej kawałek mięsa z talerza. »

40

Medium

Celia roześmiała się niespodzianie. Szybko się jednak pohamowała. Ten człowiek był przecież jej wrogiem.

— Ale pani, panno Thomason — ciągnął, nie spuszczając z niej wzroku — pani czesze się bezpretensjonalnie. Tak, jak się czeszą służące.

Celia bezwiednie uniosła ręce do góry, aby dotknąć włosów, upiętych za pomocą kilku szpilek i grzebienia, ale zatrzymała się w połowie gestu. Ponownie złożyła ręce na spódniczce swojej granatowej wełnianej sukienki.

— Stawia mnie pan w kłopotliwej sytuacji. Nie wiem, kim pan jest, chociaż wydaje mi się, że wiem, o co panu chodzi.

— To oczywiście. Duchy panią powiadomiły, nieprawdaż?— Kiedy zdejmował rękawiczki, na jego twarzy pojawił się znowu wyraz tłumionego gniewu. — Dziwi mnie również, że trzusi się pani otwieraniem drzwi. Czy nie ma pani służby?

— Mam służbę, ale lubię sama otwierać drzwi.

— Podczas godzin urzędowania?

— Tak. Nawet, jak pan to nazwał, podczas godzin urzędowania.

— Prosiłbym o wyjaśnienie. Nie wiem nic o pani zawodzie ani — podniósł brew do góry — o pani współpracownikach, jeśli można ich tak nazwać. Czy zmarli stosują się do określonych godzin pracy? Zawsze mi się wydawało, że preferują noc, kiedy grzechot łańcuchów i przerażające jęki mogą zrobić większe wrażenie. Czyżbym się mylił?

Celia stała z rękami skrzyżowanymi na piersi i wpatrywała się w niego nieruchomym wzrokiem.

41

JUDITH O'BRIEN

*~ Czy pani odmawia odpowiedzi, panno Thomason?

— Nie. Ale nie chcę, żeby pan ze mnie kpił.

— Czy ja kpię z pani?

Celia nie odpowiadała. Stali i patrzyli się na siebie. On był wspaniałym mężczyzną. Gdyby nie był tak liemiły...

— Nie miałem zamiaru wyśmiewać się z pani — odezwał się wreszcie. — Ale jestem ciekaw. Proszę mi powiedzieć, o pani o mnie wie, jakie wiadomości przekazały pani luchy na mój temat.

W pierwszym odruchu chciała go wyprosić. Jak śmiał obić sobie z niej żarty i ją obrażać? Pohamowała się jednak. To nie był człowiek, któremu można było się jrzeciwstawiać. Będzie musiała się zgodzić na to, że on na dominującą rolę w tej konwersacji, starając się jednocześnie zachować nad nią choć minimum kontroli.

Celia uśmiechnęła się, a mężczyzna z wyraźnym zdziwieniem przyjął zmianę nastroju. Zaczęła mówić szybko, aby wykorzystać ten moment.

— Przyjechał pan niedawno z Londynu, chociaż nie mieszka pan tam. Kształcił się pan w Oksfordzie, a pochodzi pan z Irlandii. Raczej spoza Dublina.

Nagle inna myśl przyszła jej do głowy. W jego oczach lił się nie tylko gniew i arogancja, było jeszcze coś innego, coś głębszego. Celia dobrze знаła ten wyraz oczu.

Ten człowiek cierpiał.

Dzięki swojej profesji Celia nauczyła się rozpoznawać prawdę po jej drobnych przejawach, nie zważając na grę wzorów. W jego wieku człowiek nie poddaje się takiej ożpaczy po stracie rodziców. Celia wykluczyła również

42

Medium bez wahania stratę dziecka. Nieznajomy nie był typem żonatego mężczyzny, tym bardziej ojca. ; ,

Utrata przyjaciela? Nie. To było coś głębszego, bardziej dotkliwego.

Wreszcie, kierując się intuicją, odgadła prawdę.

— Współczuję panu— powiedziała cichym głosem. Chociaż człowiek ten zasługiwał na nienawiść, Celia nie potrafiła wypowiedzieć tego obojętnym głosem.

— Współczuje mi pani?

— Tak. — Chciała wyciągnąć do niego rękę, ale się powstrzymała.

— Bardzo panu współczuję z powodu śmierci pana siostry.

Stał z szeroko otwartymi oczami, całkowicie zaskoczony tym, co usłyszał.

— A powodem pana wizyty są pieniądze. Oboje znamy wysokość tej sumy — mówiła dalej Celia.

Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, ale dla niej był to moment przewagi.

— Jaka to suma?— przemówił wreszcie, odzyskując swój autorytatywny ton.

— Dwadzieścia jeden tysięcy dolarów.

Nie poruszył się, nie zmienił też wyrazu twarzy. Jediną oznaką lekkiego zdziwienia mógł być ledwie zauważalny grymas ust.

— Hmm. —Przechylił głowę. —Bardzo interesujące. Odetchnął głęboko i rozejrzał się po raz pierwszy po salonie. — Czy to brandy?

— Tak, proszę pana.

— Czy można?

43

JUDITH O'BRIEN

Celia zdziwiła się. Czyż nie zostało już wyjaśnione, że jest on właścicielem wszystkiego, co znajduje się w domu, łącznie z butelką brandy?

Szybkim krokiem podszedł do stolika, napełnił kieliszek i wychylił go jednym haustem, po czym nalał sobie ponownie.

— Sam pani powiedziałem, że byłem w Londynie. Uśmiechnął się z lekka. — Kiedy rozmawialiśmy na temat modnych fryzur, wspomniałem o tym.

— Tak, to prawda — potwierdziła Celia.

— To wyjaśnia jedną sprawę. Nie było w tym nic tajemniczego, zwykła umiejętność zapamiętania tego, co zostało już powiedziane. Jednak sposób, w jaki... zaczął. — Pani jest dobra. Bardzo, bardzo dobra. — Zamilkł na chwilę. — Ale myli się pani, jeśli chodzi o pieniądze.

— Doprawdy? — spytała powściągliwie.

— Tak. — Wypił łyk brandy. — Zmniejszyła pani tę sumę o połowę.

Celia zachowała spokojny wyraz twarzy, chociaż myśli jej biegły jak oszalałe. Jaką grę prowadził? Dlaczego podwaja sumę, którą była winna? Na myśl, że ma do spłacenia czterdzieści dwa tysiące dolarów, zrobiło jej się słabo.

Mężczyzna dopił brandy, postawił pusty kieliszek na stole tak gwałtownie, że o mało go nie stłukł.

— Nie mam zamiaru zapłacić pani dwudziestu jeden tysięcy dolarów.

Celia miała wrażenie, że serce przestało jej bić. Po chwili jednak waliło jak oszalałe, nie pozwalając jej

44

Medium oddychać. Miała za ciasny gorset. Q wiele za ciasny. Dlaczego był taki ciasny?

— Ale sam pan powiedział, że jestem dobra. Nawet bardzo dobra. — Celia, ku swojemu zdumieniu, mówiła opanowanym, miłym głosem. W co się pakowała? Dlaczego on miał jej płacić? O co mu właściwie chodziło? A więc nie był jednym z tych złoczyńców, którzy mieli przyjść po pieniądze.

— Tak. Jest pani dobra, panno Thomason. — Zyskiwał przewagę, a ona ją traciła. — Ale ja nie chcę być ofiarą wymuszenia.

Pod Celią ugięły się kolana. On ofiarą? Zapanowała długa cisza. Patrzył na nią bez zmrużenia powiek. Celia była pewna, że zaraz ją zabije.

— A więc ile? — spytał wreszcie.

Celię rozbawiła myśl o sumie, którą miała wymienić. Było to tak absurdalne, że prawie w głos się roześmiała.

Ale jeśli to bezsensowne nieporozumienie mogłoby uratować ją, uratować ich wszystkich?

Nie pozostało nic innego do zrobienia. Wymieni sumę teraz, a konsekwencje poniesie później.

— Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów — powiedziała pozbawionym emocji głosem.

— Piętnaście — odparował.

— Dwadzieścia pięć — upierała się.

— Dwadzieścia i ani grosza więcej.

To wszystko było szalone. Czegokolwiek od niej chciał, nie mogło to być warte dwudziestu pięciu ani nawet dwudziestu tysięcy. A mając dwadzieścia tysięcy, mogłaby prawie spłacić tych łotrów.

45

JUDITH O'BRIEN

Prawie... To ważne słowo. Prawie...

Mając dodatkowe pieniądze, mogłaby rozpocząć nowe życie, skończyć ze swoją oszukańczą profesją. Mogłaby kupić farmę albo otworzyć pracownię krawiecką, nawet przenieść się tam, gdzie nie słyszano o niej jako o medium.

Zacząć wszystko od początku, wystartować od nowa.

Nic nie opuści.

— Dwadzieścia pięć.

— Zgadzam się— powiedział wreszcie. Och, Boże, pomyślała Celia. Och mój...

Szybko włożył rękę pod pelerynę. A więc tak. Chce ją zabić. Czy ma nóż? Sznur? Czują całkowity brak sił. Wiedziała, że nie będzie mogła się bronić.

Złożyła ręce i zaczęła mówić zduszonym szeptem.

— Dobry Boże, przebacz mi wszystkie grzechy.

— Mam tu świadectwo do podpisania— powiedział wyciągając jakiś dokument.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem. — Czy dobrze się pani czuje, panno Thomason?

Celia nie poruszała już wargami, opuściła również złożone do modlitwy dłonie.

— Tak. Oczywiście.

Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

— To dobrze. Czy ma pani pióro?

— Oczywiście. — Prawie podbiegła do szuflady, gdzie trzymała pióra, butelkę atramentu i zbiorniczek z piaskiem. Z trudem opanowała krok.

Teraz dowie się wreszcie, o co temu człowiekowi chodzi i czego będzie od niej wymagał.

— Czy pani umie czytać, panno Thomason?

— Oczywiście! — odpowiedziała z oburzeniem.

46

/ *Medium*

; — Czy nadal będziemy powtarzać te same słowa?

— Oczywiście, nie.

Wręczył jej dokument. Czytała go uważnie, z poważnym wyrazem twarzy i zmarszczonymi brwiami. Czuła na sobie jego wzrok. Jedno zdanie przykuło jej uwagę i przeczytała je ponownie. Potrząsnęła głową i przeczytała je jeszcze raz.

— Pan chce, żebym podpisała dokument stwierdzający, że jestem oszustką?

— Tak. Tylko w ten sposób mogę mieć pewność, że wywiąże się pani ze swojego zadania. Jest to gwarancja, że wykona pani swoją pracę.

— Rozumiem. — Celia wpatrywała się w to pismo, ale niewiele widziała. Niepokoiła ją myśl, o co w tym wszystkim chodzi. Musiała się tego dowiedzieć za wszelką cenę. Bez względu na wszystko, nie mogła podjąć żadnej decyzji, dopóki nie wiedziała, czego ten człowiek od niej oczekuje.

Nie miała zamiaru nikogo zamordować. Nie chciała również być współnikiem mordercy. Tylko to, wedle jej wyobrażenia, mogło być warte dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

— Znowu mnie pan stawia w kłopotliwej sytuacji. Proszę mi powiedzieć, kim pan jest i

czego pan ode mnie oczekuje.

— Czy duchy jeszcze panią nie powiadomiły? Nie sposób było przewidzieć jego reakcji.

— Może i tak. Chcę tylko uzyskać potwierdzenie z innego źródła.

.Uśmiechnął się. Celia nie przypuszczała, że widok

47

uśmiechającego się mężczyzny może być tak intrygujący. Uśmiech nie rozświetlał mu twarzy, czynił ją raczej bardziej skupioną.

— To naprawdę nic wielkiego. Nic, co wykraczałoby poza pani kompetencje.

— Proszę mi to jednak wytłumaczyć.

— No, dobrze. Nazywam się Brendan O’Neal, pochodzę z tych miejsc, o których pani przedtem wspominała. Tak, moja siostra ostatnio zmarła tutaj, w Nowym Jorku. Nazywała się Amanda Stevens. Czy pani o niej słyszała?

— Nie. A czy powinnam?

— Ona nigdy nie robiła niczego połowicznie. Straciła życie w wybuchu. Prawdopodobnie oświetlenie gazowe w jej nowym domu, do którego wprowadziła się po ślubie, nie było dobrze zainstalowane.

Teraz Celia wszystko sobie przypomniała.

— Amanda Stevens? Tak. Jakie to okropne. Słyszałam o tej tragedii. Właśnie z tego powodu moja ciotka nie chce mieć w domu gazu. Chodzi jej również o koszty. Och, panie O’Neal, proszę przyjąć moje kondolencje i...

— Niech pani da spokój — uciał. — Nie wymagam od pani współczucia. Chciałbym, aby pani przekonała mojego szwagra, że jest pani prawdziwym medium i że może pani przywołać moją siostrę zza grobu. On ma na imię Garnek. Garrick Stevens i, tak samo jak ja, nie wierzy w te szarlatańskie sztuczki. To jest prawdziwe wyzwanie. Musi pani spowodować, żeby uwierzył, że pani jest wiarygodna i że Amanda jest rzeczywista.

— Więc co mam zrobić? — To na pewno nie wszystko.

48

Medium

Musi być coś jeszcze. Zwykły seans za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?

— Kiedy pani to osiągnie, wtedy wytłumaczę resztę. Czy wyrażam się jasno?

— Tak. — Z trudem przełknęła ślinę. — Jasno.

Wziął pióro do ręki, umoczył je w atramencie i złożył swój podpis. Powtórzył tę czynność, podając pióro Celi. Zawahała się przez chwilę, wiedząc, że kiedy jej nazwisko znajdzie się na tym papierze, nie będzie już miała odwrotu. Podpis ten mógł oznaczać nowe wspaniałe życie dla nich wszystkich, ale też, jak się obawiała, mógł być wyrokiem śmierci.

— Widzi pani, panno Thomason, że to nie było takie straszne, prawda?

Posypał mokry atrament piaskiem i zdmuchnął go za jednym razem. Wyraźnie zadowolony zwinął dokument i umieścił go pod peleryną.

— Ach, zanim zapomnę— zaczął, sięgając do innej kieszeni, z której wyciągnął skórzany portfel. — Tu jest pięć tysięcy dolarów. Jutro po południu przyślę do pani Garricka, a może sam z nim przyjdę. Chyba nie muszę mówić, że zobaczy mnie pani wtedy po raz pierwszy w życiu.

— Naturalnie. — Wręczył jej portfel, a Celia ledwie powstrzymała się, żeby od razu nie przeliczyć pieniędzy. Popatrzył na nią z niesmakiem. — Ależ z pani wyrachowana istota.

Speszona i zawstydzona, Celia odwróciła głowę.

— Może być pani spokojna, że wypłacę resztę sumy, jeśli pani wykona to, co do niej należy.

49

JUDITH O'BRIEN

— Wiem o tym, proszę pana — szepnęła, kiedy sięgał po rękawiczki.

— Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i odprowadzi mnie do drzwi?

— Oczywiście. — Dlaczego miała wrażenie, że jest podła i niegodziwa?

Kiedy otwierała drzwi salonu, rozległo się szuranie. To ciotka Pru razem ze służącymi usiłowali podsłuchać rozmowę, ale Celia wiedziała, że nie mogli niczego słyszeć. Salon był jedynym dyskretnym pomieszczeniem, chyba że ktoś chciał być słyszany.

— Prowadzenie interesów z panią jest prawdziwą przyjemnością, panno Thomason. — Podał jej rękę, odsłaniając w uśmiechu olśniewająco białe zęby.

Miękkie skórzane rękawiczki nie osłabiły uścisku jego dłoni. To pożegnanie można było

traktować jak pogroźkę.

Zdobyła się jedynie na to, aby skinąć mu głową. Już miał wyjść, zatrzymał się jednak i nachylił do jej ucha.

— Proszę to sobie zapamiętać. Nie jest pani tak sprytna, jak pani sądzi, panno Thomason.

Czuła jego oddech na twarzy, widziała dziwny błysk w jego czarnych oczach. Miała uczucie, jakby zbyt blisko podeszła do jakiegoś dzikiego zwierzęcia.

— Ja... proszę. — Chciała się odsunąć, ale chwycił ją za rękę.

— Moja droga panno Thomason. Byłem gotów zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów za pani niepowtarzalne usługi, więcej, niż pani zażądała. A pani zbiła moją cenę. Mimo swoich salonowych sztuczek, nie jest pani wcale bystra.

Z tymi słowami odszedł.

50

Medium

Celia zamknęła i zarygłowała drzwi.

— Ach, cóż to za przystojny dżentelmen — dobiegł okrzyk ciotki Pru. — Czego on chciał? Mam nadzieję, że znowu tu przyjdzie. Czy zauważyłaś, jak miał skrojone ubranie? Na pewno szyte u najelegantszego krawca i...

Celia nie mogła już dłużej tego słuchać.

— Przepraszam, ciociu Pru, ale boli mnie głowa. Proszę...

Pobiegła na górę do swojego pokoju, schowała portfel pod materac, spryskała twarz zimną wodą z miednicy i po raz pierwszy od bardzo dawna rozplakała się.

Celia Thomason wsunęła rękę pomiędzy drewnianą ramę łóżka a bawełniane pokrycie materaca. Zanim namacała skórzany portfel, poczuła zapach słomy, którą wypchany był siennik. Było już późne popołudnie, a ona jeszcze nie przeliczyła pieniędzy. Spała na tym portfelu przez całą noc, przechodziła koło niego, ubierając się rano, i nie znalazła czasu, aby sprawdzić jego zawartość.

Aż do tej pory.

Wszystkie przygotowania związane z wizytą pana O'Neala i jego szwagra zostały już

zakończone. Celia uświadomiła ciotce Prudence, że pierwsza wizyta pana O'Neala ma pozostać tajemnicą. Patryk zajął już swoje miejsce w kominie, z miechami w dłoniach, gotów uruchamiać fruujące wazony lub wydobywać ze skrzypiec ponure tony.

Udało im się znaleźć trochę wiadomości o Amandzie Stevens dzięki wycinkom z gazet, które zaczęli gromadzić na długo przed jej śmiercią— zbierali informacje na

52

Medium użytek seansów spirytystycznych. Nie mieli jednak zbyt wielu szczegółów na jej temat. Wiadomo było, że zginęła podczas wybuchu gazu, co uznano za nieszczęśliwy wypadek. Była młodą Irlandką, wedle większości źródeł miała dwadzieścia jeden lat. Te wiadomości były wystarczające na pierwsze spotkanie z panem Stevenssem.

W spotkaniu tym miał również uczestniczyć ponury pan O'Neal. Nawet gdyby nie trzeba było zaciemniać salonu i stosować tych wszystkich sztuczek i forteli, i tak miało to być bardzo niemiłe popołudnie.

Portfel był miękki i miły w dotyku. Celia otwierała go powoli, rozkoszując się zapachem skóry i szelestem nowych banknotów.

Może pan O'Neal miał słuszość. Rzeczywiście była chciwa.

Ale pieniądze nie były przeznaczone tylko dla niej. Należały do wszystkich domowników. Celia liczyła banknoty, pięknie wydrukowane na grubym papierze i...

Angielskie. Zapłacił jej w angielskiej walucie.

Co ona ma zrobić z tymi pieniędzmi? W jaki sposób mogą je z ciotką wykorzystać? Mogłaby je zmienić na dolary, ale w ten sposób zwróciłaby na siebie uwagę, na czym jej wcale nie zależało.

Dał jej angielskie pieniądze i niech się dalej sama martwi.

Nagle usłyszała, że ktoś chce otworzyć drzwi jej sypialni.

— Celio!

— Ciocia Pru! — Celia szybko schowała portfel pod materac i wygładziła narzutę.

53

JUDITH O'BIUEN

— Czy drzwi się zacięły? Nie mogę otworzyć...

— Chwileczkę — zawołała, delikatnie odsuwając krzesło, którym podparła drzwi. Wujek James nie uznawał zamków w pokojach. Wyjątek stanowiło jego zagracone biuro na piętrze, które było tak lodowate w zimie i tak upalne w lecie, że nie potrzeba było żadnych zamków, aby wszyscy trzymali się od tego pomieszczenia z daleka. W tej sytuacji Celia nauczyła się już w dzieciństwie blokować drzwi krzesłem.

Rzuciła jeszcze szybkie spojrzenie na łóżko i otworzyła drzwi.

— Słucham, ciociu Pru?

— Ci panowie czekają już na dole. Wołałam cię, czemu się nie odzywałaś?

— Drzemałam.

— Ty? Drzemałaś w środku dnia?

— Tak, ciociu Pru. Byłam zmęczona.

Starsza pani, rzuciwszy Celi podejrzliwe spojrzenie, zaczęła poprawiać jej koronkowy kołnierzyk.

— No, dobrze. Chodź już, moja droga. Wszyscy są gotowi.

Celia przemknęła koło ciotki, wyglądając dół swojej ciemnozielonej sukienki, którą nosiła na znak żałoby po wujku Jamesie.

Schodziła ze schodów, starając się robić to zgrabnie i z wdziękiem, zastanawiając się, czy owdowiały pan młody będzie równie nieprzyjemny jak pan O'Neal. Podejrzewała, że będzie jeszcze gorszy.

Pod wpływem tej myśli omal nie spadła z ostatniego stopnia. «

54

Medium «

Oczywiście, obrzydliwy pan O'Neal zauważył jej potknięcie i uśmiechnął się złośliwie. Weszła do salonu, zamykając cicho drzwi za sobą.

— Witam panów. Nazywam się Celia Thomason. Nieznajomy podniósł się z fotela. Celia oniemiała na jego widok. Był wysokim, szczupłym mężczyzną i wyglądał na prawdziwego dżentelmena. Pierwszy odezwał się pan O'Neal.

— Dzień dobry, panno Thomason. Pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Brendan O'Neal, a to jest mój szwagier, Garnek Stevens.

Celia musiała mu podać rękę. Nie miał rękawiczek, a jego dłoń, pomyślała Celia, doskonale nadawała się do liczenia angielskich banknotów.

— Panie O’Neal — skinęła lekko głową.

Kiedy stanął przed nią Garrick Stevens, Celia ledwie powstrzymała się od chęci przytulenia go do siebie, jakby to zrobiła ze skrzywdzonym dzieckiem. Bo tak właśnie wyglądał, jak głęboko nieszczęśliwy chłopiec. Był jasnym, z lekka wyłysiałym szatynem, o wysokim, białym czole. Jego jasnoniebieskie oczy koloru nieba były głęboko zapadnięte.

Widać było, że Garrick Stevens bardzo źle się odżywiał. Jego czarna marynarka, choć równie elegancko skrojona jak garnitur pana O’Neala, zwisała luźno z ramion. Spodnie miał za duże, a kołnierzyk za szeroki na swoją chudą szyję.

Najbardziej jednak przyciągała uwagę jego twarz. Była bardzo blada, prawie woskowa, z zapadniętymi skroniami i cienkimi, bezbarwnymi wargami. Wyciągnął do Celi zimną, wilgotną dłoń i delikatnie uścisnął jej rękę.

55

JUDITH O’BIEN

— Miło mi panią poznać, panno Thomason. — Miał głęboki głos, arystokratyczny sposób mówienia, zupełnie niepodobny do chropawej artykulacji pana O’Neala.

— Panie Stevens — uśmiechnęła się do niego. Puściła jego dłoń i spytała. — W czym mogę panom pomóc?

— A więc, panno Thomason... — rozpoczął O’Neal. Ale Garrick Stevens natychmiast powstrzymał szwagra.

— Nie, Brendanie. Zobaczmy, czy panna Thomason nie powie nam sama, co nas dziś do niej sprowadza.

— Mam być poddana próbie? — Chciała zadać to pytanie wyniosłym tonem, ale kiedy spojrzała na Stevensa, zrezygnowała z tego zamiaru.

— Ależ nie — uśmiechnął się blado. — My byśmy tylko chcieli... — Rzucił okiem na pana O’Neala i ponownie wbił wzrok w ziemię. — Chciałem tylko powiedzieć, panno Thomason, iż straciłem nadzieję, że kiedykolwiek zobaczę...

Przerwał, a Celia dokończyła za niego.

— Swoją żonę?

— Tak, ja.... — Spojrzał na nią ze zdumieniem. — Skąd pani wiedziała, że chcę rozmawiać ze swoją żoną?

Zanim zdołała odpowiedzieć, pan O'Neal włączył się do rozmowy z subtelnością godną słonia w składzie porcelany.

— Słuchaj, Garrick — powiedział, uśmiechając się z lekka. — To było oczywiste. Przedstawiłem cię jako swojego szwagra. Chociaż sam nie jestem teraz przykładem męskiego wigoru, to ty, mój przyjacielu, jesteś kompletną ruiną.

Pan Stevens spojrzał na pana O'Neala i, ku zdziwieniu

56

Medium

Celii, uśmiechnął się. Celia poczuła nagle ogromną sympatię do tego mizernego mężczyzny.

Ale dlaczego panu Brendanowi O'Neal tak zależało, aby zrobić z niej oszustkę w oczach szwagra? Jaki był cel ich wczorajszej umowy?

— Pan nie jest ruiną, panie Stevens. Jest pan młodym człowiekiem, którego żona, Amanda, zginęła w tragicznych okolicznościach, i zachowuje się pan stosownie do sytuacji.

— Skąd pani zna jej imię?! — wykrzyknął pan Stevens. O'Neal pospieszył z odpowiedzią.

— To nie było trudne. Wszystkie gazety pisały o tym wypadku, podając również twoje nazwisko. Wyobrażam sobie, jaką sensację to wywołało. Uroczą panną Thomason już na pewno wie, że ty jesteś Anglikiem, a ja Irlandczykiem. Zdradza nas akcent, tak jak nasze ubrania świadczą o tym, że jesteśmy zamożni. A jeśli jest rzeczywiście doskonała w swoim zawodzie, to już wie, że przyjechaliśmy do Nowego Świata za interesami i że zajmujemy się transportem morskim.

To była dla Celii nowa informacja.

— Chodźmy stąd. — O'Neal ruszył w kierunku drzwi.

— Proszę zaczekać! — Celia chciała go złapać za rękę, ale powstrzymało ją jego

pogardliwe spojrzenie. Zwróciła się do drugiego mężczyzny. — Proszę. Jestem pewna, że będę mogła panu pomóc, panie Stevens.

O'Neal uniósł czarne brwi.

— Przepraszam, że zajęliśmy pani tyle czasu, panno Thomason. Nie wierzę, żeby pani mogła wyjaśnić śmierć mojej siostry, i wątpię, czy może pani pomóc mojemu przyjacielowi.

57

JUDITH O'BRIEN

O'Neal i Celia zwrócili się do pana Stevensa, który wydawał się kompletnie zagubiony.

— Ja... — Spojrzał na nich i ponownie wbił wzrok w ziemię. — Wydaje mi się, że to będzie niegrzecznie nie pozwolić pannie Thomason, no... — wymamrotał.

O'Neal potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem. Celia spojrzała na niego i zorientowała się, że chce jej przekazać jakąś wiadomość.

— „Nie rezygnuj” — odczytała z ruchu jego warg. W pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi. Potem pojęła — to była gra. Oczywiście grał siebie — złośliwą, sarkastyczną bestię. W tym wypadku musiała mu jednak przyznać rację. Pan Stevens zapewne wiedział, że jego szwagier nie wierzy w istnienie duchów.

Z trudnością przełknęła ślinę. Musi pamiętać o tym, że O'Neal ma podpisany przez nią dokument, w którym sama stwierdza, że jest oszustką.

— Bardzo pana proszę — zaczęła, starając się nie widzieć błysku rozbawienia w jego oczach. — Jestem pewna, że potrafię dodać otuchy panu i panu Stevensowi.

— Garrick, powtarzam ci, chodźmy.

— Ale — zawahał się Stevens — może powinniśmy jednak spróbować.

— Tak, oczywiście! — Celia ujęła ich pod ręce i podprowadziła do chwiejnego stolika, którego używała w trakcie seansów. — Proszę, siadajcie panowie, a ja zasłonię okna.

Wzięła ich peleryny i skierowała się do drzwi. Nowa pokojówka, Eileen, odebrała od niej okrycia, zaglądając

58

Medium \ ciekawie do salonu i uśmiechając się z rozbawieniem. Celia postanowiła, że

oduczy ją tych szerokich uśmiechów.

Obaj mężczyźni stali przy stoliku. Stevens miał opuszczoną głowę i przestępował machinalnie z nogi na nogę. O'Neal obserwował Celię, która podeszła do okna, aby zaciągnąć zasłony. Coś się zaczepiło — Celia pociągnęła mocno, ale nie dało to żadnego rezultatu. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło — przebiegło jej przez myśl. Zablokowana zasłona. Dlaczego właśnie teraz?

Wyczuła jego obecność za plecami. Znowu pociągnęła zasłonę i wtedy poczuła ciepły oddech na policzku.

— Amanda kochała zwierzęta — szepnął. Pochylił się nad nią i bez wysiłku zasunął zasłonę, po czym wrócił do stolika.

Celii wystarczyło parę chwil, aby dojść do siebie. Zamknęła oczy i przytuliła policzek do grubej, miękkiej tkaniny. Potem zwróciła się do swoich klientów.

— Panowie— powiedziała energicznie. Takim kompetentnym, profesjonalnym tonem zawsze przemawiała do swoich klientów. Teraz wiedziała, co robić. To już było jej terytorium, nie jego.

Nie ich, poprawiła się w myślach. Nie patrząc na nich, podeszła do blatu, gdzie leżały grube świece, których używała przy seansach.

— W tym pokoju jest chłodno — mruknął pan Stevens. Czy nie można by zapalić ognia?

— Przykro mi, ale nie. Ciepło stanowi utrudnienie dla moich umiejętności porozumiewania się z tamtą stroną.

Pan O'Neal chrząknął znacząco. Celia nie zwróciła na

59

niego uwagi. Postawiła świecę na środku stołu i wyjęła z kieszeni zapalki.

— Ja to zrobię. — O'Neal wziął zapalkę i potarł ją o podeszwę swojego buta. Knot świecy zamigotał nagle, oświetlając całą trójkę roziskrzonym płomieniem.

— Teraz proszę położyć ręce w ten sposób — zaczęła, położywszy dłonie z szeroko rozstawionymi palcami na stole. Obaj poszli za jej przykładem. — Proszę wysunąć ręce do przodu — mówiła — żeby nasze palce się stykały; W ten sposób stworzymy krąg.

Pan Stevens zastosował się do polecenia, zerkając na szwagra, jakby szukał u niego

wsparcia.

— Proszę panów o chwilę cierpliwości. Musimy poczekać, aż duchy nas odnajdą.

— Duchy? — Steves odruchowo cofnął dłonie. — Ile duchów chce pani przywołać?

— Spokojnie, Garrick — uśmiechnął się O’Neal. — Jestem pewny, że panna Thomason nie przywoła dużego tłumu, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— Brendan, to mnie wyprowadza z równowagi — odezwał się Stevens.

— Zapewniam pana, że nie ma do tego żadnych podstaw — powiedziała Celia uspokajającym tonem. — Absolutnie nie ma się czego bać. Nie przywykł pan do kontaktowania się z tymi, którzy przeszli już na tamtą stronę. To stanowi naturalną część życia, kontynuację cyklu.

— Oczywiście — potwierdził O’Neal. — W najmniejszym stopniu nie jestem tym zaniepokojony. Wręcz mnie to fascynuje.

60

Medium

— Naturalnie — odezwał się Stevens. — Uważasz się za człowieka nauki. Nic cię nie wyprowadza z równowagi. Ja jestem inny.

Celia gwałtownie złapała oddech.

— Panno Thomason? — zaniepokoił się Stevens. — Czy pani nie jest chora?

Nie odezwała się, tylko jej półprzymknięte powieki drgały lekko.

— Na litość boską, Brendan! Ona chyba dostała jakiegoś ataku!

— Och — jęknęła. Wydała jeszcze jedno dramatyczne westchnienie i opuściła nisko głowę.

— Czy nie powinniśmy jej pomóc?

— Nie przejmowałbym się tym, Garrick. To jest element pokazu. Coś się ludziom należy za ich pieniądze.

Celia obracała teraz głowę z jednej strony na drugą, wydając przy tym ciche jęki.

— To mnie naprawdę wyprowadza z równowagiszepnął Stevens. — Jej zachowanie jest niestosowne, nie uważasz?

— W rzeczy samej.

Celia ponownie złapała oddech i wzniosła nieruchomy wzrok ku górze.

— Hej! — włączył się Stevens. Celia nie zareagowała.

— Jestem waszym przewodnikiem — odezwała się dziwnym, metalicznym tonem. —

Mamy szczęście, duchy są już wśród nas. Z kim chcecie rozmawiać?

Stevens zwrócił się do O'Neala.

61

JUDITH O'BRIEN

— Dobry Boże, Brendan. Czy myślisz, że naprawdę możemy rozmawiać z Amandą?

— Mam pewne wątpliwości — powiedział O'Neal, obserwując nieruchomą twarz Celi.

— Chcę spytać — zaczął Stevens — czy rozpozna pani moją żonę, Amandę?

— Amanda, Amanda... czy Amanda może rozmawiać? Celia odczekała chwilę, po czym skinęła głową w odpowiedzi na pozaziemski głos.

— Dobrze... Tak... Tak... powiem im to.

— Chyba są ponumerowane i czekają na wywołanie mruknął O'Neal. Celia zignorowała tę uwagę.

Zwróciła się do Stevensa, chociaż wydawało się, że niczego nie widzi.

— Pana żona będzie mówić za moim pośrednictwem.

— Tak? — Stevens zbladł. — Amando, najdroższa? — Widzę ją. Stoi obok pana, panie Stevens.

— Naprawdę?

— Tak. — Na wargach Celi ukazał się cień uśmiechu. Ona kocha zwierzęta.

— Słyszałeś, Brendan? — Stevens zwrócił się ponownie do Celi. — Tak. Ona uwielbiała zwierzęta.

— Duchy są dobrze poinformowane — wtrącił O'Neal.

— I muzykę — zaryzykowała Celia. — Kochała muzykę.

— Tak! — ochoczo potwierdził Stevens.

— I... nadal kocha muzykę — powiedziała Celia trochę głośniej.

— Tak. Bardzo lubiła — powtórzył Stevens.

Leżące na fotelu skrzypce poruszyły się lekko. Stevens obejrzał się, słysząc ruch smyczka po strunach. «

62

Medium

— Dobry Boże — wyszeptał.

Skrzypce uniosły się z wolna, wydając nieokreślony dźwięk.

— Nie poznaję tej melodii. — O’Neal wzruszył ramionami.

— Ani ja. Jednak — zastanowił się Stevens — to jest dość nieoczekiwane.

Celia nie zmieniała wyrazu twarzy.

— Duchy chciałyby wiedzieć, dlaczego jest dziwne, że Amanda kochała muzykę?

— To chodzi o to, że... Nie lubiła muzyki skrzypcowej.

— Naprawdę?

— Nie cierpiała skrzypiec.

Celia zamrugała, ale po chwili ciągnęła swoim pozbawionym emocji, mechanicznym głosem.

— Może źle ją pan zrozumiał. Może nie lubiła tylko niektórych melodii. Duchy chcą wiedzieć, jak to jest możliwe, żeby nie cierpieć skrzypiec? Jest to radosny dźwięk, towarzyszący uroczystościom i tańcom.

— No właśnie. — O’Neal uważnie obserwował skrzypce, przenosząc wzrok na sufit, szukając drutów, które je mogły poruszać. — Moja siostra utykała na lewą nogę. Nie mogła tańczyć.

Skrzypce niebezpiecznie zachybotwały, smyczek poruszał się w powietrzu, uderzając o pudło instrumentu, zanim opadł na fotel. Po chwili skrzypce zsunęły się po poręczy i znieruchomiały. Dźwięk drgających strun jeszcze wisiał w powietrzu.

— Na tym polega piękno świata duchów. Wszystkie dusze są wolne od bólu. Niewidomi widzą, a chromi umieją tańczyć — mówiła Celia natchnionym głosem.

63

JUDITH O’BRIEN

Wtedy stojący na kominku wazon zaczął się kołysać. Stevens zeszywniał.

— Patrz, Brendan. Coś się dzieje. Amando, co chcesz mi powiedzieć?

Obaj mężczyźni wpatrywali się w wazon, a Celia wbiła nieruchomy wzrok w przestrzeń. O'Neal pozostał obojętny, natomiast na twarzy Garricka malował się wyraz zaskoczenia.

— Ona mówi... — zaczęła Celia. — Ona ma coś do przekazania.

— Mnie? — wykrzyknął Stevens.

— Wam obu... Chodzi o to, że... angielska waluta nie ma tutaj wartości.

Zapanowała cisza. Po chwili odezwał się Stevens.

— Przepraszam, ale nie mam pojęcia, co to może znaczyć. A ty, Brendan?

— Panna Thomason tylko przekazuje informacje. A duchy chcą, żebyś zrozumiał, że angielska waluta nie przydaje się w Nowym Jorku.

— Chyba rozumiem — powiedział Stevens. — Amanda chce nam przekazać, że powinniśmy się dostosować do sposobu postępowania Amerykanów. Nie jesteśmy w Londynie, Brendan. Wszystkie nasze wyobrażenia i brytyjskie wartości są bezużyteczne w tym nowym świecie. — Zaczerwienił się i jego głos nabrał siły. — To typowe dla Amandy, nie uważasz?

— Absolutnie tak, Garnek. Dokładnie tak by powiedziała.

— Czy jest jeszcze coś? Proszę, odezwij się, najdroższa Amando. ,^i

64

Medium

— Duchy muszą teraz odejść, ale powrócą. Na pewno powrócą. — Głos Celi cichł z wolna. Głowa jej opadła, a po chwili spojrzała przytomnym wzrokiem na siedzących przed nią mężczyzn. — Panowie. Co zostało przekazane?

— Chciałbym to wiedzieć — odezwał się O'Neal, spoglądając na szwagra. — Garnek, co o tym myślisz?

— To było cudowne! Rozmawiałem z moją ukochaną Amandą. Prawda, Brendan?

— To musiało przynieść panu pociechę. — Celia uśmiechnęła się lekko i poklepała jego dłoń.

— Tak! — Rozpromienił się cały.

Celia westchnęła. Stevens był tak wzruszająco prostoduszny. Jakie to okropne, że

dotknęła go taka tragedia.

Oczywiście, jej brat też poniósł stratę. Ale to było co innego.

— A więc, mój przyjacielu, czy chcesz...— zaczął O'Neal. Ale cichy, przytłumiony dźwięk przerwał mu w pół słowa. W rogu salonu, przykryta grubym materiałem, stała stara harfa, na której grywała ciotka Pru w latach młodości. Nie była nastrojona, od bardzo dawna stała zapomniana w tym kącie.

Nic nie wskazywało na to, że ktoś dotykał jej strun, rozlegał się tylko przyciszony dźwięk.

— Brendan, słyszysz?

— Tak. — Głos O'Neala miał niepewne brzmienie. Odchrząknął i obrzucił Celię szybkim spojrzeniem. Jego dłoń na stole zacisnęła się w pięść.

— To melodia, którą grała Amanda. — Stevens wpatrywał się w niewidoczną harfę. — Nie mogła tańczyć, więc grała na harfie.

3 — Medium

65

JJJDITH O'BRIBN

Celia nagle wstała, podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Dzielne światło wdarło się do ciemnego salonu. Zapaliła kilka lamp olejowych, chociaż nie było to konieczne.

— Proszę mi wybaczyć — zwróciła się do siedzących mężczyzn. — Kontakt z duchami jest dla mnie męczący. Chociaż bardzo bym chciała przedłużyć tę wizytę...

— Oczywiście, panno Thomason. To nam proszę wybaczyć. Nadużyliśmy pani dobrych chęci i czasu. — Stevens podniósł się, spojrzał na O'Neala, który również wstał, wzruszając jednocześnie ramionami.

— Co sądzisz o pannie Thomason, Garnek? — spytał.

— Ja... no tak. Myślę, że posiada pani niezwykle uzdolnienia, panno Thomason. Będę zaszczycony, jeśli zgodzi się pani na następne spotkanie. Muszę wszystko przemyśleć, ale jeszcze o wiele rzeczy chciałbym spytać Amandę. Mam jej tyle do powiedzenia.

Na jego twarzy ukazał się smutny, bezbronny uśmiech, który chwycił Celię za serce.

— Będę szczęśliwa, jeśli zdołam być panu pomocna powiedziała serdecznym tonem.

— Dziękuję pani z całego serca. Brendan, na kiedy wyznaczymy następne spotkanie?

— Wiesz co, Garrick, sam się umów z panną Thomason. Ja jestem sceptykiem i nie chciałbym zakłócać twojej wiary.

— Nie uwierzyłeś temu? — Stevens był zaskoczony. — Na litość, Brendan, jakich jeszcze chcesz dowodów? To była Amanda. Ja to czułem!

— Cieszy mnie twoja radość, Garrick. Proszę cię jednak,

66

Medium żebyś uszanował moją niechęć do uczestniczenia w tych seansach, a ja uszanuję twoją chęć uwierzenia w to wszystko.

Stevens potrząsnął głową.

— Żal mi ciebie. Odrzucasz coś wspaniałego.

— Ma pan rację, panie Stevens. — Celia szybko skinęła głową. — Ale nic się na to nie poradzi. Konia można tylko zaprowadzić do wody, ale nie można zmusić go do picia.

— Słusznie, panno Thomason. — O’Neal skłonił się lekko. — Proszę mi więc wybaczyć, że będę omijał pani koryto.

Celia chciała odpowiedzieć, ale rzuciła mu tylko złe spojrzenie. Stevens spojrzał niepewnym wzrokiem na swego szwagra, nadal zgiętego w szarmanckim ukłonie.

O’Neal wyprostował się i sięgnął do kieszeni. Uśmiechnął się, otwierając portfel.

— Okazuje się, panno Thomason, że mam tylko angielską walutę.

Stevens, który przez ten czas przypatrywał się harfie, obrócił się żywo ku niemu.

— Tylko angielską walutę? Na litość boską, Brendan! Amanda ostrzegła nas przed angielską walutą!

O’Neal podniósł rękę go góry.

— No tak. Widzi pani, panno Thomason, nie przebywam w tym kraju tak długo jak mój szwagier i jeszcze nie miałem okazji wymienić pieniędzy. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Garrick... Mogę cię zapewnić, że jestem bardzo skrupulatny i oddam ci pieniądze dziś wieczór.

Zemocjonowany Stevens wyjął portfel i wręczył go Brendanowi.

67

JUDITH O'BRIEN

— Ja teraz pójdę po nasze peleryny. Bierz, ile chcesz. Każdą sumę. — Uścisnął dłoń Celia. — Dziękuję. Dziękuję z całego serca. Kiedy mogę znowu przyjść?

— Kiedy pan tylko zechce, panie Stevens. — Spojrzała wymownie na O'Neala. — Oczywiście, będzie pan zawsze mile widziany.

— Dziękuję, droga pani. Ja... muszę wyjść na powietrze. Ogarnęła mnie...

— Idź, Garrick. Zaraz do ciebie dołączę.

Stevens wybiegł z salonu. O'Neal i Celia widzieli, że miał uśmiech na twarzy.

— Wydaje mi się, że pana ponury przyjaciel zmienił się pod wpływem tego, co się tu wydarzyło.

Przez chwilę O'Neal wpatrywał się w nią bez słowa.

— Rzeczywiście, jest pani bardzo dobra. — Wyjął dwa dziesięciodolarowe banknoty z portfela. — Czy to wystarczy?

— Z powodzeniem— odparła, biorąc pieniądze. Uśmiechnął się z przymusem.

— Panno Thomason, proszę mi powiedzieć, skąd pani wiedziała o harfie?

— Jak pan sam stwierdził, jestem bardzo dobra.

— Tak. Na to wygląda. Do widzenia, panno Thomason. Damy pani znać, kiedy pan Stevens będzie chciał panią odwiedzić.

Skinęła głową z lekkim uśmiechem na wargach.

Wreszcie wyszedł, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na przykrytą harfę. Celia odetchnęła.

Wystawił ją na próbę. Uświadomiła sobie nagle, że gdyby coś się nie udało, umowa z panem O'Nealem i jego

68

Medium szwagrem nie doszłaby do skutku. On przecież miał ten papier z jej podpisem. Mogłaby zostać zrujnowana, wystawiona na publiczne upokorzenie. Niewiele brakowało, pomyślała i westchnęła głęboko.

— No i co? — Ciotka Pru wyłoniła się spoza boazerii. Jaka działka?

Ciotka Pru lubiła czasami używać słownika rzezimieszków z podrzędnych teatrów.

— Dwadzieścia dolarów. — Celia uśmiechnęła się, pokazując banknoty.

— Wspaniale!

Rozległ się znajomy chrobot w kominie. Pokazała się jedna noga, potem druga i wreszcie cały Patryk.

— Oj, już myślałem, że będzie z nami źle, panienko!

— Ja też tak myślałam, Patryku. — Celia wreszcie się odprężyła. — A dzięki tobie będziemy mieli stałego klienta.

— Ach, to nic takiego. — Patryk był zadowolony z pochwały.

— Ależ to niewątpliwie twoja zasługa. — Spojrzała na harfę. — Kiedy zdążyłeś ją przygotować?

Patryk spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Co takiego, panienko?

— Harfę. Kiedy ją przygotowałeś, żeby zagrała?

— Ja tego nie zrobiłem.

Celia spojrzała na ciotkę Pru, która również wydawała się zdezorientowana.

— Nie rozumiem. — Celia odsłoniła harfę. — Trzeba to sprawdzić. — Pochyliła ją do przodu, szukając ukrytych sznurków, przytwierdzonych do ściany. Ale niczego tam

69

nie było. Obróciła ją, przechyliła na bok, ale to również nic nie dało. Kiedy dotknęła strun, w pokoju rozległy się chropawe dźwięki nienastrojonej harfy.

— Okropne. Trzeba ją nastroić — odezwała się ciotka Pru.

— Założę się, że to przeciąg — powiedział Patryk.

— Co? — Celia podniosła głowę.

— Ona stoi blisko okna, a jest listopad. Założę się, że te dźwięki to z przeciągu.

— Tak. — Celia przygryzła wargi, postawiła harfę na miejsce i starannie przykryła. — Tak. Jestem przekonana, że masz rację.

Patryk wzruszył ramionami i wyszedł z salonu.

— Tak — powiedziała do siebie. — To musiał być przeciąg.

Stojąca w rogu, okryta materiałem harfa nie wydawała żadnego dźwięku.

— Tak. Z całą pewnością to przez ten listopadowy wiatr.

Ijarrick Stevens siedział samotnie w swoim gabinecie i wpatrywał się w ogień.

Wszystko to zrobił dla Amandy.

Ale nikt tego nie rozumiał. Teraz wyglądało to zupełnie inaczej, zdecydowanie bardziej podejrzanie.

Wstąpił do tajemnego bractwa, aby zrobić na niej wrażenie, aby pokazać, jak poważnie traktuje jej problemy i jej życzenia. Wystraszył się, kiedy po raz pierwszy zaczepił go na ulicy dziwny osobnik, jakich pełno było w tym obcym mieście. Jednak tego wieczoru, po kolejnym spędzonym w napiętej atmosferze obiedzie, kiedy nie mieli sobie nic do powiedzenia, wspominał jej o tym spotkaniu.

— Wiesz, Amando — zaczął. Spojrzała na niego z drugiego końca stołu, świece w srebrnych kandelabrach rzucały światło na jej delikatne rysy. Jakżeż była piękna! Chociaż dom wyposażony był w instalację gazową, Amanda nie miała do niej zaufania i wolała używać świec.

JUDITH O'BRIEN

— Tak, Garrick. — Jej głos był bezbarwny, nie dźwięczała w nim ta radosna nuta, która go oczarowała w Londynie.

— Rozbawi cię to — zaczął, mając nadzieję, że tak się stanie. Od wielu miesięcy nie uśmiechała się do niego. Można było tę oziębłość tłumaczyć śmiercią jej ojca i wyjazdem brata do Londynu, gdzie musiał uporządkować wszystkie sprawy. W tej sytuacji każda kobieta, nie tylko młoda mężatka, byłaby smutna.

Garrick podejrzewał jednak, że to on sam był powodem jej rozczarowania. Dawniej, w Londynie, słuchała go uważnie, była zachwycona opowieściami z jego wczesnej młodości, szczególnie jeśli występował w nich Brendan.

Potem wszystko się zmieniło. Kiedy powtarzał historie, którymi niegdyś była zachwycona, słuchała uprzejmie i powracała do swoich smutnych myśli.

Miał nadzieję, że przynajmniej ta opowieść ją zainteresuje.

— No, więc — zaczął, a ona przesuwiała widelcem kawałek mięsa na talerzu. — Jakiś

dżentelmen zaczepił mnie na ulicy, przed moim biurem. Powiedziałem „dżentelmen”, ale on w żadnym wypadku nie pasował do tego określenia.

Kawałek mięsa na talerzu Amandy był teraz otoczony zielonym groszkiem.

— Spytał mnie, czy mam jakieś powiązania z Transportem Morskim O’Neala.

Spojrzała na niego. Czy to było zainteresowanie?

— Potwierdziłem, nie wiedząc, o co mu chodzi, domyślając się jedynie, że będą to sprawy zawodowe. I wiesz, o co mnie spytał?

72

Medium

Potrząsnęła przecząco głową. >

— Spytał, czy nie chciałbym wstąpić do Bractwa Irlandzkiego! Musiał mnie wziąć za Brendana, bo nie zwrócił uwagi na mój wyraźny angielski akcent.

— Bractwo Irlandzkie? — spytała. — Czy to oni starają się zebrać pieniądze dla ofiar głodu?

— Tak mi się wydaje.

Wykazała zainteresowanie. Nareszcie nawiązał z nią kontakt.

— Och, Garnek. Musisz się do nich przyłączyć! Ludzie w kraju cierpią okropnie, nawet w okolicy zamku Sitric. Nic się nie robi w Anglii, żeby im pomóc. Proszę cię, proszę, przyłącz się do nich! Możemy im posłać pieniądze, zrobić wszystko, co w naszej mocy.

Tego się nie spodziewał. Mężczyzna, który podszedł do niego, wyglądał na prawdziwego złoczyńcę. Garrick myślał początkowo, że chce go okraść.

— Kiedy odbędzie się zebranie? — Amanda odłożyła już widelec, a jej urzekające niebieskie oczy były pełne blasku.

— Myślę, że w tym tygodniu. Tak mi się przynajmniej wydaje. — Przytknął lnianą serwetkę do ust. — Nie słuchałem uważnie.

— Czyja też mogę iść? Proszę cię, Garrick. Ja też chcę pomóc.

Zawahał się. Upił łyk wina.

— Wiesz, Amando, to nie jest dobry pomysł, żebyśmy zawierali przyjaźń z takimi ludźmi jak ten mężczyzna. Mamy zbyt wiele do stracenia...

— Nie, Garrick! Posłuchaj mnie. Właśnie mamy zbyt

73

wiele. Popatrz na to jedzenie, które przygotowała służba. Połowa tego zostanie wyrzucona. Piwnica win — czy to konieczne? Oczywiście, że nie. Możemy zrobić coś dobrego, coś naprawdę dobrego. Nie tylko zaopatrzyć tych ludzi w fundusze, ale szukać sposobu, żeby uzyskać dla nich jeszcze więcej.

— Amando, ci ludzie nie pochodzą z naszej sfery, oni są...

— Irlandczykami? — spytała z pałającymi oczami. Jej twarz stężała, a wargi były zaciśnięte.

— Nie, nie. Nie to miałem na myśli.

— Tak. To chciałeś powiedzieć. Czy mogę zadać ci proste pytanie?

— Oczywiście— odpowiedział bez wahania, chociaż spodziewał się najgorszego.

— Gdyby głód dotknął nie Irlandię, tylko Anglię, czy nie zrobiłbyś wszystkiego, co w twojej mocy, aby pomóc swojemu krajowi?

— Głód w Anglii? — Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. — Co za absurdalny pomysł! To nie mogłoby się zdarzyć teraz, w nowoczesnym kraju, ponieważ my...

Jej oczy zwęziły się i rzucały złe błyski. Zorientował się, jak bardzo niewłaściwie — przynajmniej dla niej brzmiały te słowa.

— O to mi właśnie chodzi— szepnęła tak cicho, że ledwie usłyszał.

— To nie takie proste — zaczął łagodnym tonem. — Tu wchodzi w grę skomplikowane kwestie ekonomiczne, które trudno byłoby ci pojąć.

— Według mnie to jest proste. Ostatnimi laty Irlandię

74

Medium “■ dotknęła klęska głodu. Umierają całe rodziny. Kobiety i dzieci konają przy drogach. Mają zielone wargi, bo jedzą trawę. Widzą, jak na nabrzeżach ładuje się na statki tłuste irlandzkie bydło, aby wysłać je do Anglii, gdzie ich mięso znajdzie się w Yorkshire pudding. Czytałam nawet artykuły w gazetach, gdzie pisano bez ogródek, że głód w Irlandii jest problemem Irlandii. Nie ma to najmniejszego wpływu na Anglię, poza obniżeniem cen irlandzkiego zboża, masła, a nawet koronek.

Gdzie ona to czytała? Skąd miała dostęp do takich informacji?

Wreszcie znalazł odpowiedź.

— Więc dobrze. Sytuacja jest naprawdę ponura. Dlaczego twój brat nie spieszy z pomocą?

— Robi to — odparła. — Zrobił wszystko, co było możliwe — nie bierze czynszu od dzierżawców, wybija nasze stada bydła i oddaje mięso potrzebującym. Ale dopóki jesteśmy pod jarzmem imperializmu brytyjskiego, to pozostają nam tylko półśrodki. Uwierz mi, Garrick, on próbował wpłynąć na politykę rządu, ale nic nie mógł zrobić.

Wymówiła jego imię w szczególny sposób. Tego tonu nie słyszał od bardzo dawna. Czyżby słysząc w nim było serdeczność? Może nawet uczucie?

— Ale tu, w tym kraju — ciągnęła, wpadając w coraz większe podniecenie — możemy naprawdę pomóc. Pomyśl tylko, gdyby Irlandia nie była traktowana jak część Anglii, ta gorsza część, moglibyśmy sami sobie pomóc! Do tej klęski przyczynili się nieobecni w kraju wielcy właściciele ziemscy, którzy z biedaków zrobili nędzarzy.

75

JUDITH O'BRIEN

— Amando — zaniepokoił się. — Ty dążysz do rewob!«\$y nie tylko do nakarmienia głodujących.

— To jest ze sobą powiązane, nie rozumiesz? Te słowa naprawdę go zaszokowały.

— Nigdy przedtem nie wyrażałaś zainteresowania autonomią Irlandii w ramach imperium brytyjskiego.

— Ponieważ nie interesuje mnie autonomia. Parlament w Londynie nie będzie nam niczego dyktował. My potrzebujemy całkowitej wolności.

— Przecież jesteś wolna!

— Nie. Jestem w obcym kraju, pod angielskim nazwiskiem, chroniona przez pieniądze. Zawieź mnie do kraju, zabierz pieniądze, a stanę się niewolnicą imperium. Taką samą niewolnicą jak ci biedacy.

— To nie nasza sprawa, Amando. Jeśli oni wybrali niewolnictwo, to ich prawo.

— Nikt nie ma prawa! Prawa nad innym człowiekiem, czy to będzie Irlandczyk,

Afrykanin czy nawet Anglik.

Patrzył na swoją młodą żonę i miał uczucie, że tak naprawdę nic o niej nie wie. Kim jest ta kobieta?

Miał wielką ochotę sięgnąć po leżącą na stole bułeczkę, ale wiedział, że byłoby to niewłaściwe. Były jeszcze ciepłe i masło mogłoby się na nich rozpuścić.

— Proszę cię, Garrick. Przynajmniej idź na zebranie. Dowiedz się, czy ja też mogłabym przyjść następnym razem.

Uśmiechnęła się do niego, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Poczł przyspieszone bicie serca.

— Dobrze — powiedział z napięciem w głosie. — Jeśli tak ci na tym zależy.

16

Medium

Jeszcze nie skończył, kiedy Amanda zerwała się z krzesła i podbiegła do niego. Zarzuciła mu ramiona na szyję i obsypała pocałunkami. W tej chwili nie myślał już o żadnych ciepłych bułeczkach.

Zrobił to tylko dla niej. Wszystko, co się potem działo, cała reszta wydarzeń, wynikała z jego chęci uszczęśliwienia Amandy.

Orendan O’Neal był wreszcie sam w swoim cichym „pokoju”.

Co prawda Garnek wynajął dla niego luksusowy apartament w hotelu Astor, gdzie sam zajmował pokoje po przeciwnej stronie. Brendan nie przepadał jednak za wytwornymi hotelami, mającymi trzysta pokoi i doskonałą obsługę. Znalazł więc sobie w pobliżu spokojny pensjonat, blisko dzielnicy wielkich banków i brzydkich budynków biurowych.

Poczł się swobodnie dopiero wtedy, kiedy zamknął drzwi na klucz, schował płaszcz oraz marynarkę do szafy i rozpiął kołnierzyk koszuli.

Usiadł na miękkim, choć dziwnie niewygodnym fotelu, patrząc na stos książek, które nabył tego dnia w sklepie na Nassau Street. Jeden z właścicieli, wielki erudyta Charles Scribner— z łatwością namówił go do kupna wielu dziwnych amerykańskich powieści, ostatnich publikacji naukowych, magazynu literackiego „The Knickerbocker Review” oraz „Scientific American”.

Patrzył na książki równo ułożone na małym stoliku i nie po raz pierwszy zastanawiał się, kiedy uda mu się

77

JUDITH O'BmEN otworzyć którąś z nich i przejrzeć choćby kilka stron. Podzielił w końcu los setek innych książek, popakowanych w kartony w Londynie, pozostawionych w Irlandii czy też znajdujących się wciąż na statkach i okrążających wraz z nimi kulę ziemską.

Były równie bezdomne jak on.

Co się zmieniło w ostatnich latach?

Brendan zamknął oczy. Nie chciał o tym myśleć, nie mógł jednak uwolnić się od wspomnień.

Dom rodzinny, którego nie widział od lat, ale pamięć o nim nigdy go nie opuszczała. Świeża zieleń łąk, błyszczące od deszczu kamienne ogrodzenia, zapach ziemi. W domu zawsze panował ruch, kręciła się służba, pamiętał dobrze ich czarne uniformy i białe, wykrochmalone fartuszki pokojówek. Pamiętał kamerdynera Kenneya, który w chwilach wolnych od zajęć pokazywał mu, gdzie najlepiej biorą pstrągi w strumieniu. Był jedynym dzieckiem w świecie dorosłych, rozpieszczano go więc i faworyzowano.

Był dzieckiem, nie rozumiał więc, że należy do uprzywilejowanego świata.

To był magiczny czas — najwcześniejsze lata jego życia. Na jego wargach ukazał się uśmiech, twarz nabrała łagodnego wyrazu pod wpływem wspomnień, którymi nie dzielił się z nikim, które były jego wyłączną własnością. Powracały do niego w przeblyskach pamięci, jedno po drugim.

Przede wszystkim dom, jego dom rodzinny, zamek Sitric, od kilku pokoleń należący do rodziny ojca. A jeszcze wcześniej będący nieodłączną częścią starożytniej

78

Medium historii Irlandii. Brendan często wyglądał z okna i patrzył na dziwną konstrukcję na dziedzińcu. Nie był to budynek mieszkalny, całość została dobudowana później. Uważano, że jest to pogańska świątynia. Cały dom, sześćdziesiąt sześć pokoi, otaczał tę kamienną budowlę, wzniesioną w prehistorycznych czasach przez ludzi, po

których nie było już śladu.

Służba zawsze obawiała się tej ruiny, która dominowała swoim akcentem nad zanikiem Sitric. Przechodząc koło jej okien, odwracali oczy, czynili szybkie znaki krzyża, aby zabezpieczyć się przed duchami pogan, które wędrowały swoimi dawnymi ścieżkami i wirowały we mgle. Raz, kiedy Brendan miał dziesięć lat, wydawało mu się, że widzi, idące rzędem, zakapturzone postacie. Tego samego dnia, przy obiedzie, podzielił się tą wiadomością z rodzicami.

— Och, Brendan. — Matka uśmiechnęła się. Jej piękną twarz oświetlał płomień świecy. Tego wieczoru właściwie wszystko lśniło, srebro, lustra i powierzchnia bardzo długiego stołu. — Masz niezwykłą wyobraźnię!

— Wcale nie. — Zmarszczył czoło i po dziecinnemu wyduł wargi.

— Synu. — Ojciec spojrzał znacząco na matkę. — Na pewno nie jesteś pozbawiony wyobraźni. Pamiętasz, co nam niedawno opowiadałeś o elfach?

— Dowiedziałem się o tym od Emily. Ona ma już prawie trzynaście lat. Opowiadała mi, jak elfy przychodzą i nawet czasem zostawiają swoje maleńkie buciki...

— Emily? — spytał ojciec.

— Córka pomocnika ogrodnika, mój drogi.

79

JUDITH O'BRIEN

— Dobry Boże. — Ojciec roześmiał się. — To ona ma już trzynaście lat? Wydaje mi się, że jej chrzest był dwa tygodnie temu.

— Wkrótce znowu odbędzie się chrzest.

Rodzice wymienili spojrzenia, ale Brendan nadal nic nie rozumiał. Po pewnym czasie wszystko się wyjaśniło. Jego matka spodziewała się drugiego dziecka.

Brendan domyślał się, że przestanie być jedynakiem, znajdującym się w centrum zainteresowania rodziców. Ich oczy nie będą już patrzyły z dumą i miłością wyłącznie na niego, ani podczas posiłków, ani przy popisach jazdy konnej i strzelania z łuku.

Dopóki nic nie wiedział o drugim dziecku, nie znał uczucia nienawiści. Teraz znienawidził swojego nowego brata lub siostrę z siłą, której sam się dziwił. W nocy

pocieszał się nadzieją, że coś okropnego spotka tego intruza, jak określał w myślach mającą przyjść na świat istotę. Czasami wzywał zakapturzone postacie z dziedzińca, żeby przyszły i coś uczyniły w tym kierunku.

W tym samym okresie zaczął zdawać sobie sprawę, że jego ojciec ma dużą władzę. Powoli docierały do niego wydarzenia, których przedtem wcale nie zauważał.

Różne ważne osobistości przyjeżdżały do ojca, do zamku Sitric. Burmistrz Dublina, członkowie rządu, lordowie byli przyjmowani przez ojca w jednym z zamkowych salonów. Sam rzadko jeździł do Dublina i tylko za własnymi interesami, żeby doglądać budowy nowych statków i kontrolować transport.

Wiedza ta dała Brendanowi poczucie własnej ważności. Wiedział, że pewnego dnia to on będzie przyjmował te

80

Medium wszystkie ważne osobistości, które przyjadą na jego wezwanie. Bez względu na wszystko, zawsze będzie pierworodnym synem. Ta myśl osłabiła nienawiść do nowego dziecka.

Kiedy zbliżał się czas jego przyjścia na świat, Brendan doszedł do wniosku, że będzie dobrze mieć kim rządzić. Będzie miał kogoś, kto przyniesie mu buty i posprząta pokój.

Może wcale nie będzie tak źle.

Kiedy nadszedł dzień rozwiązania, odesłano go do ~ domu kucharki, mieszkającej w obrębie zamkowych murów. Dostał tam ciasteczka, herbatę, kakao, a nawet kandyzowanego ananasa.

Wydawało mu się, że wszystko trwa bardzo długo. Zasnął, zanim doczekał się wiadomości, czy ma brata, czy siostrę. Wreszcie pojawił się ktoś z zamku, poszeptał z domownikami, a Brendan dostał znowu coś do jedzenia.

Wiedział już, że musiało zdarzyć się coś złego.

Kucharka zarzuciła na siebie chustę i wyszła. Kiedy wróciła, miała zapłakane oczy, ale powiedziała mu z uśmiechem, że ma śliczną, małą siostrzyczkę, Amandę. Jego matka jest bardzo zmęczona, musi odpoczywać, więc Brendan zostanie u kucharki jeszcze przez parę dni.

Powiedziano mu tylko tyle. A gdy po jakimś czasie posłano go do zamku, do jego domu, na drzwiach wisiał wieniec i powiewały czarne chorągiewki. Brendan wiedział, że jego matka umarła, zanim mu o tym powiedziano.

Wszystko uległo zmianie. Ojciec stał się oziębły i zamknięty w sobie. Siostra Brendana — Amanda, która urodziła się ze zniekształconą lewą stopą — płakała dzień i noc.

81

JUDITH O'BRIEN

Lekarze usiłowali wyprostować jej nóżkę na wszelkie możliwe sposoby. Jeden z nich zamknął ją w urządzeniu przypominającym pudełko. Ale nic nie dawało rezultatów. Ojciec nadal był nieprzystępny. Mała Amanda płakała z bólu, a może również dlatego, że czuła się bardzo osamotniona. Po kilku miesiącach ojciec wysłał Brendana do szkoły w Anglii.

Ten bardzo dziecinny chłopiec nagle musiał szybko dorosnąć. Nie przyjeżdżał do domu przez pierwsze trzy lata, spędzając krótkie wakacje u dalekich krewnych w Londynie, a czasem u kolegów szkolnych. Kiedy wreszcie wrócił, ojciec nie opuszczał prawie swojego gabinetu, natomiast mała Amanda chodziła za nim wszędzie swoim chybotliwym krokiem, z szeroko otwartymi niebieskimi oczami.

Był zaszokowany zmianami, jakie zastał w zamku. Dom, niegdyś pełen radości i śmiechu, stał się miejscem cichym i ponurym.

W głębi duszy Brendan obwinał siebie za te zmiany. To właśnie on przed laty tak żarliwie pragnął, żeby coś złego stało się dziecku, i to pragnienie niestety się spełniło. Nie uważał, że posiada nadludzką moc. To sprawiła magia tego miejsca, kamienie na dziedzińcu. To była magia Sitric.

Po powrocie do Anglii zwierzył się ze swoich podejrzeń jednemu z nauczycieli, który wcale go nie wyśmiał, tylko wskazał książki, w których współczesna nauka obalała poglądy różnych wielkich ludzi. Oni również wierzyli w sprawy nieistniejące w rzeczywistości.

— Niech się pan kieruje rozsądkiem, O'Neal, dobrym,

82

Medium zdrowym rozsądzeni! Niech się pan opiera na prawdach naukowych. —

Od tamtej pory Brendan kierował się rozumem. Założył nawet notatnik z kolumnami „Co wiem” i „Czego nie wiem”. Początkowo kolumna z rzeczami, które znał, była prawie pusta. Lecz powoli ulegało to zmianie. Odkrywał przyczyny przyływów i odpływów i to, dlaczego gwiazdy wydają się przesuwać po niebie. Ku swojemu zadowoleniu, był w stanie wyjaśnić to, co wydawało się niemożliwe do wyjaśnienia.

Kiedy miał piętnaście lat, spotkał chłopca, który został jego najbliższym przyjacielem — Garricka Stevensa. Garrick nie był sportowcem jak Brendan, nie był również towarzyski i inni chłopcy unikali go. Był za to bardzo zdolny i miał dużą wiedzę. Kiedy Brendan pytał go o greckich filozofów, odpowiadał bez zaglądania do książek. To zrobiło na Brendanie duże wrażenie. Wkrótce okazało się również, że Garrick jest także dobrym kolegą. Kiedy Brendan leżał chory na wietrzną ospę, odwiedzał go i pomagał mu w nauce. Garrick stracił ojca kilka lat wcześniej, więc dobrze rozumiał stratę, jaką poniósł Brendan przez śmierć matki.

Było zrozumiałe, że Brendan przyjął zaproszenie kolegi, aby spędzić wakacje w jego domu.

Brendan był zdziwiony, że szacowna rodzina Stevensów żyła w raczej skromnych warunkach. Miał już wtedy pewne pojęcie o zarządzaniu dużym majątkiem. Ich siedziba, zwana po prostu Dworem Stevensa, była o wiele mniejsza niż zamek Sitric, jej właściciele traktowali ją

83

JUDITH O'BrIEN jednak z nabożnym szacunkiem, jak uświęcone, odwieczne dziedzictwo.

Dopiero podczas tego pobytu Brendan, po raz pierwszy, odczuł, co to znaczy być Irlandczykiem. Co prawda, miał już pewien przedsmak tego w szkole, podczas zawodów sportowych i bójek, ale dopiero na Dworze Stevensa uświadomił sobie, że bycie Irlandczykiem jest traktowane jak ułomność, skaza charakteru. Już pierwszego ranka, przy śniadaniu, matka Garricka zrobiła jakąś uwagę na temat irlandzkiej służby.

— Trzeba brać pod uwagę ograniczenia umysłowe Irlandczyków — powiedziała, potrząsając głową.

Brendan zaczerwienił się, Garnek był zakłopotany, ale na szczęście jego matka nie rozwijała już tego tematu.

Brendan stał się jednak czujny i wychwytywał wszystkie komentarze i opinie dotyczące Irlandczyków. Zakładał, że matka Garricka nie wiedziała o jego pochodzeniu, mogła nie dosłyszeć jego nazwiska, nie zwrócić uwagi na wzmiankę Garricka o zamku Sitric w pobliżu Dublina.

Ostatniego wieczoru, przed powrotem chłopców do szkoły, pani Stevens zaprosiła sąsiadów na obiad. Chłopcy jedli w milczeniu, odzywali się tylko wtedy, jeśli ktoś zadał im pytanie, słuchali uprzejmie wywodów starszego pana, lorda Warfielda, o jego wspaniałych wyczynach sportowych w Eton, gdzie mężczyźni nosili pudrowane peruki i jedwabne pończochy.

Chociaż nikt z gości nie powiedział mu nic nieprzyjemnego ani nie zachował się niegrzecznie, Brendan widział uniesione brwi i wymianę spojrzeń, kiedy go przedstawiano. W pewnym momencie jakaś dama w jedwabnym

84

Medium turbanie rozpoczęła dyskusję o autonomii Irlandii, ale uciszono ją dyskretnie, zanim Brendan mógł się zorientować, co chciała wyrazić. Chociaż nikt nie był dla niego jakoś szczególnie niemili, chłopiec czuł, że traktują go jak kogoś gorszego.

Był inny niż oni. Jego maniery były równie dobre, wiedział, jakiego widelca używać i jak prowadzić uprzejmą rozmowę z nieznanymi. Rozumiał doskonale, że prezentuje się równie dobrze jak oni, a nawet lepiej od niektórych. Był czysty i doskonale ubrany. A jednak był inny.

Ponieważ urodził się i wychował po innej stronie Morza Irlandzkiego, bogactwo i władza jego ojca traciła wszelkie znaczenie. Był ważną osobą w Dublinie, ale nie w Londynie. Ta różnica geograficzna na zawsze oddzielała go od zgromadzonych przy tym stole ludzi.

Tej lekcji nie zapomniał nigdy. Po latach, kiedy zaczął zarządzać Transportem Morskim O'Neala, od razu założył w Londynie duże biuro. Wkrótce jego firma zdystansowała większość znanych firm angielskich i Brendan O'Neal został uznany za jednego z

najbogatszych ludzi, zarówno w Londynie, jak i w Dublinie.

Ale nadal był odmienny. Czuł to wyraźnie, kiedy przebywał w którymś klubie, ucztował z członkami parlamentu czy spotykał się z ludźmi na prywatnym gruncie. Jego obecność zawsze prowokowała podobne reakcje — brwi uniesione w górę ze zdziwienia i niedowierzania. Był obiektem zaciekawienia, mimo swoich nieposzlakowanych manier i eleganckiego ubrania.

Kiedy więc Garrick Stevens, członek szacownej an—

85

gielskiej rodziny, pokochał i poślubił Amandę O’Neal, wywołało to wrzenie po obu stronach Morza Irlandzkiego. Garrick zobaczył ją raz w Londynie, kiedy wsiadała do powozu, i zakochał się od pierwszego wejrzenia. Nie obyło się tam bez zjadliwych komentarzy na temat dzikiej irlandzkiej dziewczyny, która wdziera się do londyńskiego towarzystwa. Niektórzy ludzie, choć nigdy jej nie widzieli, twierdzili, że chodzi boso i je rękami. Nikt nie wspomniał, że dzięki pieniądzom O’Neala Dwór Stevensa odzyska swą dawną świetność. Nikt również nie zwrócił uwagi na fakt, że Garrick Stevens nie potrafi znaleźć żadnego zajęcia i że nawet nie bardzo się o to stara. Jego matka uważała, że nie powinien pracować. Żadna przyzwoita kobieta z jego sfery nie chciała go poślubić, a Garrick stawiał znak równości między przyzwoitą kobietą a przyzwoitym posagiem.

Po drugiej stronie rozpaczano, że uroczna Amanda nie będzie już uświetniać salonów i sal balowych Dublina. Wielu młodych Irlandczyków oraz kilku, których już od dawna nie uważano za młodych, straciło szansę ubiegania się o jej względy.

Brendan miał tylko jeden cel. Musiał dowiedzieć się, co działo się z Amandą w czasie, kiedy on był w Londynie. Coś się w jej życiu wydarzyło — tego był pewien. Garrick nie mógł mu w niczym pomóc, był tak zrozpaczony po stracie żony, że stał się całkowicie bezużyteczny jako partner w interesach i źródło jakichkolwiek informacji.

Brendan, siedząc samotnie w swoim pensjonacie, wyjął nowy notatnik, który kupił w sklepie pana Scribnera.

86

Medium A

Otworzył pierwszą stronę i na czystej kartce napisał to samo, co zwykł pisać jako chłopiec. f

„Co wiem” i „Czego nie wiem”.

Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie dowie się prawdy o ostatnim okresie życia Amandy. Nie zajmował się siostrą, kiedy dorastała, z trudem poznał Amandę w uroczej, eleganckiej kobiecie, którą zobaczył w Londynie. Zaprzysiął sobie jednak, że nie zawiedzie jej po śmierci.

I[^]elia delikatnie uchyliła okno w salonie. Uniosła materiał przykrywający stojącą w kącie harfę, odkrywając ją bardziej niż poprzednim razem. I czekała.

Ale nic się nie wydarzyło. Tego popołudnia wiał zimny wiatr, a przenikliwy chłód wdzierał się przez szparę w oknie i wydobywał z pozbawionego ognia kominka, jednak harfa nie wydała żadnego dźwięku.

— No tak — powiedziała Celia, stając na środku pokoju, oczekując, że jednak coś się wydarzy. Musiało być jakieś wytłumaczenie dla dziwnych dźwięków, wydawanych przez harfę w obecności panów Stevensa i O’Neala.

Patrząc na niemy instrument, jakby oczekując od niego jakiegoś wyznania, Celia przebiegała myślą wszelkie możliwe ewentualności. Może ciężki powóz przejeżdżał West Fourth Street, powodując wibrację strun harfy. Mogło to być również spowodowane osadzeniem się budynku, tak przecież dzieje się z domami.

Zdarzało się również, że strumień Minetta występował z brzegów i zatapiał piwnice. Może woda przelewała

87

JUDITH O’BIUEN się na dole, powodując drgania, które przenosiły się na struny harfy. Może jakieś małe zwierzątko wemknęło się frontowymi drzwiami.

Tak, pomyślała. Małe zwierzątko posiadające wyjątkowy talent grania na harfie swoimi drobnymi łapkami. Takie rzeczy stale się zdarzają.

Usłyszała gwałtowne kołatanie do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołała, ponownie zbliżając się do harfy. Nowa myśl przyszła jej do głowy — może ktoś przechodził tamtędy ciężkim krokiem. Nie dość blisko, aby można

go było usłyszeć, ale wystarczająco, aby poruszyć struny harfy.

Podeszła jeszcze bliżej i tupnęła prawą nogą. Nic. Zrobiła jeszcze jeden krok i tupnęła ponownie. I jeszcze raz.

Słyszała, że ktoś otworzył drzwi, ale zaabsorbowana swoim eksperymentem nawet się nie obejrzała. Pochyliła się i tupnęła jeszcze mocniej.

— Panno Thomason?

— Pan O’Neal! — pisnęła. — Proszę mi wybaczyć dodała spokojniejszym tonem. — Właśnie...

— Dobry Boże, to tak tańczą amerykańskie kobiety? Muszę się ich wystrzegać.

— Nie, widzi pan...

Zauważyła, że O’Neal uśmiecha się do niej przyjaźnie, i sama też się uśmiechnęła.

— Wydaje mi się, że szuka pani nowych sposobów na wydobywanie dźwięków z harfy. Muszę pani pogratulować. Pani pomysłowość jest godna podziwu.

— Och! — Celia odgarnęła włosy wpadające jej do

88

Medium oczu. — Tak. Dziękuję panu. — To zadziałało — dobierała uważnie słowa — zadziwiająco dobrze.

— Rzeczywiście. — Przyniósł ze sobą zapach świeżego powietrza, trawy i liści.

Zdumiał ją ponownie ogrom jego postaci, jak również kolor jego oczu. Nie zauważyła przedtem, że są ciemnobrązowe.

— Przyszedłem, aby pani pogratulować — powiedział, składając jej sztywny ukłon. — Sama pani rozumie, że nie mogłem tego zrobić’ wcześniej, w obecności Stevensa, ani też napisać. Muszę panią powiadomić, jeśli jeszcze tego nie zrobiłem, że za wszelką cenę powinniśmy unikać porozumiewania się na piśmie.

— Naturalnie.

Skinął głową i zaczął rozglądać się po pokoju.

— Czy przygotowuje pani jakieś nowe sztuczki dla Garricka?

Celia poczuła się obrażona tonem, jakim zadał to pytanie.

— Sir, pan mnie traktuje jak nadwornego błazna.

— Absolutnie nie mam takiego zamiaru. Nie chcę również wystraszyć śmiertelnie Garricka.

— Nie zrobiłabym tego, nawet gdyby pan chciał ucieła Celia, zaciskając dłonie. Przypomniała sobie jednak, że to on dysponował pieniędzmi, których tak desperacko potrzebowała. Spytała spokojnym głosem. — Jaki cel panu przyświeca?

Głęboko zaczerpnął powietrza.

— Przede wszystkim chciałbym go pocieszyć. Od śmierci Amandy stał się innym człowiekiem. Robiłem wszyst—

89

JUDITH O'BRIBN ko, aby wydobyć go z tego letargu, ale bezskutecznie. Kiedy uwierzył, że pani nawiązała porozumienie z Amandą, kiedy odniósł wrażenie, że można do niej dotrzeć po raz pierwszy od tego wypadku zobaczyłem w nim dawnego Garricka. Jest też inna sprawa... — Zawahał się przez chwilę.

— Proszę, niech pan mówi dalej.

— Uważam, że on wie o wiele więcej o tym wypadku, niż mówi.

— Dlaczego miałby coś zatajać przed panem?

— Nie wiem. Nie przypuszczam, żeby mnie zwodził celowo. Myślę, że szok, jakiego doznał po śmierci żony, wymazał pewne szczegóły z jego pamięci.

— Tak. Słyszałam o takich przypadkach. — Celia zmarszczyła brwi.

Przypatrywał się jej uważnie.

— Czy pani zna jakieś przykłady takich zaników pamięci?

Zastanawiała się, czy ma mu powiedzieć, ale po chwili podjęła decyzję. To mogło być pomocne. Poza tym, jeśli pan O'Neal pozytywnie oceni jej usługi, tym szybciej wypłaci jej obiecaną kwotę w całości. A jeśli to pomoże panu Stevensowi, to naprawdę warto to zrobić.

— Ja...

Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczała. Nigdy przedtem nie zwierzyła się nikomu z tego, co ją spotkało, kiedy była dzieckiem. Nie powiedziała nic nawet ciotce Prudence ani wujowi.

— Proszę — ponaglał ją. Oczy mu załśniły, a z twarzy

Medium opadła maska sztucznego spokoju, ożywiając rysy* Wyglądał teraz fascynująco. —

— No, dobrze — zaczęła. Przymknęła oczy, ale otworzyła je ponownie. Nie mogła rozpocząć opowieści, czując na sobie jego wzrok. Przeszkadzało jej to, było w jakiś sposób zbyt intymne.

Podeszła powoli do okna i oparła dłoń na chłodnej szybie.

— Kiedy miałam osiem lat, moi rodzice wybrali się do Włoch. Miała to być ich spóźniona podróż poślubna, ponieważ ojciec niemógł zostawić interesów w okresie, kiedy się pobierali. Jako agent od ubezpieczenia przeciwpożarowego zawsze był zapracowany, ponieważ wybuchało dużo pożarów. Tak mi mówił. — Celia przesuwiała palcem po ramie okiennej. — Wysłano mnie więc na cztery miesiące do domu wuja Jamesa i ciotki Pru. Kiedy pobyt zbliżał się do końca, a rodzice mieli wkrótce wrócić do domu, dostaliśmy wiadomość, że tragicznie zginęli. List przywiózł ten sam statek, którym wybierali się w drogę powrotną.

Celia miała ściśnięte gardło; przytłumione codzienną rutyną cierpienie odezwało się teraz z całą siłą. Nie było odpowiednich słów, żeby to wszystko opisać.

— Oni nie zginęli w wielkiej katastrofie morskiej. Płynęli małą łódką po jeziorze. Chyba wypłynęli za daleko, o wiele za daleko. Zerwała się burza, podobno niezbyt gwałtowna. Nie poczyniła żadnych szkód, nawet łódeczka moich rodziców powróciła cała do brzegu. Mój ojciec nigdy nie nauczył się pływać. Zginęli oboje.

— To straszne — odezwał się cichym głosem. — Dla pani to musiało być koszmarne przeżycie.

JUDITH O'BRIEN

— Tak. — Spojrzała na niego. Sprawiał wrażenie, że przeżywa tę tragedię razem z nią. — Rzecz w tym, że prawie wcale nie pamiętam tych długich tygodni po otrzymaniu wiadomości. Na pewno zachowywałam się zwyczajnie, ponieważ nikt nie zainteresował się tym, co czuję. Po pogrzebie zapanowała cicha umowa — nikt nie wspominał moich

rodziców ani ich wypadku. Zniknęły wszystkie pamiątki, również listy, które pisali do mnie z podróży. Było tak, jak gdyby nigdy nie istnieli. Ja dostosowałam się do tej atmosfery. Pewnie myślałam, że nie mam innego wyjścia. Pamiętam, że bałam się, iż mnie odeślą z domu, jeśli będę płakać i robić sceny. Nie wiem, gdzie mieliby mnie wysłać, ale tak myślałam. Mijały dni i tygodnie, a ja zachowywałam się zwyczajnie. Obchodziłam rodzinne święta razem ze wszystkimi. Nie byłam jednak w pełni świadoma tego, co robię. Dopiero po latach, a właściwie dość niedawno, znalazłam swoje rysunki z tamtego okresu.

— Rysunki?

— Tak. Dużo rysowałam. Robiłam rysunki, zanim nauczyłam się pisać. Rodzice, a szczególnie mama, bardzo mnie do tego zachęcali, kupowali mi węgiel, kredki i papier. To dziwne, ale pamiętam, jak je robiłam w pewien słoneczny dzień, podczas pikniku nad East River. Potem znalazłam, opatrzone datą, rysunki robione po śmierci rodziców.

— Nie ma pani żadnych wspomnień związanych z ich wykonywaniem?

— Absolutnie żadnych. Początkowo nie mogłam nawet zrozumieć, skąd się one wzięły. Znalazłam je w swoim

92

Medium pokoju, za komodą, i tylko dlatego, że wpadła mi tam rękawiczka. Musiałam wyjąć szufladę, żeby ją odzyskać.

— Niezwykłe. Czy mogę spytać, jakie to były rysunki? Na jego ustach ukazał się łagodny uśmiech. — Czy to były twory wyobraźni małej dziewczynki?

— Nie. To były jakieś koszmary, sceny śmierci i katastrofy statków. Potwory. Morskie stwory, tak precyzyjnie wykonane, że gdybym była wtedy w pełni świadoma, to na pewno bym je sobie przypomniała.

— Czy potem rysowała pani w ten sposób?

— Nie. Od tamtego czasu nie narysowałam ani linijki. Wydawało mi się, że przestało mnie to interesować, ale po odnalezieniu tych rysunków zrozumiałam dlaczego. W tych rysunkach wyraziłam całą swoją rozpacz. Z każdego emanuje ból i żal. Rysowanie przestało być dla mnie przyjemnością.

— Współczuję pani — powiedział. — Jestem wdzięczny, że podzieliła się pani ze mną

swoim doświadczeniem. Śmierć Amandy tak podziałała na Garlicka, że chyba do tej pory jest jeszcze w szoku. Serdecznie pani dziękuję.

— Cieszę się, że mogłam panu pomóc. — Celia odczuła ulgę, że nareszcie opowiedziała komuś o swoich rysunkach, że mogła wypowiedzieć całą prawdę, chociaż nie było to dla niej łatwe. Czowała, że O'Neal nie tylko jej współczuje, ale też doskonale wszystko rozumie.

— Sir — powiedziała rzeczowym tonem, otrząsnąwszy się ze wzruszenia. — Muszę mieć więcej informacji na temat pana siostry, żeby przekonać pana Stevensa, iż rzeczywiście pojawia się ona wśród nas.

— Tak, racja. — Wpatrywał się w Celię uporczywie. —

93

JUDITH O'BRIEN

Prawdę mówiąc, nie znałem jej dobrze. Między nami było przeszło dziesięć lat różnicy. Moja matka zmarła przy porodzie. Wysłano mnie do szkoły w Anglii, a potem ona poślubiła Garricka.

— Rozumiem. To niech mi pan przynajmniej powie, jak ona wyglądała.

— Była śmieszną małą dziewczynką, tak mi się wydawało. Wszędzie za mną chodziła, a raczej kuśtykała. Kiedy dorosła, stała się uroczą kobietą. Trudno było nawet zauważyć, że utyka, chociaż sama boleśnie to odczuwała. Mam jej miniaturę, bardzo udaną, przyniosę ją następnym razem. A Garrick ma dagerotyp, wykonany w zeszłym roku.

— Małżeństwo pana siostry i pana Stevensa było, jak widać, małżeństwem z miłości.

— Tak. Tak się wydawało, chociaż... — Zawiesił głos. Chwilami miałem wątpliwości. Nawet teraz robię sobie wyrzuty, że nie dość interesowałem się Amandą. Przypominam sobie naszą rozmowę na statku.

— Kiedy płynęliście do Ameryki?

— Tak. Amanda poznała Garricka, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w towarzystwie londyńskim. Wydaje mi się, że był pierwszym mężczyzną, który zobaczył w niej kobietę. Wstyd się przyznać, ale ja tego nie zauważyłem, byłem zbyt pochłonięty pracą. Zalecał się do niej prawie pod moim nosem, a ja tego nie widziałem.

— Musiał pan być bardzo zadowolony, że pana jedyna siostra poślubiła tak bliskiego

przyjaciela. — Celia uśmiechnęła się, ale twarz O’Neala pozostała nieruchoma.

— Nie. Nie byłem zadowolony.

94

Medium n— Dlaczego? — nie potrafiła ukryć zdumienia.

— Ponieważ wiedziałem, że w Londynie czekają tyłka cierpienie. Była przecież Irlandką. Każda cecha, którą podziwiano by u Angielki, u niej byłaby ośmieszana fryzura, sposób ubierania się, akcent. Nawet jej żywotność i wesołość mogła zasługiwać na potępienie. A jeszcze to utykanie — przewidywałem, że jej życie będzie trudne i pełne goryczy.

— A nie sądził pan, że Garnek ją ochroni?

— Garrick? — Roześmiał się. — Garnek nie potrafił stanąć w mojej obronie, a ja jestem mężczyzną. Dobrze wiedziałem, jak to wygląda w Londynie, nawet wśród najlepszego towarzystwa. Nie, Garrick by jej nie obronił. Nie posiadał również środków, żeby to zrobić.

— Nie posiadał środków? Nie rozumiem pana.

— Widzi pani, panno Thomason, nazwisko Stevens mogło być cenione ze względu na sławną przeszłość, ale obecnie sława ta pozbawiona została zaplecza finansowego.

— Innymi słowy, rodzina nie ma pieniędzy?

— Właśnie tak.

— Ale to nie jest wina pana Stevensa.

— Nie miałem tego na myśli, panno Thomason. Mówię tylko, że z powodu swojej sytuacji finansowej nie miał możliwości chronienia Amandy przed uprzedzeniami londyńskiego towarzystwa. Kiedy się zaręczyli, ustaliliśmy, że Garrick zostanie moim zastępcą w Transporcie Morskim O’Neala.

— Kto to ustalił?

— To właśnie jest najciekawsze w tej całej historii.

95

JUDITH O’BRIEN

Początkowo matka Garricka nie chciała nawet słyszeć o tym małżeństwie. Biednej Amandzie można było wiele zarzucić, przede wszystkim to, że była Irlandką, a poza tym jej

ojciec i brat aktywnie zarabiali na życie.

— To okropne, naprawdę okropne. — Celia uśmiechnęła się do niego, a O’Neal popatrzył na nią i dopiero po chwili wrócił do swojej opowieści.

— Rzeczywiście. Dokładnie tak, lub bardzo podobnie, nazwała to pani Stevens. Ale kiedy Garrick powiedział jej o naszej umowie i poinformował ją o korzyściach finansowych, jakie może zyskać rodzina... szybko zapomniała o obrzydzeniu, a przynajmniej dobrze to udawała. Zawarliśmy kompromis: Garrick miał zabrać świeżo poślubioną żonę do Ameryki i tu zajmować się sprawami naszej kompanii.

— A jaki był pana stosunek do tego układu?

— Uważałem, że jest w porządku. Tylko... — przerwał i zamyślił się. — Nie, to nieprawda. To było poniżające dla mnie i dla Amandy. Dla naszego irlandzkiego dziedzictwa. Dzięki Bogu, ona nie знаła prawdziwego powodu, dla którego Garrick miał się przenieść do Stanów.

— Czy jest pan tego pewien?

— Tak. To znaczy, prawie pewien. Chociaż na statku, w drodze do Ameryki, wygłosiła kilka dziwnych uwag.

— Na przykład?

— Prawdopodobnie każda panna młoda ma pewne wątpliwości i obawy. Powiedziała tylko, że może nie powinna była tak szybko decydować się na małżeństwo z Garrickiem. Może powinna była jeszcze zaczekać, poznać lepiej świat, przypatrzeć się mężczyznom. Musi

96

Medium pani wiedzieć, że ona była w pewien sposób bardzo dziecinna. W tym był jej urok.

Zegar na kominku zaczął wybijać godzinę.

— Muszę iść — powiedział. — Kiedy ma przyjść Garnek? Myślałem, że może...

— Słucham?

Robił wrażenie roztargnionego i rozglądał się nieuważnie po pokoju.

— Panie O’Neal, w jaki sposób powinnam rozmawiać z pana szwagrem? Czy mam mu

zadawać jakieś konkretne pytania? Czy postępować w jakiś szczególny sposób?

Na czole O'Neala pojawiły się głębokie zmarszczki. Obejrzał się przez ramię, potem rzucił okiem na harfę.

— Sir?

— Omal nie zapomniałem, po co tu przyszedłem. — Nadal przeszukiwał wzrokiem pokój.

— Co pana szwagier chciałby usłyszeć? Jakie słowa mogą mu przynieść pociechę?

— No tak. Rzeczywiście. Teraz pragnę, żeby się jakoś podniósł na duchu. Ale chciałbym również wiedzieć, czy Amanda nie zwierzała mu się, czy mu czegoś nie powiedziała. — Przeczesał dłonią gęstą czuprynę. — Muszę wiedzieć, co czuła, zanim zginęła, czy Garrick sądził, że Amanda go kocha. Ona bardzo otwarcie wyrażała uczucia, może nawet zbyt otwarcie. Zawsze była zbyt emocjonalna. Zastanawiam się nad tym, czy nie była nieszczęśliwa. Obawiam się, że ten wypadek spowodowała celowo, aby za wszelką cenę uniknąć rozpacz.

— Chyba pan nie podejrzewa, że targnęła się na życie?

— Tego nie wiem, chociaż przeszło mi to przez myśl.

4 — Medium

97

JUDITH O'BRIEN

Nie było mnie tutaj, ponieważ zmarł nasz ojciec. Musiałem wrócić do Londynu, aby uporządkować pewne sprawy. Nie było mnie przez sześć miesięcy. Nie wiem, co przez ten czas mogła przeżywać. Okoliczności tego wypadku są bardzo niejasne. Mam jej listy. Przyniosę je pani. Wszystko, czego zdoła się pani dowiedzieć od Garricka, będzie bardzo pomocne. Chciałbym... bardzo chciałbym wiedzieć...

— Czy pana kochała...

— To nie ma znaczenia— wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Jeśli zdołam, to uzyskam również tę informację stwierdziła.

— Nie. Powiem pani, co tak naprawdę chcę wiedzieć. Jak mówiłem, chciałbym wiedzieć, czy ona go kochała, czy kochała Garricka. Czy rzeczywiście zginęła w wypadku.

Tego dowie się pani z łatwością. Zastosuje pani swoje sztuczki. Od tego zaczniemy.

Celia nie zwróciła uwagi na jego pogardliwy ton. Nie mogła sobie pozwolić, żeby ją to dotknęło. Tu chodziło wyłącznie o interesy.

— Co jeszcze chciałby pan wiedzieć? Czy chciałby pan poznać, jakie miała plany i marzenia? Na pewno rozmawiała o tym z mężem.

— Może — rzucił krótko.

— Dowiem się tego. Proszę mi zaufać. Mogę dowiedzieć się więcej niż pan... — Zauważyła wyraz odrazy na jego twarzy. Przecież była oszustką. Mogła uzyskać wiadomości tylko dzięki swoim hochsztaplerskim sztuczkom. Czegokolwiek by się dowiedziała, bez względu na to, jak

98

<,' *Medium* ■ byłoby istotne i prawdziwe, i tak będzie to rezultatem stosowania tych sztuczek.

Próba wytłumaczenia mu czegokolwiek mijała się z celem. Ochota nawiązania z tym mężczyzną stosunków, wykraczających poza ramy interesu, również mijała się z celem. Celia potrzebowała jego pieniędzy. On chciał uzyskać od niej informacje o siostrze i szwagrze. Nic więcej.

A jednak sprawiało jej to ból. i— Może napije się pan herbaty?

Zmieniła temat. Czuła, jak rośnie napięcie między nimi, nawet wtedy, kiedy milczeli. Czekala, aż odezwie się pierwszy. Czy on również odczuwał ten dziwny przepływ energii elektrycznej?

— Co to jest? — O'Neal stał nieruchomo, z głową przechyloną na bok. Czuła, że jest niesłychanie spięty.

Czy czytał w jej myślach?

Po chwili usłyszała skrzyp sprężyny zegara stojącego na kominku.

— Zegar? Za chwilę wybije piątą.

— To nie zegar! To nie jest zegar, do diabła! — wykrzyknął. — Nic pani nie czuje?

Początkowo nie rozumiała, o co mu chodzi. W gruncie rzeczy nic o nim nie wiedziała. Może był wariatem albo pomieszało mu się w głowie po tragicznej śmierci siostry?

— Może wolałby pan brandy?

— Nie czuje pani tego?!

— Ale ja jeszcze nie nalałam brandy, panie O’Neal, proszę...

Wtedy dopiero poczuła ten dziwny zapach. Była to

99

kwiatowa woń perfum kobiecych, z jaką nigdy się przedtem nie zetknęła — delikatny, zwiewny i ulotny, a jednocześnie silny aromat.

— Co to jest? — wyszeptwała.

— Czuje pani?

— Tak. Teraz czuję.

Chciał podzielić się z nią jakąś myślą, ale nagle zrezygnował z tego.

— No tak, panno Thomason. Znowu mogę pogratulować pani pomysłowości. Proszę mi powiedzieć, jak pani do tego doszła?

— Nie rozumiem, o co pan mnie pyta, panie O’Neal.

— Ten zapach. To perfumy Amandy. Specjalna mieszanka, którą zamawialiśmy dla niej z ojcem w Paryżu. Nie rozumiem, skąd mogła pani dostać próbkę. Wszystko przecież uległo zniszczeniu podczas pożaru. Skąd pani wiedziała, że to jest zapach Amandy?

— Ja... naprawdę... ja o tym nic nie wiem.

— No, to niech pani zatrzyma tę tajemnicę dla siebie. — Mówił z ledwie hamowaną wściekłością. — Proszę jednak pamiętać, że płacę za to, żeby pani przekonała nie mnie, tylko Garricka. Nigdy nie uwierzę, że jest pani czymś więcej niż zwykłą oszustką, mistrzem czy też raczej mistrzynią— mistyfikacji. Do widzenia, panno Thomason.

Szybko wyszedł z pokoju, nie spojrzawszy nawet na nią.

— Proszę, panie O’Neal. To przypadek, że poczuł pan ten zapach. Nie miałam pojęcia...

Zatrzymał się za progiem, jakby miał zawrócić, ale poszedł dalej i zatrzasnął za sobą drzwi. ,

Medium

Cefia stała w pustym salonie. Była całkowicie wyprowadzona z równowagi.

Co się z nią działo? Jak to możliwe, że ten obcy mężczyzna wprawiają w taki niepokój? Jak będzie mogła dalej z nim pracować, nie zatraciwszy samej siebie? Roztaczał wokół siebie groźną aurę. Czowała jednak, że jego osobowość ma również swoją jasną stronę.

Dotknęła policzka, miała rozpaloną twarz.

Ktoś za nią stał. Czowała wyraźnie czyjąś obecność tuż za plecami. Czyjś oddech poruszał jej włosy na karku. Odwróciła się, nie odejmując dłoni od policzka.

Początkowo niczego nie zauważyła. Salon był pusty, popołudniowe słońce kładło na meblach długie cienie.

Ale pomiędzy oknami coś się poruszało, najpierw powoli, a potem coraz szybciej i szybciej. Wkrótce ukazała się niewyraźna sylwetka kobiety.

Celia wiedziała już, kto jest w pokoju.

— Witaj, Amando — powiedziała drżącym głosem.

5

V^elia wielokrotnie wyobrażała sobie taką sytuację, jej fantazja nieraz podsuwała obrazy pozaziemskich istot zjawiających się na jej, tak specjalnie wyrażane, życzenie, ale nigdy nie zastanawiała się, jak powinna się wtedy zachować.

W tej chwili, sam na sam w pokoju z duchem nieżyjącej osoby, Celia — słynne medium — była sparaliżowana ze strachu. Ogarnęło ją takie przerażenie, że nie potrafiła przywołać żadnej myśli.

Widziała, jak zjawisko to nabiera coraz bardziej określonych kształtów. Sylwetka kobiety rysowała się coraz wyraźniej. Krzesło, przed którym stała, zatraciło teraz swoją formę, otoczone mglistą poświatą, z której zaczęły układać się fałdy spowijającego kobietę szlafroka. Na palcu zamigotała obrączka.

Amanda stała nieruchomo, ale wydawała się ucieleśnieniem ruchu, kiedy wirująca moc nadawała jej coraz bardziej realny kształt. Kaskada jedwabistych włosów spływała jej na ramię. i

Medium

Celia miała ochotę uciec możliwie jak najdalej. Czowała jednak, że nogi wrosły jej w

ziemię.

Usłyszała, że ktoś otwiera drzwi, i po krokach poznała, że zbliża się Patryk.

— Panienko, ja tylko...

Celia, nie mogąc oderwać oczu od Amandy, nie obróciła się w jego stronę. Usłyszała tylko, jak nieszczęsny chłopiec potknął się i gwałtownie zatrzymał.

— Jezu!

— Proszę cię, Patryku, odsuń się. Nie ma się czego bać.

— Jezu! — powtórzył trochę głośniej.

Amanda odwróciła się powoli w jego stronę. Wyglądała tak, jakby poruszała się pod wodą, jakby musiała zwalczać jakiś silny opór. Mimo to ani jeden włos nie drgnął jej na głowie, potwierdzając, że w jej świecie prawa fizyki nie miały żadnego zastosowania.

Dopiero teraz Celia mogła spojrzeć jej w oczy. Czarne, pałające źrenice na delikatnej twarzy. Jakaś dziwna siła nie pozwalała Celi odwrócić od nich wzroku. W oczach Amandy odbijały się jak gdyby dwa światy, materialny i nierzeczywisty. Wydawały się obejmować wszystkie aspekty życia. W jej spojrzeniu koncentrowało się całe ludzkie doświadczenie — ból i cierpienie, udręka i obawa. Jednak oprócz tych ponurych emocji odzwierciedlały się również inne uczucia — miłość, marzenia, sukces, a przede wszystkim nadzieja. To było przerażające i wspaniałe zarazem.

Drzwi salonu otworzyły się ponownie. i— Celio, czy nie wiesz, gdzie... — usłyszała głos ciotki Pru.

// 103

JUDITH O'BRIEN

Panującą w pokoju ciszę zakłócił dźwięk tłukącego się szkła. Po chwili rozległ się łoskot padającego na dywan ciała.

Celia zmusiła się do wypowiedzenia paru słów.

— Proszę cię, Patryku, zajmij się ciotką. Chyba zemdlą.

— Nie — usłyszała głos ciotki. — To Patryk. Leży bez ruchu. Powiedz mi, czy to jest prawdziwa zjawka?

— Tak, ciociu — wyszeptała Celia.

Ciotka Prudence milczała, porażona tym widokiem. Wreszcie spytała ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Kto to jest?

Celia już chciała jej odpowiedzieć, ale powstrzymała się w porę. Postanowiła zachować dla siebie tożsamość zjawy. To była jej osobista, bardzo prywatna sprawa. Ujawnienie personaliów Amandy było dla niej równoznaczne z ujawnieniem powierzonej w sekrecie, bardzo intymnej tajemnicy.

— Nie wiem, kim ona jest, ciociu. — W pewien sposób było to zgodne z prawdą, ponieważ Celia bardzo niewiele wiedziała o kobiecie, którą za życia była Amanda, jak również o tym, kim się stała po śmierci.

Wydawało się, że zjawa zrozumiała, o czym była mowa, bo na jej ustach ukazał się słaby uśmiech. Ten naturalny skądinąd odruch pozbawił Celię tchu, ponieważ wiązał ją ze światem zmarłych. Teraz zarówno Celia, jak i Amanda były ze sobą powiązane, potrafiły się porozumiewać. Amanda przechyliła lekko głowę, po czym potrząsnęła nią, zadając nieme pytanie. Jej włosy nadal były dziwnie nieruchome. , ? i t i

Medium

— Jestem Celia Thomason — przedstawiła się Celia, nie wiedząc, co miałaby jeszcze powiedzieć czy zrobić. Jej głos zabrzmiał donośnie w ciszy salonu.

Z twarzy Amandy zniknął uśmiech. Była teraz pozbawiona wszelkiego wyrazu. Natomiast jej ciało zaczęło wykonywać dziwne ruchy, zwijając się jak gdyby z bólu. Wyciągała ręce, a jej palce wyglądały jak usiłujące coś schwytać szpony.

— Co to za zapach? — wyszeptała ciotka Prudence. Celia przestała już zwracać uwagę na oszałamiającą woń perfum, która wisiała w powietrzu. — To pachnie jak bukiet z tysiąca kwiatów.

Zjawa otworzyła usta, nie wydała jednak żadnego dźwięku, a jej ciało zwijało się nadal w dziwacznych ruchach.

Słychać było, że pokojówka Eileen wpuszcza kogoś do domu. Wydawało się również, że Amanda jest zdziwiona, zastygła bowiem w bezruchu z wyciągniętymi przed siebie

dłońmi.

Z jej oczu zniknął wcześniejszy, przedziwny wyraz; były teraz świetliste i ożywione, zwracały się do Celi z jakimś pytaniem.

— O co chodzi? — odezwała się wreszcie Celia, a oczy Amandy pałały teraz takim ogniem, że trudno było znieść ich blask.

— Proszę, powiedz, co mam zrobić, żeby ci pomóc? — Amanda poruszyła bezdźwięcznie wargami.

Rozległo się pukanie i Eileen weszła do salonu. — Panno Thomason, ma pani gościa... — pokojówka gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

JUDITH O'BRIEN

Celia usłyszała kroki i po wyrazie, jaki pojawił się na twarzy zjawy, wiedziała już, kto zaraz wejdzie. Usta Amandy ułożyły się w nieme „o” i podniosła do twarzy dłoń, nie rozprostowując zgiętych jak szpony palców.

— Dzień dobry, panno Thomason— rozległ się głos Garricka Stevensa. — Mam nadzieję, że nie...

Odgłos jego kroków ucichł raptownie. Celia chciała spojrzeć mu w twarz, zobaczyć malujący się na niej wyraz, ale nie mogła oderwać wzroku od Amandy. Jakaś niewidzialna siła przykuwała ją do zjawy.

— Mój Boże... — Stevens jęknął.

Zjawa cofnęła się i zaczęła znikać w powietrzu. Po chwili już nie było po niej śladu. Jedynym znakiem, jaki pozostawiła po sobie, był mocny, upajający zapach jej perfum.

Dopiero teraz Celia spojrzała na wszystkich zebranych w salonie. Ciotka Pru była blada, ale pewnie stała na nogach. Eileen miała zamknięte oczy i zaciśnięte dłonie. Jej wargi poruszały się w modlitwie, co pewien czas robiła też gwałtowne znaki krzyża. Patryk nadal leżał na podłodze, a ponieważ upadł na twarz, przez głowę Celi przebiegła myśl, że pewnie złamał sobie nos.

Stevens był blady jak ściana, miał spieczone wargi i krople potu na czole, mimo panującego w salonie chłodu. Zaczął się wycofywać. Przewrócił mały stolik; nie zwracając

na to uwagi, skierował się zdecydowanym krokiem do frontowych drzwi. Szarpnął je tak silnie, że uderzyły o ścianę.

Celia pobiegła za nim tak szybko, że zdążyła tylko chwycić ciepły szal z wieszaka w przedpokoju.

Medium

■ ■ — Celio, nie! — krzyknęła ciotka Pru. — Proszę cię, zostań!

Opanowanie, które ciotka Prudence wykazała przed chwilą, zniknęło bez śladu. Wyglądała teraz na bardzo przestraszoną.

— Co to było? Kim ona była, ta kobieta?

— Chwileczkę, ciociu Pru. Muszę pobiec za panem Stevensem, żeby zobaczyć, czy...

— Nie! Proszę cię! — Ciotka Pru mocno zaciskała dłonie. — Proszę, Celio, nie odchodź. Jestem pewna, że on tu wróci.

W głosie ciotki brzmiały nieznane Celii historyczne nuty.

Dobiegł też jęk leżącego na podłodze Patryka, który z wolna otwierał oczy.

— Co się stało?

Eileen cicho płakała. Wtedy właśnie wkroczyła z kuchni Hanna, trzymając się, jak zwykle, pod boki.

— Co tu się dzieje, proszę pani? Trzaskanie drzwiami i... Eileen? Czemu płaczesz? — Rzuciła okiem na bok. Patryk!

Celia spojrzała na ciotkę Prudence i postanowiła, że nie będzie gonić Stevensa. Ciotka miała rację, wiedziała, że on wróci. Ale miała do niego tyle pytań, tylu rzeczy musiała się dowiedzieć, nie tylko tych, o które chodziło panu O'Neal.

Teraz ona również była w to uwikłana. Wiedziała, że wspomnienie wzroku Amandy nie da jej spokoju, dopóki nie dowie się, co naprawdę przydarzyło się tej kobiecie. Dlaczego pojawiła się z za grobu.

I dlaczego Garrick Stevens tak bardzo się jej bał?

JUDITH O'BRIEN

Zobaczyła go przez okno, jak przeciskał się przez tłum przechodniów, potrącając kobietę, która stanęła mu na drodze i omal nie wpadając pod powóz. Stangret podniósł do góry bat i rzucił za nim jakieś przekleństwo, ale Stevens nie zaprzestał swojej panicznej ucieczki.

To, czego była świadkiem podczas spotkania Amandy z Garrickiem, na pewno nie było radością dwojga kochających się osób. IYsięgi rachunkowe były w stanie kompletnego chaosu.

Brendan potarł oczy i podkręcił knot lampy olejowej. Chciał sięgnąć po pióro, ale zaczął przyglądać się swojej dłoni. Patrzył na nią jak na jakiś obcy przedmiot.

Jego ręka drżała. Im bardziej starał się to opanować, tym mocniej dygotała.

— Dość — rzucił przez zaciśnięte zęby. Ale na nic się to nie zdało.

Postanowił zignorować ten fakt.

Kiedy patrzył na swoje biuro, które mieściło się w starym budynku na Water Street, z widokiem na port, nie mógł uwierzyć, że jest to ten sam pokój, który pół roku wcześniej zostawił w tak idealnym porządku.

Lokalizacja biura — na jednej z cieszących się najgorszą sławą ulic miasta — była gorsza, niż się tego spodziewał, kiedy rok wcześniej w pośpiechu podpisywał umowę najmu. Tak bardzo zależało mu na znalezieniu jakiegoś miejsca, że zignorował przestrogi, których nie szczędzili mu różni znajomi. Bliskość portu bardzo mu odpowiadała. Ale zamiast w statecznej dzielnicy finansowej, znalazł

Medium się na ulicy pełnej knajp, domów publicznych, gdzie roiło się od podejrzanych typów.

Właśnie miał zamiar opuścić ten lokal, kiedy otrzymał wiadomość o śmierci ojca. Czyż nie polecił Garrickowi, aby przeniósł biuro do porządniejszej dzielnicy?

Był tego pewien, mimo zamieszania związanego z koniecznością szybkiego wyjazdu. Ale Garnek widocznie nie chciał czy też nie potrafił tego przeprowadzić.

Wszystko wskazywało na to, że szwagier w ogóle nie działał zbyt wiele. Wydawało się prawie niemożliwe, aby ten potworny bałagan mógł zapanować w tak krótkim czasie, że

całe lata starannej organizacji, skrupulatnie obmyślane systemy, które wypracował dla Transportu Morskiego O'Neala w związku z jego nową lokalizacją, mogły pogrążyć się w takim zamęcie w przeciągu zaledwie kilku miesięcy. Gdyby ktoś chciał perfidnie pogmatwać rachunki, nie mógłby zrobić tego lepiej.

Nawet tu, w pokoju, panował nieopisany zamęt. Zanim Brendan zasiadł do pracy, musiał oczyścić stół z resztek jedzenia. Umył też filiżanki, z których niegdyś pito —jeśli go węż nie mylił — rum z wodą, nalewaną z wyszczerbionego dzbanka. W czasie podejmowanych prób przywrócenia czystości zobaczył dwie bardzo utuczone myszy.

Robiło się już ciemno, ale postanowił dalej pracować nad księgami, które prowadził Garrick podczas jego nieobecności. O ile mógł się zorientować, jedna noc nie wystarczy na odszyfrowanie niewyraźnych liczb, pogmatwanych kolumn i nieczytelnego pisma. Odczytywanie gryzmołów Ganieka mogło mu zająć długie tygodnie, ponieważ nie miały żadnego sensu.

JUDITH O'BRIEN

Właściwie nic nie miało sensu. Żadne z jego poleceń nie zostało wykonane prawidłowo. Mógł przypuszczać, chociaż odrzucił tę myśl, że Garrick nie spodziewał się jego powrotu.

Oczy piekły go ze zmęczenia. Potrzebował paru godzin snu. Starał się opanować znużenie i powrócić do czytania. Nagle jakieś zamazane atramentem słowo zwróciło jego uwagę.

— Konie? — powiedział na głos. Rzucił pióro, rozpryskując atrament, i zmarszczył czoło.

Garrick wysyłał statkami konie z Irlandii do Ameryki? Po co, na litość boską? Nie mieli przecież odpowiednich warunków na przewożenie delikatnych folblutów przez ocean. Większość zwierząt musiałaby paść w trakcie podróży, co czyniło ten pomysł zarówno barbarzyńskim, jeśli chodziło o zwierzęta, jak i całkowicie nieodpowiedzialnym, jeśli chodziło o finanse. Nie mógł odczytać nazwisk osób, które zamawiały konie, ale to nie było zbyt ważne.

Co robił Garrick podczas pobytu Brendana w Londynie? Czym się kierował? Było

oczywiste, że jeszcze przed śmiercią Amandy w pewien sposób stracił kontrolę nad sobą. Może to coś innego niż wybuch i strata żony spowodowało taką zmianę w bystrym, pedantycznym Garricku, jakiego znał z czasów uniwersyteckich.

Musiała być jakaś inna przyczyna. Może ta dziewczyna, to opłacane przez niego medium zdoła odkryć prawdę? Miała swoje metody. Kobieta, która potrafiła odgadnąć i odtworzyć czyjś zapach perfum, może osiągnąć wszystko. *m^;r:*

Medium

Sięgając po stojący na brzegu biurka dzbanek z wodą, zauważył, że jego ręka nie drży już tak gwałtownie jak przedtem.

Może pannie Thomason uda się również odkryć, dlaczego dygocą mu ręce jak wystraszonej uczennicy. To trwało już od kilku dni. Nikt jeszcze tego nie zauważył. To była jego tajemnica, którą miał nadzieję utrzymać, dopóki ta przykra dolegliwość nie ustąpi.

Ale jak jej się udało podrobić perfumy Amandy?

Dziwna kobieta ta panna Thomason. Niewątpliwie atrakcyjna, chociaż nie była typem, który podoba się wszystkim mężczyznom. Szczupła, a więc pozbawiona krągłości, które uchodziły za ideał kobiecej urody. Ubierała się skromnie; jej rzeczy były w dobrym gatunku, nie najmodniejsze, ale eleganckie. Miękkie, połyskujące, ciemnokasztanowe włosy. Zaczął się zastanawiać, czy były długie, czy krótkie — nosiła je podpięte z tyłu. Czy kręcone, czy proste?

Ale to nie miało żadnego znaczenia. Potrzebował tylko jej usług. Powinien się na tym skupić. Tylko to było w tej chwili konieczne.

Ma dość wyraziste rysy twarzy. Uśmiechnął się na myśl o jej zdecydowanym zarysie brody, z ledwie widocznym dołkiem, o czerwonych ustach, na których nie było śladu barwiczki. A kiedy ją rozgniewał, odpowiadała monosylabami, ukazując drobne, białe ząbki. Rzadko się uśmiechała, ale jej duże, ciemne, wyraziste oczy przekazywały więcej informacji niż grymas twarzy. Może nawet więcej, niż sama chciałaby powiedzieć. *.?i. v,——h,—i.^*

JUDITH O'BRIEN

Najważniejszym pytaniem było to, czy panna Thomason potrafi pomóc Garrickowi.

Powrócił wzrokiem do zabałaganionych papierów. Nagle coś mu się przypomniało. Nie dał pannie Thomason waluty amerykańskiej, o którą go prosiła. Posunęła się nawet do tak absurdalnego kroku, że wyartykułowała tę prośbę w trakcie oszukańczego seansu. Garrick, tak jak chciała, nie zrozumiał, o co jej naprawdę chodziło.

Brendan miał dolary w sejfie. Jeśli chce, żeby panna Thomason użyła wszystkich swoich możliwości, to powinien zadbać o to, aby była zadowolona. Powinien więc, w imię swojego własnego interesu, wrócić i wręczyć jej pieniądze osobiście.

Wstał i podszedł do sejfu. Nie zauważył nawet, że ręce już mu nie drżą.

V[^]elia i ciotka Pru robiły, co mogły, żeby uspokoić służbę. Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę, że Eileen i Patryk widzieli zjawę. Sytuację tę pogarszał fakt, że nikt, nawet Celia, nie wiedział, co się naprawdę ukazało. W danej chwili nikt się nad tym nie zastanawiał. Zajęto się bardziej praktycznymi sprawami, opatrywaniem zakrwawionego nosa Patryka i kwestią przypalonych placków, które miały być podane na kolację.

Celia wyrzuciła placki do kosza, otworzyła drzwiczki pieca, owijając dłoń fartuchem, i dołożyła węgla. Potem otworzyła inne drzwiczki i wyjęła pieczeń.

— Proszę o łyżkę. — Wyciągnęła rękę za siebie, wzięła łyżkę i polala pieczeń sosem.

>

Medium

— Panno Thomason, czy nie myśli pani, że to był anioł?— spytała szeptem Eileen, która przez godzinę prawie się nie odzywała.

— Ja... naprawdę nie wiem — odpowiedziała Celia zgodnie z prawdą, wycierając ręce w fartuch. — Uważam, że powinniśmy to wszystko zachować dla siebie.

— Nonsens! — wykrzyknęła ciotka Pru, która doszła już do siebie po wypiciu kilku filiżanek herbaty, które Hannah Egan wzmocniła jej kieliszeczkiem brandy. — Nic podobnego! Eileen, powiedz o tym wszystkim dokoła. Ty też, Patryku. Niech cały świat

dowie się, że panna Celia Thomason może przywoływać anioły. Pomyśl, jaki możemy zbić na tym majątek! Może nawet będziemy zmuszeni przeprowadzić się do większego domu, aby sprostać naszej nowej sytuacji.

— Ale ja naprawdę nie wiem, jak to się stało. Nie ma żadnej gwarancji, że będę mogła kiedykolwiek odtworzyć takie wydarzenie. To się po prostu zdarzyło przez przypadek, ciociu Prudence. Ja nie miałam z tym nic wspólnego. Ani ty. To się przytrafiło, a my akurat byliśmy tam. I to wszystko.

— Powtarzam, że to nonsens. Musiałaś coś zrobić, Celio. Musiało być coś w twoim działaniu albo w myślach. Może zachowałam się inaczej, odeszłam od ustalonej rutyny. Cokolwiek to było, nie był to przypadek. To było związane z tobą, Celio. Coś wyszło od ciebie i to coś spowodowało, że anioł przyszedł do naszego salonu. — Potok słów ciotki został zahamowany. Zamyśliła się, przykładając dłoń do pulchnego policzka. — Czy myślisz, że jest zbyt późno, aby jeszcze dzisiaj zawiadomić gazety? — Westchnęła

JUDITH O'BRIEN i potrząsnęła głową tak mocno, aż jej siwe loczki zawirowały. — Nic nie szkodzi. Będzie to można zrobić jutro.

— To nie jest w porządku — odezwała się Celia stanowczym tonem. — Nie powinniśmy zarabiać pieniędzy na... na nieszczęściu innych ludzi.

W kuchni zapanowało niezręczne milczenie. Patryk opuścił głowę i zaczął przypatrywać się swoim butom. Eileen zaczerwieniła się. Wreszcie ciotka Prudence roześmiała się, ale śmiech ten brzmiał sztucznie.

— Pomyśl tylko, moja droga, czy tego, co robiliśmy ostatnio, nie można również nazwać wykorzystywaniem ludzi, którzy stracili swoich bliskich?

Celia poczuła się tak, jakby ktoś jej wymierzył cios w żołądek. Nigdy przedtem to, co robili, nie zostało nazwane tak bezpośrednio. Nigdy nie powiedzieli sobie wprost, że są tylko oszustami i szarlatanami najgorszego gatunku. Teraz ciotka Pru wypowiedziała na głos całą prawdę.

— Ale... ja... — zaczęła Celia.

— Może rzeczywiście miałaś dobre intencje i chciałaś pomagać ludziom. I naprawdę

pomogłaś wielu osobom, jestem tego pewna. Spowodowałaś, że poczuli się inni, ważni. Dzięki tobie uwierzyli, że mogą porozumieć się ze swoimi zmarłymi. Ofiarowałaś coś każdemu ze swoich klientów. Ale czy nie rozumiesz, że to, co się dzisiaj wydarzyło, świadczy o tym, że jednak nie jesteś oszustką? Że naprawdę posiadasz niezwykle umiejętności.

Celia już się miała przeciwstawić ciotce, kiedy ktoś zaczął gwałtownie dobijać się do drzwi.

— To na pewno pan O’Neal — powiedziała, spiesząc

Medium do drzwi. Nikt inny nie łomotał tak głośno. Chciała uniknąć rozmowy z ciotką, a jednocześnie odczuwała absurdalną potrzebę zobaczenia pana O’Neala, podzielenia się z nim wiadomością o tym, co się wydarzyło. To całkowicie zmieniało zawartą z nim umowę. Widok prawdziwej Amandy odmienił wszystko.

Wyprostowała się, przekręciła masywną miedzianą gałkę i otworzyła drzwi.

— Panno Thomason — odezwał się jeden z trzech stojących na progu mężczyzn.

To nie był pan O’Neal. To byli ludzie, którzy przyszli upomnieć się o dług wuja Jamesa.

6

L anno Thomason — odezwał się największy z nich. Podobnie jak przy poprzedniej wizycie, którą złożyli jej pół roku wcześniej, stał w środku i miał tak samo bulwiasty nos. — Widzę, że jeszcze nosi pani żałobę po zmarłym wuju. Taka ładna dziewczyna jak pani nie powinna nosić takich brzydkich sukienek. To woła o pomstę do nieba, nie mam racji, chłopcy? Czy nie uważacie, że pani powinna nosić coś bardziej, jak by to powiedzieć, miłego? Wesołego?

Jego dwaj towarzysze rozciągnęli usta w uśmiechu i wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Celia z trudem przełknęła ślinę. Nie mogli chyba zrobić jej krzywdy na progu własnego domu pełnego ludzi. Nie da się zastraszyć i sprowokować. Musi myśleć wyłącznie o interesach.

Pozostały jej jeszcze trzy tygodnie na spłacenie długu.

— Dobry wieczór, panowie. — Chwyciła za gałkę i zamknęła drzwi. Nie chciała, żeby ktoś z domowników

Medium zobaczył ją w towarzystwie tych mężczyzn i zaczął zadawać pytania, na które trudno byłoby jej odpowiedzieć. Jak rozumiem, według naszej umowy pozostały mi jeszcze trzy tygodnie. Więc proszę mi wybaczyć, ale muszę...

— Chwileczkę, chwileczkę — odezwał się osobnik z bulwiastym nosem. Ubrany był tak samo jak poprzedniej wiosny, w kraciastą kamizelkę, ciemnoczerwony krawat, dziwny cylinder i zniszczony płaszcz. Kołnierzyk jego koszuli był wytarty i brudny. Dwaj towarzyszący mu mężczyźni byli ubrani podobnie, choć nie tak wyszukanie.

— Nie ma powodu, żeby się gniewać, panno Thomason. Naprawdę nie ma żadnego powodu.

— Proszę mi wybaczyć — odpowiedziała Celia. Jedna z sąsiadek, pani BiUingston, obrzuciła ich uważnym spojrzeniem, spiesząc do swojego domu. Odgłosy zamykanych na wszelkie możliwe zasuwy drzwi rozbawiły najmniejszego z trzech mężczyzn. Jego chude ramiona trzęsły się od tłumionego śmiechu.

— Będę z panią szczerą, panno Thomason — odezwał się ten w środku. — Ostatnio nie najlepiej nam się wiedzie. Prawda, chłopcy?

— Przykro mi to słyszeć, panowie. — Myśli szybko przelatywały jej przez głowę. Co mogła zrobić? Jaki miała wybór? Nie miała gdzie uciec ani gdzie się schować.

— To bardzo miło z pani strony, panno Thomason, że troszczy się pani o nasze dobro. Ale, widzi pani, liczyliśmy na pani pomoc.

Nie odezwała się.

— Mieliśmy nadzieję, że otrzymamy małą, jak mam to nazwać? Małą zaliczkę na konto naszych interesów.

i Ogarnęła ją panika, ale starała się jej nie okazywać.

.....— Przykro mi, panowie, ale obawiam się, że nie będę mogła wam pomóc.

Zachowanie trzech mężczyzn uległo tak drobnej zmianie, że mógł to dostrzec jedynie

ktos przyzwyczajony do uważnego obserwowania ludzi. Celia wszystko zauważyła. Stojący po bokach mężczyźni już się nie uśmiechali. Patrzyli na tego, który stał w środku. A on zwlekał z odpowiedzią, obciążając swoje wytarte mankiety i oglądając paznokcie.

— Otrzymaliśmy polecenie, żeby odzyskać pięć tysięcy dolarów — powiedział spokojnym tonem.

Nogi pod nią zadrżały; chwyciła się żelaznej poręczy.

— Mam tę sumę, ale jest ona chwilowo niedostępna. Spojrzał na nią i pokręcił głową.

— To fatalne, prawda, chłopcy?

Obaj mężczyźni stali bez ruchu, rzucili mu tylko czujne spojrzenie. Celia widziała, że się go boją.

— Niech pani podejdzie bliżej, panno Thomason. Nie ma co się boczyć na siebie. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Wydaje mi się nawet, że niedługo jeszcze bardziej się zaprzyjaźnimy. Mam rację, chłopcy?

Zrobiła krok do tyłu.

— Bliżej, powiedziałem. — Złapał ją za spódnicę i szarpnął. Gdyby nie to, że trzymała się balustrady, spadłaby ze schodów.

Tylko jedna myśl przychodziła jej do głowy. Dlaczego mnie to spotyka? Niech to się wreszcie skończy, proszę...

— Mam pieniądze w obcej walucie — wyszeptała. Gardło miała ściśnięte; czuła, że ogarniają rozpacz.

Medium

— Pieniądze w obcej walucie? Co nam z tego przyjdzie? Chciała odepchnąć rękę tego, który trzymał ją za spódnicę, ale spowodowało to tylko tyle, że wzmocnił uchwyt.

— No, chłopcy. Co teraz powinniśmy zrobić?

— Przyrzekam, że to są dobre pieniądze. Musicie tylko...

— Panno Thomason! — Głęboki baryton przedarł się do jej świadomości. Gwałtownie obróciła się w stronę, z której dobiegał głos, i zobaczyła olbrzymią postać Brendana O'Neala.

Dwaj mężczyźni usunęli się na bok, zostawiwszy tego z bulwiastym nosem, który wciąż trzymał Celię za spódnicę.

— Niech pan odejdzie — powiedział, nie oglądając się za siebie. — Nic do pana nie mamy.

— Myślę, że jest pan w błędzie — stwierdził O’Neal. Spoglądał na Celię pytającym wzrokiem, unosząc ze zdziwienia brwi.

Miała wrażenie, że ktoś narzucił ciepłe okrycie na jej drżące ramiona. Nie była już sama. Wszystko, co przeżyła tego dnia, potworny strach, którego doświadczyła, to wszystko raptownie gdzieś uleciało. Poczula się bezpiecznie; wiedziała, że jest ktoś, na kogo może liczyć.

Nie musiała już samotnie walczyć z przeciwnościami.

Kiwnęła głową i usiłowała się uśmiechnąć. Wtedy wydarzyło się coś niezwykłego. Twarz Brendana O’Neala złagodniała, straciła swój napięty wyraz, zniknął z niej arystokratyczny grymas pogardy. Celia odniosła wrażenie, że dociera do jego duszy, do jego serca.

JUDITH O’BRIEN

Przez tę krótką chwilę byli razem. Uśmiechnął się i zmrużył oko. Znowu był sobą i to w tym najgorszym wydaniu.

— Powtarzam, że jest pan w błędzie. Mam coś przeciwko panu.

Mężczyzna z bulwiastym nosem spojrział wreszcie na O’Neala. Rozluźnił uchwyt, szacując wzrokiem rozmiary przeciwnika i jego niekwestionowaną siłę. Puścił spódnicę Celi i zwrócił wzrok w stronę swoich towarzyszy, którzy zaczęli się chyłkiem wycofywać.

— Jestem pewny, że uda nam się wyjaśnić to drobne nieporozumienie. — Skinął głową i uchylił cylindra. — Sir dodał.

— Na pewno — odpowiedział O’Neal. — Teraz proszę zostawić pannę Thomason w spokoju.

— Sir. Mamy do panny Thomason poważny interes. Niecierpiące zwłoki sprawy finansowe.

— W porządku. Proponuję więc, żeby panowie załatwiali swoje interesy w godzinach urzędowych.

Celii zaparło dech, kiedy O’Neal wkładał rękę do kieszeni. Co wyjmie — broń?

Ci trzej mieli to samo wrażenie. Nagle opuściła ich cała zuchwałość. O’Neal wyjął zegarek kieszonkowy, otworzył go, zamknął i powoli włożył z powrotem do kieszeni.

— Wydaje mi się, że kończy pani urzędowanie o piątej, prawda?

— Oczywiście. Naprawdę... — Mężczyzna z bulwiastym nosem skłonił się Celii, po czym równie wytwornie pożegnał O’Neala. — Nie mieliśmy pojęcia, że jest już

Medium tak późno, prawda, panowie? — Dwójka jego towarzyszy poświadczyła skwapliwie, energicznie kiwając głowami. Przyszliśmy tu w interesach, pan rozumie. Tak. No, to życzę państwu miłego dnia. — Ukłonił się lekko, uchylił cylindra i szybko zbiegł ze schodów, żeby dołączyć do swoich kumpli.

Wszyscy trzej odeszli ramię w ramię żwawym krokiem, a okrążając plac omal nie wpadli na drzewo.

— Panno Thomasem? — Dwa szybkie ruchy i O’Neal był już przy niej.

Poczuła ciepły dotyk poprzez wełniany rękaw swojej ciemnej sukienki.

— Ja... dziękuję panu. — Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo jej groziło. Zdecydowana chronić domowników, nie chciała wpuścić tych typów do domu.

Co by się z nią wtedy stało? A z ciotką Pru?

— Jakie interesy łączą panią z tymi ludźmi? Wahала się z odpowiedzią.

— Jestem panu wdzięczna za zainteresowanie, ale uważam, że to moja sprawa.

— Słyszałem kawałek waszej rozmowy. To byli lichwiarze, prawda?

— Mimo wszystko nie wydaje mi się...

— Jak pani mogła być tak naiwna, żeby zadawać się z ludźmi tego pokroju? Na pewno pani wie, że istnieją bardziej godziwe sposoby uzyskiwania pieniędzy. Są inne drogi, instytucje, które noszą nazwę banków, jeśli pani o nich nie słyszała...

Jeszcze tylko brakowało, żeby jej ktoś wygłaszał kazania.

JUDITH O'NEAL

— Tak. Jestem tego świadoma, panie O'Neal. — Poczula się nagle potwornie zmęczona, tak wyczerpana, jak chyba jeszcze nigdy w życiu.

— Czy pani źle się czuje, panno Thomason? — Z jego głosu zniknęła drwina, a w oczach można było dostrzec troskę.

Unikając jego spojrzenia, Celia spuściła wzrok na pognieciony dół spódnicy, ślad po uchwycie mężczyzny z bulwiastym nosem.

— Nie, panie O'Neal, nie jestem chora, raczej bardzo zmęczona.

— Czy jadła pani podwieczorek albo kolację?

— Nie. Właśnie przygotowywaliśmy kolację, kiedy nadeszli ci trzej uroczy dżentelmeni.

— Nie zaprosiła ich pani? Gdzie się podziały pani dobre maniery, panno Thomason?

Była tak oszołomiona, że przez chwilę myślała, że mówi poważnie. Zobaczyła jednak lekki uśmiech na jego twarzy i sama się uśmiechnęła.

— Nie wiem, dlaczego tak się stało. Na pewno uważają mnie za bardzo źle wychowaną, szczególnie że sami mogą służyć za wzór wytworności.

— Byli tym zaszokowani, panno Thomason, dlatego tak szybko odeszli. Ale proszę mi powiedzieć, czy stojąc przed domem i zabawiając tych kawalerów, nie musiała pani zrezygnować z kolacji?

— To jest bardzo prawdopodobne. — Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zimno i jak bardzo jest głodna. Jaki był jej ostatni posiłek tego dnia? Zjadła tylko śniadanie. — Na pewno ominęła mnie kolacja.

Medium

— Tak, panno Thomason. Ja też przyszedłem tutaj w interesach. Ale może moglibyśmy o nich porozmawiać podczas posiłku w Astor House?

— W Astor House? — powtórzyła zaskoczona Celia. Wszyscy wiedzieli, że w Nowym Jorku, a może nawet w całych Stanach Zjednoczonych, były tylko dwie najelegantsze — i najdroższe — restauracje, Delmonico i Astor House. Wuj James chwalił się, że czasami

tam bywał, ale Celia nie do końca mu wierzyła.

Celia Thomason w Astor House?

— Nie odpowiada pani Astor? — spytał O’Neal. Mówił serio, bez śladu drwiny. — Wszyscy twierdzą, że to bardzo przyzwoite miejsce.

— Tak, proszę pana. Nie byłam tam od... — Prawdę mówiąc, nie była tam nigdy. Czasem przechodziła obok lub widziała z okna powozu eleganckich mężczyzn i kobiety, które wyglądały, jakby zeszyły prosto z kart żurnala.

Wiadomo było, że zwykli obywatele, nawet ci, którzy mieszkali w pobliżu Washington Square, nie mogli sobie ot tak po prostu wejść do Astor House, jeśli nie byli gośćmi hotelu lub jeśli nie byli tam przez nich zaproszeni. Wszyscy krewni Celi mieszkali w Nowym Jorku, nie mieli więc powodu wynajmować pokoi w Astor House.

Mimo wszystko nie chciała powiedzieć panu O’Nealowi, że nigdy tam nie była. Pochodziła z dobrej rodziny, wszelkie pozory wskazywały na to, że była zamożna, mieszkała w modnej dzielnicy, obok Washington Square, przynajmniej tymczasem. Nie, zdecydowanie nie chciała, aby dowiedział się prawdy.

JUDITH O’BIEN

— Jak dawno pani tam nie była, panno Thomason? chciał wiedzieć.

— Od śmierci wuja— powiedziała z przekonaniem. Twierdzenie to zawierało sugestię, chociaż nie była ona zgodna z prawdą, że zanim śmierć wuja pogrążyła ją w żałobie, spędzała dużo czasu w Astor House w towarzystwie różnych interesujących osobistości. Właściwie to jego sprawa, że źle ją zrozumiał. Zeszywniała, jakby obrażona, że ktoś mógłby pomyśleć, że Celia Thomason nigdy jeszcze nie przekroczyła progu Astor House.

— Naturalnie. — Skłonił się lekko. — Przepraszam panią. Mój szwagier ma tam pokoje i spodziewam się, że dziś wieczór będzie w restauracji. Ja też jeszcze nie odwołałem rezerwacji swojego apartamentu. Myślałem więc, że moglibyśmy zjeść wspólnie kolację w bardziej sprzyjającej atmosferze. Żeby nasz plan miał szanse sukcesu, musi pani zdobyć jego pełne zaufanie.

— Tak, tak, oczywiście.

— Więc jeśli poproszę panią o wybaczenie za tak nagłą propozycję, to czy przyjmie pani zaproszenie na kolację do Astor House?

— Ja... tak. Oczywiście. — Spojrzała na swoją skromną, niczym nie ozdobioną sukienkę i pomyślała, że nie będzie miała w co się ubrać do tak wytwornej restauracji. Jedyne co mogła zrobić, to doprowadzić się do porządku i założyć swoją najlepszą narzutkę, która i tak nie była wystarczająco elegancka.

— Jeśli pani chce, to zaczekam tutaj.

— Och, proszę mi wybaczyć! Niech pan wejdzie do salonu.

Medium

Otworzyła drzwi i zobaczyła wszystkich domowników, nie wyłączając ciotki Prudence, stojących za drzwiami. Służba rozpięzchła się w popłochu, tylko ciotka zdecydowała się stawić czoło sytuacji.

— Och, pan O’Neal. Jaka miła niespodzianka. Brendan i Celia wpatrywali się w szklankę, którą trzymała w ręce. Szklankę, która przyłożona z jednej strony do ucha, a z drugiej do drzwi, wzmacniała dobiegające z zewnątrz głosy.

— Witam pana. — Ciotka uśmiechnęła się z zażenowaniem i cicho zakasłała. — Celio, szykuj się, kochanie. Możesz włożyć moją najlepszą pelerynę, tę z ciemnozielonego jedwabiu z kapturem. A jeśli chodzi o fryzurę, to Eileen może cię uczesać specjalnie na tę okazję. O ile wiem, kolacja jest podawana punktualnie o dziewiątej... Na jej pulchnych policzkach ukazał się ciemny rumieniec, który bezsprzecznie wskazywał, że podsłuchiwała.

— Mam nadzieję, pani Cooper — odezwał się Brendan swobodnym tonem— że nie sprawi to pani żadnego kłopotu, byłbym jednak zachwycony, gdyby pani siostrzenica mogła mi towarzyszyć na kolację w... hm... Potarł brodę i zwrócił się do Celi. — Gdzieśmy mieli zjeść kolację?

— Nie przypominam sobie. — Celia potrząsnęła głową Czy nie w Królestwie Ostryg Sullivana na Canal Street?

— Czy to ta piwnica z podłogą wysypaną trocinami?

— Tak. Tam. — Celia podtrzymała temat.

— Nie. To nie było tam. Czy nie w tawernie, u tej sławetnej pani...

— Ależ skąd, panie O'Neal! — wykrzyknęła Celia.

JUDITH O'BRIEN

— Proszę mi wybaczyć, panno Thomason, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie w końcu mieliśmy zjeść tę kolację.

— W Astor House! — wykrzyknęła ciotka Prudence, nie wytrzymując przedłużającego się napięcia. — Wydaje mi się, że kiedy pan wchodził do domu i mówił pan bardzo głośno, to wymienił pan Astor House. Wyraźnie to słyszałam. Daję słowo.

— Naprawdę? — uniósł brwi. — Jeśli tak, to czy Astor House będzie odpowiedni, panno Thomason?

— Myślę, że będzie mi to musiało wystarczyć, chociaż muszę przyznać, że mam dziś wielką ochotę na ostrygi.

— Bądź pewna, że w Astor House znajdziesz tuzin dań z ostrygami, prawda, panie O'Neal? — Ciotka Prudence zaczęła wpadać w panikę. — Na pewno więcej niż tuzin iwo wiele lepszym gatunku niż w Królestwie Ostryg Sullivana. Idź teraz z Eileen na górę, a ja zajmę się panem O'Nealem. — Eileen, zajrzyj do mojej szkatułki — powinien tam być grzebień ze skorupy żółwia, który będzie pięknie wyglądał we włosach Celi.

— Panie O'Neal — odezwała się Celia. — Wrócę za chwilę...

Nie było jej dane dokończyć zdania. Ciotka Pru, znowu w swojej roli młodej dziewczyny, wzięła go pod rękę.

— Teraz proszę iść ze mną i wypić spokojnie kieliszek brandy. Przyszło mi na myśl, kiedy mówiłam o grzebieniu, czy aby miał pan okazję, żeby natrafić na naprawdę dobrze przyrządzoną zupę z żółwia?

Brendan rzucił Celi zrozczone spojrzenie i zatrzymał

Medium wzrok na radosnej twarzy ciotki Panience, która nie przerywała monologu.

— Poznałam mojego ukochanego męża, Jamesa, na żółwiowej uczcie dawno temu.

Rzeczywiście było to... no tak. Dawno temu. To było w tawernie Bayarda. Mieli zółwia z Indii Zachodnich, który ważył trzysta funtów, a jaką z niego zrobili zupę! Podawali ją od pierwszej w południe do dziesiątej wieczór i chyba zdążyłam zjeść pięć talerzy, zanim pan Cooper wreszcie mnie zauważył. Już nigdy więcej nie jadłam takiej zupy. Była bardzo gęsta, było w niej dużo kalipaszu.

— Kalipaszu? — Celia usłyszała jego uprzejme pytanie, kiedy wchodził z ciotką do salonu.

— Tak, to jest podobne do... — Głos ciotki Pru zanikł w oddali. Celia zatrzymała się na podeście schodów, marszcząc swoje gładkie czoło.

W niespełna pół godziny pan O'Neal potrafił poskromić tych agresywnych osobników, popatrzeć na nią wyjątkowo serdecznie, zmusić ją do uśmiechu, wyraźnie potępić jej przedsiębiorczość w interesach i wreszcie oczarować jej, tak często nieznośną, ciotkę cierpliwością i poczuciem humoru.

Jakim więc człowiekiem był Brendan O'Neal? Bardzo chciała znaleźć odpowiedź na to pytanie, chociaż w głębi duszy lękała się tej odpowiedzi. Nękało ją bowiem przecucie, że jeśli bliżej go pozna, to nigdy się od niego nie uwolni. I bez względu na wszystko, co się mogło wydarzyć, wiedziała już, że przez sam fakt spotkania takiego jak on mężczyzny stała się inną osobą.

Celia nigdy nie dbała przesadnie o swój wygląd. Nie oznaczało to, że jej na tym nie zależało — owszem, chciała ładnie wyglądać. Nie miała jednak ochoty naśladować innych kobiet w ich zabiegach o zdobycie mężczyzny. Taki był przeważnie ich główny cel, a przynajmniej wszyscy tak uważali. Nawet ciotka Prudence, przez swoje bezustanne utyskiwanie na zbyt wysoki wzrost Celi i jej szczupłą figurę, wyrobiła w niej przekonanie, że nie zdoła zmienić swego wyglądu bez podejmowania jakichś drastycznych środków. W efekcie Celia, chociaż jej prosty i skromny strój był zawsze dobrze dobrany, wolała nie rzucać się zbyt w oczy.

Teraz również miała zamiar umyć twarz i ręce, włożyć najlepszą ze swoich codziennych sukienek i może jeszcze wyszczotkować i ponownie upiąć włosy — jak zwykła robić przed

każdą wizytą. Jednak Eileen, stosując się do poleceń ciotki Pru, weszła za nią do pokoju.

— Dziękuję ci, Eileen, ale sama dam sobie radę.

— Nie, pani Cooper kazała mi pomóc. Poza tym marzę o tym, żeby uczynić z pani księżniczkę.

— Słucham?

— Panno Celio, czy pani wie, jak ślicznie mogłaby pani wyglądać? Proszę, niech mi pani pozwoli sobie pomóc!

Celia uśmiechnęła się. Eileen mówiła tak błagalnym tonem, składając dłonie w modlitewnym geście, że nie mogła się dłużej opierać. Poza tym trudno byłoby się teraz pozbyć upartej służącej.

Takim samym gestem Eileen powitała zjawę. To wspomnienie wywołało u Celii potrzebę czyjejś fizycznej obecności. Kiedy pokojówka zajmowała się jej toaletą,

Medium

Celia przebiegała myślą wydarzenia dnia— pojawienie się ducha, ucieczkę Garricka, przybycie trzech mężczyzn i Brendana O’Neala. Ostatnie dziesięć godzin wydawało jej się snem; poranne śniadanie jadła w innym świecie.

— Dobrze, panno Celio. Proszę teraz podnieść ręce do góry. Wspaniale!

Eileen zakładała jej gorset, koszulę, szczotkowała włosy i upinała je szpilkami. Na koniec zawiązała jej na szyi czarną aksamitkę. Zupełnie jakby zakładała mi pętlę, pomyślała Celia.

— Och — wyszeptała Eileen, cofając się, żeby obejrzyć swoje dzieło. — Wygląda pani pięknie. Jak królowna!

— Bardzo wysoka królowna, która... — zaczęła Celia, ale nie dokończyła, ponieważ zobaczyła swoje odbicie w dużym owalnym lustrze, które podała jej Eileen.

Ze wszystkich dziwnych wydarzeń tego dnia to było najdziwniejsze. Celia wolno podniosła rękę do twarzy, żeby przekonać się, że to naprawdę ona odbija się w lustrze. Zupełnie nie mogła siebie poznać.

Taką Celię Thomason widziała po raz pierwszy w życiu. Jej ciemnoczerwona prosta

taftowa suknia uległa metamorfozie. Ozdobiona była teraz kremową szarfą, przy rękawach miała koronkowe mankiety, również dekolt wykończony był jasną koronką. Zwykła wizytowa suknia zamieniła się w elegancki strój wieczorowy.

— Eileen, jesteś wspaniała!

Celia miała włosy splecione, spięte z dwóch stron grzebieniami ciotki Pru. Fryzura ta nie różniła się zbytnio od jej codziennego uczesania, a jednak sprawiała wrażenie dużo elegantszej. Czarna aksamitka na szyi, która była

5 — Medium

jedyną ozdobą, podkreślała blask jej mlecznej cery. Oczy jej jaśniały, a wargi były pełne i czerwone.

— Eileen — powiedziała zdumiona. — Dzięki tobie nareszcie ładnie wyglądam.

— Nie, panno Celio. To nieprawda. Zawsze pani była ładna. Ja tylko dodałam jakiś drobiazg tu i tam, żeby pani uroda pojaśniała. Pani jest piękna, tylko nigdy pani tego nie zauważyła.

Celia odetchnęła głęboko, uściskała Eileen i powoli zaczęła schodzić ze schodów, zastanawiając się, jak zareaguje reszta domowników. Kiedy weszła do salonu, ciotka Pru gwałtownie nabrała powietrza, a Brendan zerwał się z fotela. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, a po chwili ciepły, pełen aprobaty uśmiech.

— Pójdziemy już, panno Thomason? — Podszedł i podał jej ramię. Jak dobrze było wesprzeć się na nim. Celii kręciło się w głowie, miała ochotę śpiewać, śmiać się i płakać — wszystko naraz. Ciotka Pru podała jej obiecaną pelerynę, która jednak z powodu dużej różnicy wzrostu między nimi — sięgała jej ledwie za kolana.

— O mój Boże! — westchnęła ciotka Prudence, wręczając jej rękawiczki z koźlecej skóry.

— Ależ panno Thomason — powiedział Brendan miłym głosem. — Da pani początek nowej modzie. Za tydzień ta długość stanie się w mieście obowiązująca.

— Dziękuję panu. To rzeczywiście jest najnowsza moda, o jakiej jeszcze nikomu nie śniło się nawet w Paryżu.

Wyszła z domu, idąc u boku mężczyzny, który był tak dynamiczny i pełen życia, że wystarczała sama jego obecność, by Celia czuła się bezpiecznie. Czerpała żywą

Medium przyjemność ze sposobu, w jaki się zachowywał. Pewnie zatrzymał powóz, wychodząc śmiało na środek jezdni jak prawdziwy nowojorczyk, i trzymał rękę na jej ramieniu, kiedy wsiadali.

— Astor House — rzucił adres stangretowi, który skinął głową z uznaniem — niecodziennie zdarzał mu się kurs do tak wytwornego lokalu.

Jechali Broadwayem, tą reprezentacyjną, pełną życia ulicą, jarzącą się światłem latarni gazowych, wystaw sklepowych i okien okazałych budynków. A. T. Stewart's Marble Pałace górował nad ciągiem handlowym, który rozpościerał się pomiędzy dwoma przecznicami, a nawet jeszcze dalej, gdzie w oddzielnych pawilonach sprzedawano ubrania, żywność i tekstylia. Pan Stewart nazywał swoje sklepy „domem towarowym”. Były one naprawdę wspaniałe.

Na Broadwayu sprzedawano wszystko, co tylko można było sobie wyobrazić. Jedwab i herbatę pochodzące z Chin, skóry i kość słoniową z Afryki. Niektóre sklepy już czyniły pierwsze przygotowania do Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

— Wydaje mi się, że z roku na rok świąteczne dekoracje pojawiają się w sklepach coraz wcześniej — zauważyła.

Nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko do niej.

Pokazała mu miejsce przed gmachem opery, w którym w maju wybuchły zamieszki uliczne. Poszło o to, kto jest lepszym aktorem szekspirowskim, czy urodzony w Anglii William Macready, czy Amerykanin, Edwin Forrest. Dwadzieścia trzy osoby straciły wtedy życie, przeważnie byli to młodzi mężczyźni, którzy z fałszywie pojętego

poczucia patriotyzmu uważali, że oglądanie Anglika w roli Makbeta jest zaprzeczeniem podstaw demokracji, której orędownikiem był nieżyjący już prezydent, Andrew Jackson.

— Biedacy z dzielnicy Bowery nie lubią brokatowych kamizelek — tłumaczyła Celia, wyglądając jednocześnie przez okno i obserwując przejeżdżający omnibus. — Uważali, że

sama opera i jej protektorzy stanowią zbyt wielki luksus w Ameryce. Biedny burmistrz Woodhull stracił głowę i uznał, że najlepiej będzie wezwać na pomoc dwa bataliony Siódmego Pułku. Stanęli więc ze swoimi muszkietami, w szyku bojowym, naprzeciwko zgromadzonego tam tłumu. I nagle zaczęli strzelać — odpowiadać ogniem na rzucone w ich stronę kamienie. Dwadzieścia trzy osoby straciły życie, oczywiście nie zginął żaden żołnierz. Okazało się, że to nie *Makbet* był tragedią, prawdziwą tragedią było to, że Amerykanie strzelali do Amerykanów. To się nigdy przedtem nie zdarzyło i miejmy nadzieję, że z pomocą boską już się nigdy nie wydarzy.

— Wydarzy się. Obróciła się w jego stronę.

— Słucham?

— Powiedziałem, że to się wydarzy. Pochodzę z Irlandii. Mieszkałem również w Anglii. Wasz naród jest jeszcze młody. Obawiam się jednak, że to wkrótce nastąpi.

Obserwował jej reakcję w migotliwym świetle ulicy. Nie zaprzeczyła, przełknęła tylko ślinę i ponownie wyjrzała przez okno.

— Tak — potwierdziła cichym głosem.

A potem zaczęła opowiadać o założonych w ubiegłym

Medium stuleciu parkach, Vauxhall, Mount Vernon i Washington, gdzie zbierało się eleganckie towarzystwo, aby słuchać muzyki i oddawać się rozrywkom. Kwitły tam róże, pnącza wspinały się po pergolach i huśtawkach, na których nawet dorośli mogli dosięgnąć nieba. Opowiadała o tym, jak rodzice zabierali ją do ogrodów Niblo, gdzie jadła prawdziwe francuskie lody i piła lemoniadę. Wspominała jeźdźców ścigających się czasem na Broadwayu. Pokazywała mu nowe budynki i objaśniała, że dawna zabudowa spłonęła w wielkim pożarze w 1835 roku. Wskazała mu, przy której uliczce był cmentarzyk z siedemnastowiecznymi płytami nagrobnymi.

Brendan patrzył na nią, kiedy mówiła. Nie podązał wzrokiem za jej palcem, którym wskazywała opisywane miejsca ze swojego dzieciństwa czy też historii Nowego Jorku. Po prostu patrzył na nią.

Miotają nim dziwne uczucia. Jaki urok rzuciła na niego ta tajemnicza Amerykanka?

Miał spore doświadczenie z kobietami, wiele Angielek mogło to potwierdzić. Ta dziewczyna była jednak inna, świeża i pełna życia, w jakiś sposób zupełnie niezezsuta. Gdyby pokazała się w Londynie, stałaby się sensacją sezonu.

Chciałby być wtedy przy niej.

— Jesteśmy na miejscu!

Na widok Astor House rozbłysły jej oczy. Ten luksusowy pięciopiętrowy budynek miał bieżącą wodę i oświetlenie gazowe w każdym pokoju. Szerokie drzwi wejściowe obramowane były marmurowymi kolumnami, a w hallu znajdowały się najbardziej luksusowe sklepy Nowego Jorku. Sklep z kapeluszami, Leary & Co.,

JUDITH O'BRIEN w którym wuj James kupił swój ostatni cylinder, był zaraz na lewo.

Powóz zatrzymał się i stangret zeskoczył z kozła, żeby otworzyć drzwi Brendanowi. On z kolei pomógł wysiąść Celi prosto na podjazd, żeby nie stawała na brudnym chodniku.

Celia była nieprzytomna z podniecenia i mocno trzymała się jego ramienia, kiedy wchodzili po schodach.

— Proszę mi powiedzieć, panno Thomason. Czy lubi pani szampana?

Uśmiechnęła się, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Na pewno uznają za prowincjonalną gęś, jeśli się przyzna, że nigdy nie próbowała tego osławionego trunku. To nie będzie kłamstwo, przekonywała samą siebie. Trzeba coś zrobić, żeby pan O'Neal czuł się dobrze w obcym kraju i w nieznanym otoczeniu. Byłoby niegrzecznie, żeby ze względu na nią odmawiał sobie trunku, do którego jest przyzwyczajony. Gdyby wyznała, że nigdy nie piła szampana, on również by nie pił, ponieważ miał dobre maniere.

Poza tym zawsze marzyła, żeby spróbować tego trunku.

— Och, tak — pochyliła się ku niemu. — Uwielbiam szampana — szepnęła.

Uśmiechnął się i weszli do hallu. I to było jej ostatnie w pełni świadome doznanie tego wieczoru.

7

John Jacob Astor, którego fortuna powstała na bazie lukratywnego handlu futrami, chciał, oprócz wielu swoich posiadłości, mieć również hotel. Zabrał się do dzieła z

rozmachem, co nie było trudne przy jego funduszach, i wkrótce hotel został wybudowany, a pojęcie luksusu zyskało nowe znaczenie.

Znany architekt, Isaiah Rogers, zaprojektował tę solidną budowlę, która mieściła prawie czterysta pokoi. Poza bieżącą wodą i oświetleniem gazowym każdy pokój wyposażony był w unikalny, skomplikowany system dzwonek. Nie brakowało i innych niespodzianek, począwszy od niezwyklego pomysłu zaopatrzenia wszystkich pokoi w oddzielne klucze, do boyów w liberiach, którzy spełniali różne polecenia gości i mogli być wzywani dzwonkiem.

Każdy pokój urządzone był z przepychem, ciężkimi meblami z czarnego orzecha i wspaniałymi, chociaż zdaniem niektórych gości zbyt jaskrawymi, dywanami. John Jacob Astor pragnął przede wszystkim pochwalić

się swoim bogactwem, sprawa gustu była dla niego kwestią drugorzędną. Był przekonany, że gościom, płacącym tak astronomiczne sumy, należą się wszystkie nowości i luksusy.

— Proszę tylko pomyśleć — powiedział Brendan, zdejmując pelerynę z ramion Celi. — To wszystko zostało kupione za skóry dzikich zwierząt.

— A i tak żaden z gości nie potrafi trafić do spluwaczki odpowiedziała Celia, omijając kałuże soku tytoniowego na posadzce. Kilku ubranych w czerwone kurtki chłopców dyskretnie ścierało te brązowe ślady.

— Panie O’Neal, sir — odezwał się mężczyzna z ponurą miną, który pojawił się nagle przed nimi. Ubrany był jak oficer armii jakiegoś małego europejskiego państewka, z epoletami i błyszczącymi miedzianymi guzikami.

— Jakżeż jesteśmy zachwyceni, że pan do nas powrócił. Pana apartament jest gotów do zamieszkania. — Skierował teraz spojrzenie na Celię, taksując ją wzrokiem, aby stwierdzić, tak przynajmniej podejrzewała, czy jest godna wstąpić w progi Astor House.

Egzamin wypadł pomyślnie. Ukłonił się jej.

— Pani pozwoli, że wezmę okrycie. Przekąski i napoje podajemy w westybulu.

Brendan rozglądał się po hallu, obojętny na przepych otoczenia. Szukał wzrokiem

Garricka, który powinien był siedzieć teraz wygodnie w palarni albo odpoczywać przy barze. Nigdzie go jednak nie było widać.

Stroje gości hotelowych rzucały się w oczy jeszcze bardziej niż wystrój całego wnętrza. Kolorowe kamizelki mężczyzn, ich lśniące buty, pobrzękujące łańcuszki od zegarków. Byli to najwspanialszy i najmożniejsi mężczyźni

Medium tego świata, w przeważającej części nie będący mieszkańcami Nowego Jorku. Stanowili międzynarodowe towarzystwo i gdyby się uważnie przysłuchiwać ich rozmowom, można by wychwycić różnorodność akcentów i zaobserwować nieskazitelne maniere europejskiej arystokracji.

Najbardziej jednak błyszcząły w tym towarzystwie kobiety, w sukniach mieniących się wszystkimi kolorami tęczy, obsypane biżuterią, z wplecionymi we włosy barwnymi wstążkami.

Spoglądały na siebie ze skrywaną ciekawością, zerkając spoza wachlarzy z piór trzymany w wypielęgnowanych dłoniach. Dominowała najnowsza moda francuska, która nie zdążyła jeszcze ukazać się w żadnej gazecie. Panie byстрыm okiem oceniały, jaki materiał by im odpowiadał i jaki krój mógłby ukryć wady ich figur.

Stojąc u boku Brendana, Celia obserwowała wszystko bardzo uważnie.

— Czy widziałeś mojego szwagra? — spytał O’Neal chłopca z obsługi.

— Pana Stevensa? Jeszcze nie przyszedł na kolację, ale na pewno zaraz tu będzie. Czy mam mu powiedzieć, że pan go szuka?

— Tak. Proszę, zrób to. — Odprawił go skinieniem głowy i podał ramię Celi. — Szampan, panno Thomason?

Celia skinęła głową potakująco, jakby było oczywiste, że nadeszła pora na szampana, tak jak po południu zawsze przychodzi pora na herbatę.

Przebywanie w jej towarzystwie sprawiało Brendanowi ogromną przyjemność, oczy jej jaśniały silniejszym blaskiem niż klejnoty wszystkich obecnych w hotelu kobiet,

■ chociaż starała się ukryć podniecenie i udawać opanowanie. Jej zachowanie było w

jakiś sposób wzruszające. Odczuwał to wyraźnie. Nie miało to nic wspólnego z litością. Celia Thomason nie należała do osób, nad którymi należało się litować. Było w niej coś pociągającego, jakaś szczerza bezpośredniość, której trudno było się oprzeć.

Mimo tego, że jej jedyną ozdobą była czarna aksamitka na szyi, blaskiem przyćmiewała wszystkie inne kobiety. A może tylko tak mu się wydawało?

Weszli do następnej sali, w której kelnerzy roznosili napoje, przechadzając się dostojnym krokiem ze srebrnymi tacami w rękach. Przywołał wzrokiem jednego z nich; zaraz się zatrzymał i wręczył im kieliszki szampana.

— Och, jakie to zimne — zauważyła Celia. Zarumieniła się i upiła trochę z kieliszka. Oczy jej rozbłysły, uśmiechnęła się radośnie. — Och!

— Czy lubi pani ten gatunek, panno Thomason? Z nieukrywaną rozkoszą upiła kolejny łyk.

— Tak. Jest wspaniały!

Obserwowanie jej sprawiało mu radość. Tak łatwo było sprawić jej przyjemność, uczynić szczęśliwą.

— Niech pani uważa, moja droga. Szampan bywa zdradliwy.

— W takim razie, panie O'Neal, trudno sobie wyobrazić przyjemniejszą zdradę.

Roześmiał się. Szampan laskotał jej wargi; patrzyła, jak błyszczą jego ciemne oczy, jak pije ze swojego kieliszka i nagle wyobraziła sobie jego usta na swoich wargach, jeżeli...

Dość tego, postanowiła.

Medium

— Panie O'Neal. — Starła się mówić spokojnym i rzeczowym tonem, ale nie było to łatwe przy panującym wszędzie gwarze. Wszystkie kobiety wydawały się jej niezwykle piękne, mężczyźni bardzo przystojni, chociaż żaden nie był, oczywiście, tak przystojny jak pan O'Neal. Kobiety zerkały na niego ukradkiem spoza jedwabnych wachlarzy, a przechodząc obok rzucały mu powłóczyście spojrzenia.

Celia doszła do wniosku, że jest on najatrakcyjniejszym mężczyzną w całym Astor House. Być może nawet w całym mieście.

Nie, powzięła nagłą decyzję. Jest bezwarunkowo najatrakcyjniejszym mężczyzną na całym świecie.

Musujące bąbelki z drugiego kieliszka szampana opryskały jej twarz.

— Tak, panno Thomason? — pochylił się nad nią, jakby chciał lepiej słyszeć, co mówiła.

Ach, tak, pomyślała. Przecież ja coś powiedziałam.

— Panie O’Neal— powtórzyła. To było takie piękne nazwisko, Brendan O’Neal.

— Panno Thomason?

Co takiego miała mu powiedzieć? Przypomniała sobie jednak.

— Tak, panie O’Neal. Właśnie zastanawiałam się, czy pana szwagier przychodzi tu często na kolację? — Nareszcie coś udało jej się powiedzieć. W nagrodę należał jej się za to dodatkowy kieliszek szampana.

— Tak, przychodzi tu — potwierdził. — Zawsze jada tu kolację. — Skinął na kelnera.
— Panno Thomason, czy mogę pani zaproponować poncz? Jest bardzo odświeżający.

— Nie, dziękuję. To, co piję, jest równie odświeżające.

JUDITH O’BIEN

Nie potrafiła zrozumieć spojrzenia, jakim ją obrzucił, kiedy sama sięgnęła po kieliszek szampana, zdejmując go z tacy przechodzącego obok kelnera. Po prostu chciała być uprzejma, tłumaczyła sobie. Ten biedny kelner był tak zabiegany, nie chciała go dodatkowo trudzić, mogła przecież bez najmniejszego kłopotu obsłużyć się sama.

— Panno Thomason, uważam, że powinna pani... Jakie to dziwne, pomyślała. Słyszy głos Brendana bardzo wyraźnie, ale jego słowa są jakieś odległe, wyniosłe.

Wyniosły, czy to nie śmieszne słowo? Kto je wymyślił? Miał takie piękne ręce. Długie, zgrabne palce, czyste, równo przycięte paznokcie. Takie piękne ręce.

— Panno Thomason?

I zęby. Bardzo białe, równe zęby. Czasem nawet najbardziej atrakcyjni ludzie mają okropne zęby. Na przykład pan Ludlow. Człowiek, który miał wszystko własny powóz, może nawet dwa? Duży murowany dom na placu. Uroczą żonę. Być może uroczą to nie

najwłaściwsze określenie pani Ludlow.

— Wyniosły — oznajmiła.

— Słucham?

Brendan O'Neal był rzeczywiście bardzo przystojnym mężczyzną. Najprzystojniejszym ze zgromadzonych tu gości. Przechodząca obok nich kobieta zatrzymała na nim wzrok przez dłuższą chwilę.

— On jest, prawda? — spytała, ale język jej się plątał.

— Kto jest? — chciał się dowiedzieć.

Ale dobrze wiedział, o co chodzi. Dokładnie wiedział, kogo miała na myśli.

Wyjął kieliszek szampana z jej ręki.

Medium a — Co pan robi? — spytała dzwięcznym głosem, usiłując odzyskać kieliszek.

— Panno Thomason, wydaje mi się, że... Rozległ się ogłuszający huk.

Czy krzyknęła?

Przywarła do niego całym ciałem. Była pewna, że za chwilę zawałą się ściany, grzebiąc ich wszystkich pod gruzami. Zakryła uszy rękami, zamknęła oczy, oczekując końca.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Powoli otworzyła oczy. Biało ubrani mężczyźni weszli do sali równym krokiem.

Nikt nie wydawał się przerażony, parę osób uśmiechnęło się do niej, a niektóre kobiety coś sobie szeptały.

— Moja droga... — O'Neal delikatnie odjął jej dłonie, zasłaniające uszy. — To był gong. Chciałem panią ostrzec on zawsze przeraża nieuprzedzonych gości.

— Ja... ja... naturalnie. — Wyprostowała się. — Wiedziałam o tym. Ciekawa byłam, czy pan też wie. Znał pan ten zwyczaj, prawda?

Nie dostrzegła jego uśmiechu. Wszystkie pary, w towarzystwie sztywno wyprostowanych kelnerów, udały się do przyległej sali.

— Kiedy dostaniemy przepaski na oczy? — Celia zamierzała mówić szeptem, ale głos jej zabrzmiał nad wyraz donośnie. Kilka osób uśmiechnęło się, tylko kelnerzy pozostali niewzruszeni.

Poprowadzono ich do długich stołów. Kelnerzy przepasani byli teraz białymi fartuchami. Skąd one się wzięły? Wszedł szef sali. Stał na środku, lustrując swoich

podopiecznych uważnym spojrzeniem. Ubrany był również na biało, ale bez fartucha. Miał też jakieś odznaki na piersiach. Celia zastanawiała się, czy dostał je w nagrodę za udane obiady i kolacje.

Obrócił się i, bez ostrzeżenia, ponownie uderzył w gong. Kelnerzy pomaszrowali do kuchni, aby za chwilę powrócić z dużymi, srebrnymi wazami, które postawili na stołach.

Biesiadnicy pozajmowali już swoje miejsca. Po drugim uderzeniu gongu uniesiono ozdobne pokrywy waz, para buchnęła w powietrze i jednocześnie nakryto je ponownie.

— Aha — powiedziała do Brendana. — Myśleli, że mnie zaskoczą, ale spodziewałam się tego.

Kelnerzy nalewali teraz zupę, żaden nie uрониł ani jednej kropli. Trzymali pokrywy w lewej ręce, prawą usługując gościom. Wyglądali jak trzymający swoje tarcze średniowieczni rycerze.

Kiedy wszyscy zostali obsłużeni, po krótkiej przerwie szef sali lekko skinął głową. Kelnerzy uderzyli w pokrywy i odłożyli je na puste wazy. Wrócili do kuchni, trzymając je wysoko nad głowami.

— Musimy powiedzieć pani cioci, że jedliśmy zupę żółwiową — usłyszała jego głos.

Kolacja upływała przy dźwiękach gongu i częstej zmianie talerzy. Napełniano kieliszki winem, brzękały sztuce, słycać było szum rozmów. Celia nie była w stanie ogarnąć tego wszystkiego.

Zaserwowano drób — kaczki, dubelty, bekasy i przepiórki. Były również kunsztownie przybrane pasztety, dziczyzna zapiekana w cieście i mięsne przekąski. Podano wiele dań z wołowiny, z oliwkami, grzybami, pomidorami,

Medium i z gęsią wątróbką, a także wołowinę zapiekaną w cieście. Każde danie wyglądało tak jak wykonana ręką mistrza martwa natura. Każdy półmisek kusił, żeby choć trochę z niego spróbować.

Jako następne podano ryby. Małe cebulki osadzone w ich oczodołach lśniły jak perły. Zapiekane w cieście ostrygi przekładane były truflami, a ślimaki siedziały w swoich gładkich skorupkach. Wydawało się, że uczynek nie będzie końca. Potem przyszła kolej na lody w srebrnych pucharach i różne rodzaje ciast, począwszy od mrożonych serników, a skończywszy na sześciowarstwowym torcie pomarańczowym, udekorowanym delikatnymi kwiatami z barwionego cukru.

Tak wspaniałych potraw Celia nie widziała nigdy w życiu.

Jej sąsiad wziął jeden plasterk gęsi i cały ptak został zabrany ze stołu po odkrojeniu tego jednego, jedyne kawałka. Został wyniesiony razem z innymi, prawie pełnymi półmiskami.

Zastanawiając się, gdzie się podział pan Stevens, słuchała tego, co mówił Brendan, ale przede wszystkim chłoneła wszystko, co się działo przy stole.

Po chwili stało się coś dziwnego. Poczowała, że Brendan pomaga jej wstać, potem coś zawirowało jej w głowie i zapadła się w miękką pościel.

To było wszystko, co zapamiętała.

Celia westchnęła; jej poduszka miała piękny zapach. Nie wiedziała, jakiego mydła używały służące do prania,

ale chciał* to pe^edzieć, że tym razem pościel pięknie pachnie. — ■> ‘■.: Bolała ją głowa.

— Napije się pani wody? — spytał mężczyzna. Mężczyzna!

Zaczerpnęła tchu i szybko usiadła na łóżku. Była w pokoju, którego nie widziała nigdy w życiu, w łóżku, w którym nigdy przedtem nie spała. A w nogach tego wielkiego łoża, na bujanym fotelu, siedział pan O’Neal, wypoczęty i elegancko ubrany. Celii zrobiło się nagle niedobrze.

— Choroba morska, panno Thomason?

Oparła się o poduszki i naciągnęła koldrę pod brodę.

— Ja... jak... — zaczęła.

— Czy ma pani przyjaciółkę, która ma na imię Mary? spytał beztrasko, oglądając

paznokcie. Dopiero po chwili spojrział na nią, nie przestając bujać się w fotelu.

— Ja... nie. Nie mam przyjaciółki, która ma na imię Mary — wychrypiała.

— To źle, bo właśnie u niej jest pani w gościnie.

— Co?

— Wczoraj wieczór posłałem wiadomość do pani ciotki, że spotkała pani swoją starą przyjaciółkę, Mary, i że zostanie pani u niej na noc. Na pani miejscu postarałbym się wynaleźć jakąś przyjaciółkę Mary z lat szkolnych. To umili pani powrót na Washington Square.

— Ja... — przełknęła ślinę. — Mary?

— Nic pani, Celio. Wymyśliłem imię Mary, ponieważ każdy w jakimś momencie swojego życia znał jakąś Mary. Dlatego nie użyłem innego, mniej prawdopodobnego imienia, jak Berta czy też Madeline.

Medium

— Och— powiedziała tylko, przymykając oczy. „‘ Co robiła ostatniej nocy?

Ścisłała kołdrę z całej siły i usiłowała sobie coś przypomnieć, ale potworny ból głowy nie pozwalał na racjonalne myślenie.

Czy ona... z nim?

Z Brendanem O’Nealem?

— Czy pani dobrze się czuje? Wreszcie otworzyła oczy.

— Czy mógłby pan przestać się bujać?

— Naturalnie. Proszę mi wybaczyć.

■ Zapanowała zenująca cisza, a on znów zaczął się bujać w fotelu.

— Wydaje mi się, że powinna była pani skorzystać z oferowanego jej ponczu.

Nie odezwała się. Skupiona była na odtwarzaniu wy** darzeń poprzedniego wieczoru.

— Czy mogę jeszcze coś dodać? — spytał. Wczorajszy wieczór, myślała. Co się wydarzyło wczoraj wieczór?

— Uważam, że powinniśmy jak najszybciej wziąć ślub.

— Och, Boże!

— Czy to oznacza „tak”?

— Ja... — Musi coś natychmiast wymyślić. Co, na litość boską, mogło się wczoraj wieczór wydarzyć? Czy to możliwe, że oni... Nie. To niemożliwe. Czułaby się inaczej, byłaby jakaś zmiana. Starając się naśladować ton zwykłej towarzyskiej rozmowy, spytała:

— Czy pan Stevens tu jest?

— Nie pamięta pani?

JUDITH O'BRIEN

— Oczywiście, pamiętam. — Bała się, że za chwilę zwymiotuje. — Zastanawiałam się tylko, czy sytuacja... Byłam po prostu ciekawa. Chciałabym wiedzieć, czy... no tak. Czy sytuacja jest taka sama jak wczoraj wieczór?

— Tak, taka sama.

— No to... dobrze.

— Obawiam się, że to niedobrze, Celio. Czy mogę mówić do ciebie po imieniu? Jesteśmy przecież zaręczeni.

— Nie, nie jesteśmy!

— Czy mogę nazywać cię Celią, moja droga?

— Tak, ale nie... nie jesteśmy zaręczeni.

— Uważam, że powinniśmy wyruszyć jak najszybciej. Natychmiast po ślubie.

— Słucham?

— Aby odnaleźć Garricka.

— Aby odnaleźć... tak. Powinniśmy to zrobić. Nie uważam jednak, żeby do tego konieczny był ślub.

Zaczął znowu oglądać swoje paznokcie.

— Obawiam się, że jest. Po ostatniej nocy. Im szybciej to załatwimy, tym szybciej będziemy mogli odnaleźć Garricka.

„Po ostatniej nocy?” To niemożliwe. Czyżby mogła nie pamiętać czegoś takiego? Niewątpliwie pamiętałaby. Nie przypominała sobie nawet pocałunku.

— Pamiętasz ostatnią noc, Celio, prawda?

Czuła się tak samo jak poprzedniego dnia. Czyżby ten fakt był aż tak nieistotny?
Skinęła potakująco głową. Za wszelką cenę chciała zmienić temat rozmowy.

— A sprawa (Janicka... czy coś się zmieniło od wczoraj?)

Medium

— Nie — odpowiedział. — Może się powtarzam, ale chciałbym się dowiedzieć, czy domyślasz się, z jakiego powodu mógł wyjechać z miasta? Pytałem cię o to wczoraj wieczorem, ale wydawałaś się tym tylko rozbawiona. Potem powiedziałaś, że doskonale wiesz, dlaczego uciekł, ale nie chciałaś mi powiedzieć.

— Więc... — zaczęła, zrobiło jej się znowu niedobrze. Jestem przekonana, że pana siostra naprawdę ukazała mi się wczorajszego popołudnia. Wyprowadziło go to z równowagi i wybiegł z domu, zanim zdołałam go zatrzymać. —

— Ciekawe. Ale, jak już mówiłem, nie płacę ci za to, żebyś mydliła oczy akurat mnie. Cenię twoje umiejętności i w zasadzie zgadzam się, że powinnaś udawać prawdziwe medium, ale płacę ci za to, żebyś umiała przekonać Garricka, że potrafisz przywołać Amandę. Wspominałem również, że nie powinnaś dopuścić do tego, aby się śmiertelnie przeraził. Wręcz przeciwnie, zależy mi na tym, żeby wrócił do równowagi. Teraz wstań z łóżka. Każę przynieść śniadanie. Czy masz suknię, którą mogłabyś włożyć na ślub?

— Nie chcę pana obrazić, sir, ale nie mam zamiaru pana poślubić. Ale dziękuję za tę propozycję. Och, dziękuję również za wczorajszy wieczór.

Uniósł brwi do góry.

— To znaczy za kolację! Była wspaniała. — Przynajmniej tak jej się wydawało. Mało pamiętała.

— Miło mi, że smakowała ci kolacja. Lecz nadal uważam, że powinniśmy wziąć ślub.

— Ależ proszę pana, ja... n — Możesz mówić mi po imieniu. ‘...■— Tak, proszę pana. Aleja w ogóle nie chcę wychodzić

za mąż. Ani za pana, ani za nikogo innego. To nie chodzi o pana. Widziałam tyle naprawdę nieszczęśliwych par, że myśl o małżeństwie zupełnie mnie nie pociąga. Lecz

proszę mi wierzyć, że znajdę pana szwagra, wypełnię wszystkie obowiązki, do których mnie pan zaangażował, a kiedy otrzymam pieniądze, będę mogła powrócić do normalnego życia.

— A jeśli będzie dziecko?

Miała uczucie, jakby ktoś z całej siły uderzył ją w żołądek.

— Dziecko? — wykrztusiła.

— Tak.

Jak mógł być taki spokojny, pozbawiony wszelkich uczuć?

— Ja... tak... ja nie... czy ja...

— Jak wiesz, jestem ostatnim potomkiem O’Nealów. Miałem zamiar ożenić się w odpowiednim czasie. Uważam, że jeśli teraz weźmiemy ślub, będzie to dla nas z obopólną korzyścią.

— Ja... — Nie wiedziała, co powiedzieć. — Jak pan wie, ja... och... mój Boże. — Miała ochotę krzyknąć. Nagle zauważyła, że ma na sobie nocną koszulę z długimi, koronkowymi rękawami. Była to napiętniejsza nocna koszula, jaką kiedykolwiek widziała.

Ale koszula była podarta, rozerwana na ramieniu.

— Rozdarłaś koszulę — zauważył. — Dzisiaj weźmiemy ślub.

— Nie, nie — szepnęła. Jak mogła wyjść za mąż za tego obcego mężczyznę, który ją napastował? Na szczęście nie miała żadnych siniaków, nie widziała też innych śladów przemocy, poza rozdartą koszulą. Ale na pewno

Medium nie wyjdzie za mąż ani za pana O’Neala, ani za nikogo innego.

— Obawiam się, że nie masz wyboru. A ci wczorajsi dżentelmeni. Byli bardzo natrętni.

— Kiedy wykonam zadanie, które mi pan powierzył, i dostanę pieniądze, dam sobie z nimi radę. Więc widzi pan...

— Celio, nie mam zamiaru ci zapłacić.

— Co?! — krzyknęła.

— Dlaczego miałbym ci płacić, skoro pogorszyłaś sytuację Garlicka, zamiast ją polepszyć? Przeraził się i zniknął. Mógłbym sam się o to postarać, bez twojej pomocy.

— A więc jest pan kłamcą.

— Nie. Poza tym, ta uwaga nie może mnie obrazić, bo pochodzi od zawodowej oszustki.

— Nie wyjdę za pana.

— Wyjdiesz. Pomyśl o kompromitacji, jaka cię czeka, kiedy gazety wydrukują twoje oświadczenie, że jesteś oszustką. Jak będzie się czuła ciotka Prudence, kiedy się dowie, że jej ukochany zmarły mąż pozostawił was w długach? Wiem wszystko o długach wuja Jamesa. Jeśli sądzisz, że ci trzej mężczyźni dadzą ci spokój, to jesteś w błędzie. Najwyżej zaczną prześladować twoją ciotkę zamiast ciebie. Gdzie ona się podzieje? Nie mówiąc już o służących, których i tak jest w tym domu stanowczo za dużo.

To nie mogło być prawdą. Jak to możliwe, żeby w przeciągu kilku minut runął cały jej świat?

Nie ma już dla niej przyszłości. Żadnej przyszłości. Będzie związana z tym mężczyzną do końca życia.

JUDITH O'BRIEN

— Niech mi pan powie, jak może pan poślubić kogoś, kto tego nie chce?

Zauważyła, że wzdrygnął się lekko. Wstał z fotela. Jego potężna postać górowała nad całym pokojem. Celia uprzytomniła sobie ponownie, jak jest olbrzymi. Jego kolosalne rozmiary nie zawsze rzucały się w oczy, ponieważ miał bardzo harmonijne ruchy. Ale teraz, sam na sam w pokoju z tym ogromnym mężczyzną, czuła się nic nie znaczącą, kruchą drobinką.

Pochylił się nad nią i kontynuował, jakby nie docierały do niego żadne słowa protestu.

— Każę przysłać twoje ubranie. Jest już wyprasowane. Potem pojedziemy na Washington Square i podzielimy się tą radosną wiadomością z twoją ciotką. Do zobaczenia, Celio.

Wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Patrzyła na te drzwi, słyszała oddalające się kroki i ogarniało ją uczucie strachu. Czuła się bardzo samotna.

I wtedy zaczęła płakać.

Dlaczego on to robi?

Stał przed lustrem w apartamencie Garricka, gdzie spędził ostatnią noc po ulokowaniu Celi w własnej sypialni. Nie spotkał jeszcze nikogo, kto zachowywałby się tak po wypiciu dwóch kieliszków szampana. Była kompletnie oszołomiona, tańczyła po pokoju w nocnej koszuli Amandy, którą Brendan znalazł w kufrze Garricka.

Wreszcie potknęła się, rozdarła koszulę i padła na łóżko.

Dlaczego chciał wziąć ją za żonę, tę dziwną Amerykankę?

Medium

Ponieważ czuł w głębi duszy, że przy tólfj nigdy nie będzie samotny.

Ale ona go w tej chwili znienawidziła.

Gdyby się z nią teraz nie ożenił, to już by jej nigdy więcej nie zobaczył. On szukałby Ganieka, ona powróciłaby na Washington Square i tak by się to skończyło.

Pomimo wszystko nie rozumiał, jak mógł mu przyjść do głowy tak szaleńczy pomysł. Własne słowa zaskoczyły go w równym stopniu co ją.

Pozwolił jej uwierzyć, że została zhańbiona. Oprócz — tego wątpliwego atutu posiadał podpisany przez nią dokument oraz informację o długach wuja Jamesa.

Ładnie się spisał.

Nie mógłby się dziwić, gdyby go znienawidziła na zawsze. Zasłużył sobie na to.

Powoli wiązał krawat. Zawsze dopracowywał wszystkie szczegóły. Tym razem nie wiedział, czy popełnia największy błąd w swoim życiu, czy wręcz przeciwnie. W każdym razie stracił poczucie, że stoi na brzegu skały i czeka, aż go ktoś z niej zepchnie. Teraz wydawało mu się, że gotów jest sam z tej skały zeskoczyć.

Nie poczuł delikatnego zapachu perfum, który rozchodził się w pokoju. Zbyt był zajęty własnymi myślami, aby zwrócić uwagę na ten znajomy zapach, który w jakiś sposób przeniknął do Astor House.

Przecież był to dzień jego ślubu. ifti _ *.7'\$? 1

A/'

**#>>

C[^]elia ani razu nie otworzyła ust w powozie, który wiozł ich na Washington Square. Czowała się okropnie, siedziała sztywno wyprostowana, odsuwając się jak najdalej od Brendana O'Neala.

Te same widoki, które tak ją fascynowały, kiedy jechali do Astor House, straciły dla niej wszelki urok.

Cały Broadway, ze swoimi wspaniałymi sklepami, tłumem przechodniów, ulicznymi handlarzami, całe pulsujące życiem miasto przesuwało się przed jej oczami, nie wywołując żadnego zainteresowania. Była zbyt pogrążona w swoim nieszczęściu, które spowodowała jej własna naiwność i głupota.

Gdyby mogła uświadomić sobie wcześniej, jakie konsekwencje może mieć jej niemądra ufność, którą obdarzyła tego mężczyznę, za pierwszym razem zatrzęsnęłaby mu drzwi przed nosem.

Tak powinna była zrobić, ale nie zrobiła tego i teraz jej życie legło w gruzach.

Medium

Opanowanie, jakie wykazywał O'Neal, każdego mogłoby doprowadzić do szału. Miał nawet wesoły wyraz twarzy. Haniebny uczynek, jakiego dopuścił się poprzedniej nocy, nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie, nie odwracając głowy.

Odpowiedział jej uśmiechem.

Nie miała wyboru — musiała go poślubić. Nie tylko ze względu na pieniądze, ale też dlatego, że chociaż wzdrygała się na myśl o posiadaniu dziecka z tym mężczyzną, przypuszczała, że dziecko istotnie mogło już być w drodze.

Czekają teraz los służącej. Rozwiały się jej marzenia o samodzielnym życiu. Nie zazna już wolności ciała, ducha ani umysłu. Będzie podporządkowana zachciankom tego człowieka, który tyle jej zabrał. Właściwie zabrał jej wszystko — bez pytania o zgodę.

Ta myśl zawsze ją prześladowała, że znajdzie się kiedyś w sytuacji bezwolnej ofiary. I wszystko to spełniło się zaledwie w ciągu kilku godzin, przy romantycznej kolacji z

szampanem.

— Lepiej się czujesz, moja droga? — spytał.

Jak mogę lepiej się czuć? Miała ochotę krzyknąć. Tylko złoczyńca mógłby wykorzystać taką sytuację. Tylko najgorszy przestępca mógłby popełnić tak szkaradny uczynek.

Nikczemnik. Był nikczemnikiem, wziętym wprost z kart taniej powieści.

Znowu starała się przypomnieć sobie, co się mogło wydarzyć poprzedniej nocy. Była pewna, że coś się wydarzyło, ponieważ jej nocna koszula była podarta. Niczego więcej nie pamiętała, ale nie chciała głośno wypowiadać tego, czego się obawiała.

JUDITH O'BRIEN

Zamiast więc poinformować go, jak naprawdę się czuje, odpowiedziała spokojnym tonem.

— Możliwie, proszę pana. Czuję się możliwie. Może będzie mogła zabić go we śnie. To właśnie mogłaby zrobić! Początkowo odgrywać będzie rolę małej, posłusznej żoneczki, co uspi jego czujność. Będzie się uśmiechać, zachowywać łagodnie. Będzie ulegać jego zwierzęcym zachciankom. Pod tym względem jej ciekawość nie została jeszcze zaspokojona. Warto doświadczyć tego chociaż raz w życiu i móc to zachować w pamięci. A kiedy nastąpi ten ostatni raz, udusi go puchową poduszką.

Myśl ta wywołała uśmiech na jej twarzy.

Patrzył na nią.

— Proszę cię, Celio. Nie rób tego.

— Czego?

— Nie wykrzywiaj ust w taki sposób. Wyraz twoich oczu wyprowadza mnie z równowagi.

— Wątpię, czy istnieje coś, co może pana wyprowadzić z równowagi — powiedziała sucho, wygładzając spódnice.

— To samo odnosi się do ciebie, słodka Celio. Czują, że się czerwieni, usiłowała sobie wyobrazić, że znajduje się gdzie indziej. Gdziekolwiek. Z kimś innym, ale nie z tym złodziejem cnoty, mordercą nadziei.

— Mam nadzieję, że pastor nie każe na siebie czekać powiedział tak obojętnym tonem, jakby prosił ją o podanie solniczki.

— Na pewno nie. On zawsze jest gotów nieść pomoc potrzebującym duchowego wsparcia, opuszczonym i zdemoralizowanym. — Spojrzała na niego. —Zdemoralizowanym. Myślę, że się nie spóźni.

Medium

Nie zauważyła jego uśmiechu.

— Sądzę, że twoja ciotka przyjmie spokojnie wiadomość, że po wizycie u swojej wyimaginowanej przyjaciółki Mary będziesz dziś po południu brała ślub.

— Też tak sądzę. Ten szok może ją zabić. Ale też taksądzę.

Powóz przechylił się, kiedy stangret wziął ostry zakręt w kierunku Fifth Avenue. Celia starała się za wszelką cenę uniknąć fizycznego kontaktu ze swoim towarzyszem, ale ręka ześlizgnęła się jej z oparcia i po nieudolnych próbach złapania równowagi upadła na podłogę.

Podniosła się i wróciła na swoje miejsce, usiłując zachować spokój. Odrzuciła kaptur z twarzy, który przy upadku spadł jej na oczy, i czerwieniąc się z zakłopotania, wymamrotała cichym głosem:

— Przepraszam pana.

— Słuchaj, Celio. Wkrótce będziemy małżeństwem. Chyba nie musisz zachowywać się jak nieśmiała dziewczynka, chociaż z tymi rumieńcami wyglądasz doprawdy czarująco. Wczoraj wieczorem wcale nie robiłaś wrażenia nieśmiałej. W najmniejszym nawet stopniu. Gdyby mnie tam nie było i...

Celia zagryzła wargi. Rzuciła mu krótkie spojrzenie. Uśmiechał się! To go bawiło!

Brendan patrzył teraz przed siebie. Już się nie uśmiechał.

Powróciło pytanie, na które jeszcze sobie nie udzielił odpowiedzi.

Cóż on, u licha, robi?

Samotność zawsze miała dla niego swoisty urok. Był dumny, że doskonale sobie radzi bez niczyjej pomocy.

JUDITH O'BRIEN

Zawsze polegał tylko na sobie. W przeciwieństwie do wielu innych ludzi, nigdy nikogo nie potrzebował. Dlaczego więc pozwalał, aby ta kobieta wkroczyła w jego życie? A właściwie nie tylko pozwalał, ale wręcz zmuszał ją do tego. Był uczciwym człowiekiem, ale teraz grał fałszywymi kartami.

— Dlaczego? — odezwał się głośno, zaciskając pięści.

— Słucham? — spytała. Jej oczy straciły na chwilę ten wrogi wyraz, który gościł w nich od rana.

Zobaczył w niej nagle tę kobietę, którą była poprzedniego wieczoru. Jej śmiech, rękę wspartą na jego ramieniu, radość, jaką sprawiały jej najprostsze rzeczy — ładna srebrna łyżeczka albo sztywny, poważny kelner.

— Nie, nic — odpowiedział. Popatrzył na nią przez chwilę i ponownie spojrzął przed siebie.

Kiedy skręcali w ulicę prowadzącą do jej domu, zastanawiał się, czy przez swój egoizm nie zniszczy im obojgu życia, czy też...

Cichy okrzyk Celi przerwał te rozważania.

— Co takiego... — Nagle zobaczył masę ludzi na ulicy. Kiedy podjechali bliżej, stało się oczywiste, że tłumy oblegają dom Celi Thomason.

— Co się mogło stać? — Przerazona Celia otworzyła drzwi powozu.

— Zaczekaj! — zawołał Brendan, przyciągając ją do siebie.

— A jeśli tam zdarzył się jakiś wypadek, jeżeli ktoś jest ranny, jeżeli...

— Zaraz, zaraz — uspokajał ją, obejmując ramieniem. Oparła się na nim z ufnością, tylko z jej oczu nie zniknął wyraz trwogi.

Medium ‘?

Zastukał w dzielącą ich od stangreta przesłonę, która natychmiast się rozsunała.

— Co to za zbiegowisko? Proszę się dowiedzieć.

— Tak, proszę pana.

Słyszeli z głębi powozu pytania, jakie stangret zadawał przechodniom, ale nie mogli dosłyszeć odpowiedzi. Wreszcie zwrócił się do nich, w głąb powozu.

— To wszystko z powodu jakiejś panny Thomason, która tam mieszka.

— A co panna Thomason ma z tym wspólnego?

— Rozeszła się wiadomość, że ona naprawdę umie wywoływać duchy. Wszyscy służący je widzieli. To jest teraz bardzo popularne zajęcie. Rodzina starała się to wyciszyć, ale wiadomość się rozeszła, wie pan, jak to jest. Zamyka się stajnię, kiedy wszystkie konie już uciekły. Służba wszystko wygadała i tak się to rozeszło, od domu do domu.

— Więc ten tłum to służący? — spytał Brendan. — Jak to możliwe, że wszyscy naraz mają wolny dzień?

— Nie. To są ich pracodawcy, którzy chcą spotkać się z tą damą. A ci mężczyźni, którzy stoją z boku...

Celia i Brendan spojrzeli w tym kierunku.

— To wszystko...

— Dziennikarze — podpowiedziała Celia. — Poznają ich. Ten w czerwonej kamizelce pracuje u pana Greeley.

Zauważyła też ciotkę, która stała przed zamkniętymi drzwiami domu, z rozpromienioną twarzą i kiwając energicznie głową, rozmawiała ze zgromadzonymi tam ludźmi.

— Co mam robić? — zwróciła się Celia do Brendana, usiłując wyswobodzić się z jego objęć. — Wysiadam.

JUDITH O'BRIEN

— Nie. — Przytrzymał ją. — Na pewno nie są zbyt agresywni, ale to jest niebezpieczna sytuacja. Nie będziesz mogła wydostać się z tłumy.

Nie chciała przyznać mu racji, ale wiedziała, że może się tak zdarzyć. Trudno jest zapanować nad takim tłumem. W oddali widać było policjantów z nowych jednostek, którzy nosili metalowe odznaki w kształcie gwiazdy. Wydawali się jednak całkowicie zdezorientowani i zagubieni.

— Trzeba stąd odjechać — zdecydował O'Neal. — Sam ustalę trasę — powiedział

autorytatywnym tonem.

Celię nagle ogarnęła wściekłość. Teraz decyduje, którądy jechać, potem będzie decydował, co ona ma myśleć. To był początek końca jej życia jako wolnej kobiety. Gwałtownie wyrwała się i wyskoczyła z powozu.

— Celio!

Kiedy znalazła się na jezdni, wyteżyła wzrok, aby ponad ciżbą mężczyzn w wysokich, czarnych jedwabnych kapeluszach i kobiet w przylegających do głowy „budkach” wypatrzeć ciotkę. To był jej cel. Chciała dotrzeć do ciotki Prudence. Jak najszybciej oddalić się od Brendana O’Neala.

Tłum napierał na nią, trącano ją łokciami, mimo listopadowego chłodu czuła gorąco ludzkich ciał. W powietrzu unosił się odór brudnej wełny i te wszystkie szczególnie zapachy, które odczuwa się jedynie z bardzo bliska.

Parła do przodu, ale naprawdę stała w miejscu.

Gdzie była ciotka Prudence? Otoczona ludzką ciżbą Celia straciła poczucie kierunku, popychana i potrącana ze wszystkich stron. Ktoś nastąpił jej na suknię. Ciągnięto

Medium ją w dół, coraz niżej i niżej. Chciała się wyzwolić, ale jej gwałtowny ruch spowodował tylko rozerwanie sukni.

— Och, nie. — Jęknęła.

Jak to się mogło stać, parę metrów od jej własnego domu?

Wydostać się. Musiała się wydostać, ale nie wiedziała, jaki kierunek jest bezpieczny. Tłum wokół niej gęstniał. Ogarnęło ją uczucie, że za chwilę utonie.

Ktoś uderzył ją w głowę parasolką lub laską, nie wiedziała, czy przez przypadek, czy specjalnie. W uszach jej dzwoniło i ogarnął ją strach, że nie ma dla niej ucieczki.

Jaka to żałosna śmierć, pomyślała.

Nagle poczuła silne dłonie, które obejmowały ją w pasie. Usiłowała się wyrwać, odwrócona plecami do napastnika, ale on był zbyt silny.

— Ze wszystkich idiotycznych, kretyńskich wyczynów... — usłyszała. Głos i akcent były jej znane. Co za szczęście!

— Brendan — szepnęła, wiedząc, że jej nie usłyszy.

— Wariatka — odpowiedział.

Uniósł ją z ziemi, zwisającą bezwładnie w jego ramionach, osłonił jej twarz ręką.

Parł do przodu zdecydowanym krokiem, wymuszając przejście w tej skłębionej ludzkiej masie.

Nagle usłyszała głos ciotki Prudence.

— Tędy! Tędy, proszę pana! Ktoś krzyknął z tłumu.

— To ona! To Celia Thomason!

Zapadła cisza, a po chwili tłum ogarnęła euforia. Ale Celia była już bezpieczna w hallu swojego domu, za zamkniętymi przed dziennikarzami drzwiami.

JUDITH O'BRIEN

Brendan nadal trzymał ją w ramionach, mocno przyciskając do piersi, jakby nie chciał jej wypuścić z objęć. Czowała łomot jego serca i ciężki, niespokojny oddech.

Popatrzył na nią. Jej dłoń ścisnęła klapę jego marynarki, a głowa spoczywała na jego ramieniu. Delikatnie rozluźnił uchwyt, a ona przywarła do niego. Na krótką chwilę.

Ciotka Prudence mówiła coś, ale poprzez szum, jaki miała w uszach, Celia słyszała jej głos jakby z oddali.

— Celio! Och, jakie zamieszanie! Wielebny Hallem czeka na ciebie w salonie. Och, mój Boże, Celio! A te tłumy. Wszyscy chcą się z tobą spotkać i płacić nam za to duże pieniądze. Zdecydowaliśmy z Patrykiem, że wynajmiemy halę na spotkania grupowe i wtedy...

Celia nie mogła dłużej tego znieść. Kręciło jej się w głowie. Jeszcze jedna osoba chciała zaplanować jej życie. Nawet Patryk już wszystko za nią obmyślił. Nie była już panią własnego losu.

Ale właściwie czy kiedykolwiek rzeczywiście nią była?

Brendan zauważył, że blednie, i podtrzymał ją swoim silnym ramieniem. Zwrócił się do ciotki Prudence.

— Pani Cooper. — Skłonił się lekko. — Muszę się usprawiedliwić z dwóch powodów.

Monolog ciotki Prudence został przerwany. Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

— Sir?

— Powiniennem o wiele dłużej starać się o względy pani siostrzenicy. Ale jej urok tak na mnie podziałał, że nie zaznani spokoju, dopóki nie zostanie moją żoną.

— Och, panie O’Neal — krygowała się ciotka Prudence.

Medium

Brendan próbuje swoich wdzięków na ciotce, pomyślała Celia.

— Po drugie, powiniennem najpierw zwrócić się do pani, pani Cooper. Za to też pokornie panią przepraszam.

— To wszystko głupstwo! Jestem zachwycona, że moja kochana Celia zdobyła serce mężczyzny, któremu nawet gwiazdy sprzyjają.

Innymi słowy, pomyślała Celia, mężczyzny, któremu gwiazdy sprzyjają w powiększaniu konta w banku.

Celia miała w tej chwili tylko jedno pragnienie. Chciała __, zasnąć, zasnąć i zapomnieć o koszmarze ostatnich dni, wyrzucić z pamięci rozmowę z tymi typami upominającymi się o długi wuja Jamesa, zapomnieć o Brendanie O’Neal i jego znikającym szwagrze, i o tych zgromadzonych przed domem tłumach. I o Amandzie. Teraz nie była już nawet pewna, czy rzeczywiście widziała zjawę. Na pewno uda się znaleźć na to jakieś wytłumaczenie. Musi się udać.

— Teraz, moja droga — odezwała się ciotka Prudence. Chodźmy na górę. Musisz przygotować się do ślubu.

Ślub. Przede wszystkim chciała zapomnieć o tym, że za chwilę ma poślubić Brendana O’Neala, a ucieczka jest już niemożliwa. Nie mogła nawet wyjść przez okno przed domem czekał rozgorączkowany tłum.

Przekonywanie ciotki Prudence, że nie chce wychodzić za mąż, nie miałyby sensu, ponieważ ciotka zawsze wierzyła, że Celia tego pragnie i jedynie brak posagu i okazji do zamążpójścia jest przyczyną jej udawanej niechęci do tego stanu.

Celia wolno wspinała się po schodach do swojego pokoju, w którym czekała Eileen, aby pomóc jej w przygotowaniach do ślubu.

Jakimś sobie tylko znanym sposobem Brendan O’Neal zdobył suknię ślubną dla Celi. W przeciągu kilku godzin wystarał się o kompletny strój — suknię, jedwabne pantofle i długie, lamowane tiulową koronką rękawiczki z koźlecej skóry. Ta wspaniała kreacja rozłożona była teraz na łóżku panny młodej

— Czy to nie jest wspaniałe, panno Thomason? — odezwała się Eileen cichym szeptem, jakby w obawie, że bez zachowania pewnych środków ostrożności suknia może zmienić kolor na czarny albo, co gorsza, zniknąć.

Czarna suknia byłaby bardziej odpowiednia do tych okoliczności, pomyślała Celia i uznała, że Brendan O’Neal obdarował ją niezwykłym strojem ślubnym. Dotknęła materiału, pokrytej tiulem białej satyny. Z całą pewnością była to elegancka suknia.

Biorąc jednak pod uwagę wydarzenia, które doprowadziły do tego zaskakującego finału, suknia ta była zupełnie nie na miejscu. Po pierwsze, była biała. Niektóre panny

Medium młode stosowały się do nowej mody noszenia białych sukien, ale były to zwykle młodzietki dziewczyny, a nie zatwardziałe stare panny — jak ją kiedyś nazwała ciotka Prudence w swoim wystąpieniu pod hasłem „kiedy wreszcie wyjdiesz za mąż”.

Biały kolor był bardziej stosowny dla dziewczęcej panny młodej, nie pasował natomiast kobiecie idącej do ślubu w połowicznej żałobie. Jeszcze nie minął rok od śmierci wuja Jamesa, a na łóżku Celi leżała rzucająca się w oczy biała suknia, ozdobiona drobnymi, tiulowymi różyczkami, z głęboko wyciętym dekoltem. Nawet bez przymierzania tej niezwyklej kreacji można się było zorientować, że będzie bardzo uwydatniać talię.

Może ten krój miał jej dać do zrozumienia, że poprzedniego wieczoru nie zachowywała się tak, jak przystoi panience.

— Widzę, że nie mam wyboru — westchnęła Celia. Muszę ją włożyć.

— Panno Thomason! Nie wiem, co bym dała, żeby móc włożyć coś tak wspaniałego!

— No więc ubieraj się. Może on niczego nie zauważy. Eileen uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Pan O’Neal jest szalenie przystojny. Tak naprawdę mówiła pomagając Celi zdjęć podartą sukienkę — jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam w życiu. Ginny, ta która pracuje w kuchni, powiedziała, że omal nie umarła, kiedy zderzył się z nią w przejściu.

— Ja też — powiedziała Celia przez zaciśnięte zęby.

— A jego oczy, panienko. Ma coś takiego w oczach. Coś smutnego.

JUDITH O’BRIEN

— Może — przyświadczyła Celia. Ona również zauważyła ciemną głębię w jego spojrzeniu. Eileen pokazała jej cieniutką bieliznę, która leżała pod suknią. — Niemożliwe! Razem z suknią przysłał mi bieliznę!

— Tak, panienko. Uważam, że to bardzo romantyczne z jego strony. A do tego praktyczne, bo pani bielizna nie nadawałaby się do tej sukni.

Kiedy Celia włożyła przysланą jej koszulkę i poczuła na ramionach dotyk cieniutkiego jedwabiu, nie mogła powstrzymać radosnego westchnienia.

Popatrzyła z niechęcią na bardzo mały gorset, ale Eileen tak umiejętnie go zesnurowała, że wydawał się robiony na jej miarę.

Potem przyszła kolej na halki; było ich kilka — sztywne, wyjątkowo piękne, przyczepiane go gorsetu jedwabnymi pętelkami. Czekają na nią również kilka par białych, jedwabnych pończoch, na wszelki wypadek, gdyby któraś uległa zniszczeniu. I satynowe pantofle, w tym samym odcieniu co suknia. Niepraktyczne, pomyślała Celia, starając się za wszelką cenę stłumić uczucie radości, jakie ogarnęło ją po włożeniu na nogi tego cudownego obuwia. Będą do wyrzucenia, jeśli wejdę w błoto.

Eileen pomogła jej włożyć suknię.

Celi zabrakło tchu. Czy właśnie tak, jak mówiono, czuje się panna młoda? Nie, to jest o wiele przyjemniejsze uczucie. Bez porównania. Miała wrażenie, że przeistoczyła się w dobrą wróżkę z bajki, że nie ma już nic wspólnego z przyziemną rzeczywistością.

— Ach — westchnęła tylko, kiedy Eileen wygładzała jej suknię. To wydawało się wprost nierealne. Niemożliwe.

Medium

— Och, panienko. — Eileen z aprobatą oglądała swoje dzieło. — Teraz zajmujemy się fryzurą. Mam tu przybranie głowy z tiulu, różyczek i...

Paplanie służącej nie docierało już do Celi. Siedziała przy toalecie, a Eileen wyjmowała jej szpilki z włosów, szczotkowała, czesała, splatała w warkocze i ponownie upinała szpilkami. Zapadła cisza. Celia patrzyła przed siebie nieprzytomnym wzrokiem.

Jakiż to był niezwykły dzień.

Wreszcie Eileen odsunęła się od niej.

— Och, panienko — wyszeptała. Podprowadziła Celię do dużego lustra.

To nie była ona. To odbicie nie mogło być odbiciem Celi Thomason. Było to tak samo niemożliwe jak fakt, że za chwilę ma zostać mężatką.

Stojąca przed lustrem, otulona jedwabiem i ozdobiona kwiatami postać wyglądała tak, jakby zstąpiła z płótna jakiegoś obrazu. Eileen naciągała rękawiczki, a przez głowę Celi przelatywały dziwaczne myśli. To nie ja. To jest ktoś inny, nie rozsądna, zrównowazona Celia, tylko jakiś obłok owinięty w jedwabie.

— Kim jesteś? — spytała swojego odbicia.

— Królowną! — wykrzyknęła Eileen. — Prawdziwą królowną!

— Królowną w pożyczonej sukni— uśmiechnęła się Celia. — Ciekawa jestem, co się stało z kobietą, dla której uszyto tę suknię?

Nagle okropna myśl przyszła jej do głowy. Czy to była suknia jego zmarłej siostry? Czy to mogła być ślubna suknia Amandy?

JUDITH O'BRIEN

Zaraz jednak odrzuciła tę myśl. Nie. Amanda była o wiele niższa. Ktoś zastukał do drzwi. :

— Celia? — Ciotka Prudence wsadziła głowę do pokoju. — Czy jesteś... Ojej! Och, mój Boże!

Eileen i ciotka Pru wdały się w ożywioną rozmowę na temat wyglądu Celi i tego,

jakiego ma wspaniałego narzeczonego, ona jednak nie chciała tego słuchać. Służąca pobiegła na dół, aby uprzedzić pastora i pana młodego o rychłym pojawieniu się narzeczonej. Celia weszła do salonu niepewnym krokiem.

Goście byli już zgromadzeni — służba w swoich odświętnych ubraniach, Patryk w sztywnym kołnierzyku, zadowolona Eileen, jakby wszystko to, co się stało, było jej zasługą, Ginny, młodsza siostra Patryka, przybyła niedawno z Irlandii, Hannah, która specjalnie na tę okazję nałożyła czysty fartuch.

Wielebny Hallem dostojnie skinął głową na jej widok.

Celia, nie wiadomo dlaczego, przypomniała sobie, że pochodzący z Anglii pastor zwierzył jej się kiedyś w zaufaniu, że dzięki swoim manierom i arystokratycznemu akcentowi traktowany był zawsze, jak skromnie zaznaczył, jak „bóstwo”.

Jeśli naprawdę tak było, to tym razem stało się zupełnie inaczej. W salonie panowała cisza, ale było oczywiste, że to Brendan O’Neal jest najważniejszą postacią. Swoją osobowością przytłaczał wszystkich, chociaż stał odwrócony plecami i wyglądał przez okno.

Wydawało się, że sukno surduta nie wytrzyma naporu jego szerokich ramion. Celia głęboko zaczerpnęła tchu, szykując się do wejścia. „, ..

Medium k

Obrócił się do niej, kiedy tylko przekroczyła próg. Oddech uwiązał jej w gardle.

Eileen miała rację. Brendan O’Neal był wspaniałym mężczyzną.

— Celio. — W jego głosie brzmiało zarówno ostrzeżenie, jak i pewna obietnica. Nikt jeszcze w ten sposób nie wymawiał jej imienia.

— Panie O’Neal— odpowiedziała sztywno. Uśmiechnął się.

— Suknia dobrze na tobie leży. Ładnie ci w niej.

— Tak. Dziękuję panu. — Przeszła kilka kroków i zatrzymała się prawie na środku salonu. — Jak się panu udało zdobyć tę suknię w tak krótkim czasie?

Goście wymienili zdumione spojrzenia. Nie spotkali się jeszcze z tym, aby panna młoda rozmawiała ze swoim oblubieńcem na błahe tematy w obecności oczekującego pastora.

— Z zakładu krawieckiego w Astor House— odpowiedział Brendan.

— Ach, tak. Chyba widziałam ten zakład. Ale w jaki sposób tak szybko ją dopasowano?

— To był szczęśliwy przypadek. Okazało się, że masz takie same wymiary jak jakaś nieszczęsna panna młoda, której oblubieniec uciekł w kwietniu od ołtarza.

— Aha. Dlatego suknia ma taki wiosenny wygląd. Wielebny Hallem chrząknął znacząco.

— Panie i panowie...

Drzwi salonu otworzyły się i ukazała się ciotka Prudence w sukni pamiętającej czasy, kiedy skutki nadmiernego jedzenia słodyczy nie odbiły się jeszcze w wido—

JUDITH O'BRIEN czny sposób na jej figurze. Rozpoczęła się ceremonia zaślubin.

Celia miała wrażenie, że wszystko odbywa się bardzo powoli, jak we śnie. Głos pastora był dziwnie zniekształcony. Ucichły głosy ludzi, którzy tłumnie zgromadzili się przed domem. Do salonu dolatywały odgłosy przejeżdżających powozów i zwykłego ulicznego ruchu. Nowa policja dobrze się sprawuje, pomyślała z roztargnieniem.

Pastor odczytywał stosowne formuły.

Brendan słuchał dobrze znanych mu wyrazów, tych samych, wiele razy wysłuchiwanym zwrotów, ale tym razem odnosiły się one do niego, do jego własnego życia. Już nie po raz pierwszy tego dnia, a szczególnie w tej decydującej chwili, zastanawiał się, co właściwie robi?

Spojrzał na Celię, która również wydawała się lekko oszołomiona. To było zupełnie zrozumiałe, biorąc pod uwagę sposób, w jaki wpędził ją w tę sytuację. Było wielce prawdopodobne, że ta irracjonalna zachcianka zrujnuje im obojgu życie.

Może powinienem położyć temu kres? — pomyślał.

Wszyscy służący mieli uśmiechy na ustach. Ciotka Prudence wyglądała na zachwyconą. Właściwie wszyscy byli zadowoleni, z wyjątkiem młodej pary.

Brendan O'Neal słyszał swój głos, kiedy składał przysięgę, słyszał również głos Celi, powtarzający słowa pastora niepewnym tonem. Wyglądała bardzo pięknie, ale była smutna.

Sięgnął do kieszeni po obrączkę. Była to obrączka jego matki, którą znalazł, porządkując papiery po śmierci ojca.

Jego rodzice. »;> —:

Medium

Z tego, co pamiętał, ich związek był małżeństwem z miłości. Chociaż kiedy przypominał sobie matkę, czuł równocześnie uporczywy ból po jej stracie, widział wyraźnie jej twarz i wyraz czułości, z jakim patrzyła na niego, swojego jedyne go syna. Pamiętał również jej promienny wzrok, kiedy zwracała się do ojca.

On też tego pragnął. Chciał, aby równie piękna kobieta patrzyła na niego takim samym wzrokiem.

Czy o to właśnie chodziło? Czy nie dlatego tak obsesyjnie pragnął tej kobiety, że w jakiś sposób przypominała mu matkę? Praktycznie nic o niej nie wiedział, ale wyczuwał jej duszę.

Pomógł Celi i ściągnąć rękawiczkę i wsunął jej obrączkę na palec. Była trochę za mała. Nie pomyślał o tym, że obrączka może być za ciasna.

Celia niewątpliwie była piękna. Może właśnie o to mu chodziło, żeby mieć przy sobie uroczą kobietę, kiedy tylko będzie tego potrzebował. W takim razie żona powiększyłaby tylko stan posiadania, rzeczy, które zdobywał i o których szybko zapominał, jak pięknie oprawione książki, dzieła sztuki, nierozpakowane skrzynie, które zapełniał pod wpływem chwilowego impulsu.

Właśnie wtedy poczuł ten zapach.

Twarz mu pociemniała; rozejrzał się po salonie. To były perfumy Amandy. Nawet teraz, podczas ceremonii ślubnej, Celia uprawiała swoje haniebne sztuczki.

Nie był już sobą. Coś dziwnego działo się z nim od czasu, kiedy wrócił do Ameryki.

Czy to możliwe, aby Celia i jej ciotka podały mu jakiś narkotyk?

JUDITH O'BRIEN

Celia także poczuła znany zapach. Spojrzała na Brendana, który stał z zaciśniętymi

zębami, powstrzymując się przed wybuchem gniewu.

Głos pastora zabrzmiał radosną nutą.

— Ogłaszam was mężem i żoną!

Wtedy właśnie w salonie ukazała się Amanda.

Pierwsza zobaczyła ją Celia. W rogu pokoju, za plecami zgromadzonej tam służby, coś się lekko poruszyło. Podobnie jak poprzednim razem, niewyraźna forma powoli nabierała kształtów. Celia słyszała, że ktoś coś do niej mówi, ale nie odpowiedziała. Wyłaniający się kształt przykuwał całą jej uwagę.

Brendan, nie mogąc pohamować wzburzenia, zaciskał mocno dłonie, teraz spojrzał wreszcie na swoją oblubienicę i jego wzrok podążył w tym samym kierunku.

— Co u...

Wszyscy popatrzyli na siebie zdumieni. Wtedy i pastor dostrzegł wyłaniający się kształt. Jego usta przybrały komicznie pytający wyraz, oczy mu się rozszerzyły, a modlitewnik wysunął się z jego szczupłych dłoni i upadł na dywan.

Początkowo najbardziej widoczne były oczy, jasne i błyszczące. Brendan nie mógł wyjść ze zdumienia — to były oczy Amandy! Skąd Celia i jej pomocnicy mogli znać ten szczególnie odcień niebieskich oczu jego siostry?

Czy pokazywał jej fotografię Amandy? Ale to nie miało znaczenia, nawet jeśli tak było, nie mogło wyjaśnić ani koloru oczu, ani ciemnych refleksów, które jego siostra miała na swoich jasnych włosach.

Stopniowo rysy jej twarzy nabierały wyrazu, czoło,

Medium nos i pełne wargi. Po chwili widać było nawet małą bliznę pod lewym okiem, ślad po upadku, kiedy za jego przykładem usiłowała przejść przez kamienne ogrodzenie.

Przyszło mu nagle do głowy, że pewnie powiedział Celi o tej bliznie. Nie była ona widoczna na dagerotypie ani na portrecie Amandy. Żaden artysta nie umieściłby blizny na portrecie, bo oburzona modelka albo jej rodzina mogliby mu odmówić zapłaty.

Koncentrował się na rzeczach oczywistych, z prawdziwego życia. Brendan O'Neal nie uważał się za głupca. Nie pozwoli nikomu robić z siebie wariata.

A na pewno nie pozwoli na to kobiecie. Szczególnie swojej żonie.

Kwiatowa woń była teraz bardzo silna. Służący i ciotka Pru rozpoznali zapach, który towarzyszył pierwszemu ukazaniu się zjawy. Odsunęli się od zajętego przez nią rogu salonu i zbili w ciasną gromadkę. Jednak żadne z nich nie opuściło salonu. Wszyscy pozostali na miejscu, nie tyle przerażeni, ile zaciekawieni, co się dalej wydarzy. Patryk wyciągnął chustkę i przyłożył ją do nosa. Zapach perfum stawał się duszący, nie do wytrzymania.

Wydawało się, że zjawa skupia swoje zainteresowanie wyłącznie na Brendanie. Uśmiechała się lekko, chociaż cała jej postać nie wyłoniła się jeszcze z falującej mgły.

Brendan był całkowicie zdezorientowany.

— Amanda — wyszeptał.

Zjawa zdawała się niespokojna, wyraźnie przenosiła wzrok z Celi na Brendana.

Wszyscy byli w nią wpatrzeni — począwszy od wielebnego Hallema, ciotki Prudence i służby, a skończywszy

JUDITH O'BRIEN na młodej parze. Usta Amandy otworzyły się w bezgłośnym krzyku, który wyrażał cierpienie. To było straszne, ten przejmujący, niemy krzyk.

Postać gwałtownie zaczęła zanikać, widać było jednak wyraźnie jej podniesioną dłoń, którą zakrywała usta.

Zapach perfum nadal przenikał powietrze, chociaż postać już się zdematerializowała.

W salonie zapanowała pełna napięcia cisza.

Przerwał ją wielebny Hallem.

— Jak mówiłem.... — zaczął zduszonym głosem i głośnie przełknął ślinę — teraz jesteście mężem i żoną.

Celia spojrzała na Brendana.

Odpowiedział jej wzrokiem pełnym nienawiści i pogardy.

— Jak mogłaś. — Jego głos przypominał warczenie dzikiego zwierzęcia, schwytanego w pułapkę.

Nie obrzuciwszy ani jednym spojrzeniem pastora, ciotki Prudence ani służących,

wypadł z salonu.

I rudno było o radosną atmosferę na przyjęciu weselnym, biorąc pod uwagę nagłe zniknięcie pana młodego i równie nagłe pojawienie się ducha jego zmarłej siostry w samym środku ceremonii ślubnej.

Hannah wniosła pięknie udekorowany tort na srebrnej paterze, która niebezpiecznie ślizgała się po tacy w jej drżących ze zdenerwowania rękach. Zwykły, okrągły placek, który upiekła rano, przerobiła na tort weselny, kiedy dowiedziała się o niespodziewanej uroczystości.

Medium

— Och, Hannah — odezwała się opuszczona panna młoda, jak gdyby nic się nie wydarzyło. — Jaki piękny tort!

Ciotka Prudence otworzyła butelkę najlepszego koniaku z zapasów wuja Jamesa i uraczyła się nim sama. Dopiero po chwili rozlała resztę do kieliszków gości, starając się nie przesadzić z ilością. Pastor nerwowo wychylił dwie kolejki i dopiero wtedy naląła mu pełny kieliszek.

Podano poncz, herbatę i kawę, ale największe powodzenie miał koniak. Atmosfera była ciężka i wyraźnie coś wisiało w powietrzu.

— Cóż — z trudem uśmiechnęła się Celia — korzystną stroną tej sytuacji jest to, że nie musimy robić dobrego wrażenia na panu młodym. Zostali sami starzy przyjaciele.

Wzniosła toast czarką ponczu.

Jednak wszyscy obecni mieli jeszcze przed oczami postać Amandy. Nikt nie miał wątpliwości, że naprawdę się pojawiła i że czuli wyraźnie zapach jej perfum.

— Najlepsze życzenia, moja droga. — Wielebny Hallem nie mógł dojść do siebie. — To na pewno było... ze wszystkich... trzeba jednak powiedzieć... — wyjąkał. Jego osławione „boskie” opanowanie języka zawiodło w momencie, kiedy najbardziej tego potrzebował. Wreszcie wyprostował się. — Muszę iść, żeby odprawić nabożeństwo wieczorne.

— Naturalnie. Bardzo dziękuję, ojcie Hallem.

— Gdybyś potrzebowała moich usług, to tylko daj mi znać — rzucił przez ramię,

wychodząc z salonu szybkim krokiem.

Bardzo mu się spieszyło.

Celia widziała, jak biegnie ulicą, bez płaszcza, którego

zapomniał zabrać, a także bez kapektsza, Tęfcawiczek... i należnej mu zapłaty.

Grupka najwytrwalszych osób, które czekały jeszcze przed domem, ze zdziwieniem i zaciekawieniem obserwowała uciekającego w popłochu pastora.

Po jego odejściu ciotka Prudence zakorkowała butelkę koniaku, a Celia zwiesiła bezwładnie rękę.

— Co się, u licha, stało?— spytała ciotka donośnym głosem.

— To nie było z tego świata, psze pani — odezwał się Patryk. — Tu nie było żadnego oszukaństwa. Kiedy ukazała się pierwszy raz, to jeszcze miałem jakieś wątpliwości. Zastanawiałem się, czy nie daliśmy się wszyscy nabrać. Ale teraz to był najprawdziwszy duch, niepodrabiany.

— Nie o to mi chodzi — rozzłościła się ciotka Prudence. — Nad tym też trzeba się będzie zastanowić. Ale teraz mówię o nagłym odejściu pana O’Neala.

— Ach, ciociu Pru. — Celia westchnęła. — On myśli, że to nasze sztuczki. Że jesteśmy zwykłymi oszustkami. Okrutnymi oszustkami.

— Byłyśmy oszustkami, ale już nimi nie jesteśmy.

— Pan O’Neal uważa, że to nasza sprawka? — W głosie Patryka brzmiało zdumienie. — Myśli, że jesteśmy aż tak dobrzy?

— Niezupełnie tak — poprawiła go Celia. — Myśli, że opracowaliśmy to z zimną krwią. Myśli, że jesteśmy...

— Co ona chciała nam powiedzieć? — odezwała się nagle Eileen.

Wszyscy domyślili się od razu, o kogo pyta.

Medium

; — Nie wiem — powiedziała Celia.

— Myślałam, że to jest ostrzeżenie. Ona się czegoś bała.

— Pewnie nas — roześmiał się Patryk. — Wystraszyła nas jak diabli, a my pewnie też wystraszyliśmy ją śmiertelnie. To znaczy, przepraszam. Wiecie, co chciałem powiedzieć. Ale ona nie może już zrobić nam żadnej krzywdy. Włos nie spadnie nam z głowy. Ona jest teraz tylko odbiciem, jak obraz.

— Ona rzeczywiście czegoś się bała — ciotka Prudence odkorkowała butelkę koniaku i naląła sobie pełny kieliszek. — Ale nie nas. Przynajmniej nie na początku.

— Masz rację, ciociu. Najpierw była zadowolona, kiedy zobaczyła Brendana, to znaczy pana O’Neala. Dopiero po chwili wydała się przestraszona albo bardzo nieszczęśliwa.

— Ona patrzyła na panią — wtrąciła Eileen. — Patrzyła na panią i wtedy jej twarz przestała być piękna i stała się okropna.

Wszyscy ucichli, pogrążeni w swoich myślach. Słysząc było tylko głośnie tykanie zegara.

— Czy nie myślicie — spytała Celia cichym głosem czy nie myślicie — powtórzyła po krótkiej przerwie że może ona chciała ostrzec Brendana przed poślubieniem mnie?

— Dlaczego tak sądzisz, moja droga?

— Och, ciociu Pru, przecież... — Urwała. Nie mogła podać prawdziwej przyczyny tego pospiesznego małżeństwa, powiedzieć, że ta cnotliwa stara panna, Celia, zachowała się jak wyuzdana dziewczka uliczna.

Jakżeż Brendan musi jej nienawidzić. Amanda też na

pewno nią gardzi —jej wzgarda była wystarczająco silna, aby przywołać ją z Tamtej Strony. ?

Czy ci wszyscy, którzy się tam znajdują, już o tym wiedzą? Czy jej rodzice i wuj James byli tym zaszokowani? ;•■—

Zanim Celia zdołała rozwinąć tę myśl i zastanowić się, co odpowiedzieć ciotce, rozległo się głośnie stukanie do drzwi. Eileen poszła otworzyć i wróciła po chwili z beżową kopertą, zalakowaną czerwonym woskiem.

— To dla panienki. — Spojrzała na kopertę. — To znaczy, chciałam powiedzieć, dla pani, pani O’Neal.

To była wiadomość od Brendana. Celia zaczęła rozrywać pieczęć, ale nie dokończyła otwierania listu.

— Przepraszam was— wyszeptała, wyszła z salonu i pobiegła do swojego pokoju.

List był krótki.

Pani!

Utrzymuję w mocy naszą pierwotną umowę. Ta parodia ceremonii ślubnej, tak zręcznie przez Panią urozmaicona, nie zmienia naszej umowy, poza faktem, że nie mam ochoty być wplątany w Pani zawodowe sztuczki. Jeśli chce Pani otrzymać tak bardzo jej potrzebne pieniądze, musi Pani wypełnić zobowiązania, których się Pani podjęła. Nie udało się jeszcze odnaleźć Garricka, ale znajdę go i przyprowadzę do Pani. Dopiero wtedy otrzyma Pani resztę należnej jej zapłaty, pod warunkiem, że potrafi mu Pani przywrócić utraconą równowagę psychiczną, o czym nie wątpię po doświadczeniach dzisiejszego dnia. Potem wrócę do Londynu. Sam. Nie mam bowiem zamiaru

Medium utrzymywać z Panią jakichkolwiek kontaktów, poza jej zawodową dziedziną, w której wykazała się Pani tak wybitnymi zdolnościami. Kiedy będę w Londynie, szybko załatwię unieważnienie naszego niefortunnego związku i prześlę Pani odpowiednie dokumenty.

B. O'Neal

Celii zrobiło się słabo; oparła się o komodę. Ten mebel pamiętał jeszcze czasy jej dzieciństwa. Głęboko zaczerpnęła tchu.

Jeszcze nie wiedziała, w jaki sposób dokona tego, co zamierzała. Wiedziała jednak, co powinna zrobić i że nic jej przed tym nie powstrzyma.

10 całkowicie ignorując starania Eileen, dzięki którym została przekształcona w czarującą pannę młodą, Celia zrzuciła z siebie wspaniały strój, nie poświęciwszy mu ani chwili uwagi.

Myślała tylko o tym, że musi odnaleźć Brendana, porozmawiać z nim, powiedzieć, że zjawą, którą widział, nie była sfabrykowana przez Celię Thomason. Wszyscy, tak samo jak i ona, byli zaskoczeni, kiedy się pojawiła.

Dlaczego pozwoliła mu odejść? Trzeba było ucześcić się jego ramienia i przytrzymać go. Nie powinna go była puścić.

Ale była tak okropnie oszołomiona wszystkimi wydarzeniami tego dziwnego dnia. Czowała się zagubiona i słaba. Nawet gdyby pomyślała o tym, żeby go zatrzymać, to nie miałyby na to dość siły.

Wyjęła z szafy czarną sukienkę z długimi rękawami, ozdobioną jedynie białą kryzą przy dekolcie i białymi mankietami. Była to zwykła, skromna suknia z grubej

i

Medium wełny — całkowicie różna od stroju z jasnej satyny, który jeszcze przed chwilą miała na sobie.

Poczuła się jak Kopciuszek, który powrócił już z balu.

Szybkimi ruchami wyszczotkowała włosy i upięła je z tyłu, usuwając pozostałości ślubnego wianka.

Ślub. Była teraz mężatką, Celią Thomason O’Neal.

Noc poślubna najwyraźniej już się odbyła poprzedniego wieczoru. Noc poślubna, której w ogóle nie pamiętała. A natychmiast po ceremonii ślubnej pan młody wołał w pośpiechu opuścić dom, niż spędzić jeszcze parę minut, nie mówiąc już o jeszcze jednej nocy, ze swoją żoną.

Nie był to chyba najszczęśliwszy moment w jej życiu.

— Celia O’Neal — powiedziała głośno. Brzmiało to dziwnie, jak cudze nazwisko.

Ale teraz nie miało to żadnego znaczenia.

Zrzuciła delikatne pantofelki, a jedwabne pończochy zamieniła na czarne, z grubej dzianiny, które zwykle nosiła. Włożyła też swoje buciki do kostek. Wydawało się jej, że wszystko, co ma na sobie, jest ciężkie i niewygodne.

Kopciuszek był znowu przy misce z popiołem.

Wyprostowała się. Czy wygląda inaczej niż ta Celia, którą знаła przez całe życie? Nie. Nie widziała żadnej różnicy. Jeszcze raz spojrzała na prostą, złotą obrączkę, którą miała na palcu i której pojawienie się tak ją zdziwiło podczas ceremonii ślubnej.

Dopiero teraz zorientowała się, że obrączka nie była nowa. Używana i wyrzucona przez

kogoś, może nawet przez kuzynkę tej niefortunnej panny młodej, która oddała swoją suknię ślubną do sklepu na Broadwayu. Doskonały

JUDITH O'BRIEN komplet, suknia ślubna z drugiej ręki i używana obrączka. Chciała ją zdjąć, żeby zobaczyć, czy jest coś wewnątrz wygrawerowane, ale powstrzymała się. Nie chciała widzieć żadnego romantycznego napisu, mówiącego o prawdziwej miłości i szczerzej namiętności. Nie chciała również zobaczyć żadnej, nic jej nie mówiącej, daty.

Nie. Postanowiła zostawić ją na palcu. Przynajmniej na jakiś czas.

Była już gotowa do wyjścia. Zeszła na dół, gdzie wszyscy raczyli się herbatą i tortem i udawali, że nie widzieli żadnego ducha.

— Celio, moja kochana. — Ciotka Prudence uśmiechnęła się na jej widok. Dopiero po chwili zorientowała się, że Celia ma zamiar wyjść. — Co robisz, na litość boską?

— Idę, bo chcę odnaleźć mojego męża — odpowiedziała, poprawiając swój czarny kapelusz.

— Nie. Nie wolno ci uganiać się za mężczyzną.

— Ale on jest moim mężem i...

— Szczególnie jeśli jest twoim mężem. Nie. Niech to on ciebie szuka. Mężczyźni uwielbiają polowanie. ‘

— Dziękuję ci za radę, ciociu. Teraz jednak wychodzę, idę poszukać powozu i znaleźć swojego męża.

— On ciebie sam znajdzie, moja droga. I wszystko będzie dobrze. Chodź, spróbuj tortu. Jest pyszny.

Celia patrzyła na ciotkę, na tę kruchą istotę, którą starała się za wszelką cenę osłaniać, nie śpiąc ze zmartwienia po nocach. Pomyślała, że zleją oceniała. Zapewne słodka ciotka Prudence była twardsza, niż na to wyglądała.

— Muszę odnaleźć Brendana.

Ciotka Prudence dała znak kucharce, żeby ukroiła

Medium kawałek tortu, po czym z niespotykaną u niej siłą wyciągnęła Celię do hallu.

— Musisz to przeczekać — powiedziała do niej. — A kiedy powróci, wtedy zrobisz wszystko, żeby wasze małżeństwo było udane.

Na twarzy ciotki nie było ani śladu uśmiechu. Celia była zdumiona. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała ją bez jej ujmującego uśmiechu. Teraz ciotka była śmiertelnie poważna.

— Wybacz, ciociu. Na pewno jesteś bardzo wyczerpana nerwowo. — Celia podejrzewała, że ciotka nadużyła również koniaku.

— Nie jestem wyczerpana nerwowo. Chcę ci tylko przemówić do rozumu. — Zamachała pulchną dłonią w powietrzu.

— Nie wiem, co powiedzieć — wyjąkała Celia. — Zaskoczyłaś mnie, ciociu Pru.

Ciotka mówiła wolno i spokojnie.

— Zgodziłam się, kiedy James nalegał, żebyśmy cię wzięli do domu po tym, jak twoi rodzice byli na tyle lekkomyślni, żeby się utopić. Wiedziałam, że nie stać nas na to — chciałam cię odesłać gdzie indziej. Ale James nie chciał cię oddać do domu dla podrzutek ani do sierocińca. Oczywiście miał rację, sąsiedzi okropnie by plotkowali. Więc trzymaliśmy cię tutaj — traktowaliśmy cię jak własną córkę, poświęcając na to każdy grosz, wszystko, co mój drogi James tak ciężko zdobywał. Ja nosiłam suknie sprzed dziesięciu lat, ale ty byłaś zawsze ubrana według najnowszej mody. A nauczyciele! Czy wiesz, ile nas kosztowało twoje wykształcenie? Twój wuj

JUDITH O'BRIEN

James wydał na ciebie majątek. Chciałam, żebyś wyszła za męża, żeby to małżeństwo wyzwoliło nas z tej niewygodnej sytuacji. Ale ty tego nie zrobiłaś. Potem umarł James. Teraz nadeszła twoja kolej, żeby ponieść jakąś ofiarę. Kiedy twój mąż powróci, zrobisz wszystko, co w twojej mocy, aby naprawić tę sytuację. Celii zabrakło tchu.

— Ja... — wyjąkała. — Ja nie wiedziałam, że byłam dla ciebie takim ciężarem.

— Teraz mogłabyś pomóc i zarobić pieniądze na utrzymanie domu. Ale nie. Kiedy pojawił się bogaty dzentelmen i nagle zaproponował ci małżeństwo, a w ko—/ lejce stoją klienci, którzy chcą płacić za seanse, ty postanowiłaś zakończyć karierę medium. Nie stać

nas na to. Musisz to wszystko naprawić. Zostaniesz z panem O’Nealem.

Ciotka Prudence zmrzyła oczy, wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się do Celi.

— No tak, moja droga. Rozumiemy się? Więc wróć do salonu, weź udział w naszej uroczystości. Mamy wiele powodów do świętowania, prawda, kochana Celio?

Celia nie mogła wydobyć z siebie głosu. Dźwięk rozmów i śmiechu dobiegał do niej z tak dobrze znanego jej salonu. Przed nią stała ciotka, z którą mieszkała od wielu lat. Nagle uświadomiła sobie, że zupełnie nie zna ani tego domu, ani ciotki.

Ciotka Pru przechyliła lekko głowę, był to gest, jakim wyrażała zakłopotanie. Uśmiechnęła się ponownie i weszła do salonu.

— Panna młoda za chwilę do nas dołączy — obwieściła. —

Medium

Pójdzie tylko na górę, żeby zdjąć kapelusz i pelerynę. Nareszcie będziemy mogli wypić jej zdrowie.

Celia cichutko zamknęła drzwi od salonu i na moment oparła czoło o framugę. Przelknęła ślinę i nie odwracając się, wyszła z domu przy Washington Square. Choć miała pustą portmonetkę, przysięgła sobie, że już nigdy tam nie powróci.

Nigdy.

JStała przed Astor House, patrząc na dwie kuliste latarnie, które oświetlały duży odcinek Broadwayu pomarańczowym blaskiem.

Koło niej przejeżdżały powozy, z których kilka zatrzymało się przed hotelem. Przeważnie wysiadały z nich piękne kobiety, troskliwie podtrzymywane przez swoich mężów.

Jak długo szła, zanim tu dotarła? Pewnie godzinami. Nie była już niczego pewna. Poza jedną rzeczą.

Chciała odnaleźć Brendana.

Wiedziała jednak, że musi postępować rozważnie, ponieważ już wystarczająco ośmieszyła się we własnych oczach. Kiedy szła tutaj, przechodnie oglądali się za nią na ulicy. Nie zwracała jednak na to uwagi, myśląc tylko o tym, że gdzieś w tym mieście był

Brendan, który miał o niej jak najgorsze wyobrażenie.

Chciała to wszystko wyjaśnić i dopiero potem zastanowić się, co ma dalej zrobić ze swoim życiem. Brendan źle o niej myślał, a to było najgorsze ze wszystkiego.

JUDITH O'BRIEN

Wzięła głęboki oddech i weszła na stopnie prowadzące do drzwi. Oddźwierny obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem, zresztą nie bez powodu. Było już ciemno, a nikt jej nie towarzyszył. Nie była również ubrana tak, jak przechadzające się w hallu kobiety. Poprzedniego wieczoru również nie była odpowiednio ubrana, ale była z Brendanem. Drzwi, które wczoraj szeroko się przed nią otwierały, dzisiaj zatrzaskiwano jej przed nosem.

Z wysoko podniesioną głową podeszła do długiego, marmurowego kontuaru. Recepcjonista spojrział na nią z zaciekawionym.

— Słucham, panienko.

— Dobry wieczór — powiedziała. — Chciałabym zobaczyć się z moim mężem, panem Brendanem O'Nealem.

— Przykro mi, ale pani mąż — recepcjonista podkreślił słowo mąż bez żadnej widocznej potrzeby — już wyprowadził się z hotelu.

— Ach, tak? No dobrze.

Recepcjonista powrócił do studiowania rejestru gości. Celia nadal stała przy kontuarze, zastanawiając się, co ma dalej zrobić.

— Tak, panienko? — mężczyzna przypatrywał się jej uważnie.

Zwrot „panienko” nie uszedł jej uwagi.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie udał się pan O'Neal.

— Do swojego domu, panienko.

— Swojego domu?

— Tak. Proszę mi wybaczyć, ale muszę wrócić do pracy. — Zagłębił się ponownie w grubej księdze.

Celia głośno odchrząknęła.

Medium ‘*,

Recepcjonista niechętnie uniósł głowę.

— Proszę pana — zaczęła. To powinno mu pochlebić, mógł mieć zaledwie dwadzieścia lat. — Do którego domu pojechał? Mamy tak wiele rezydencji, w mieście i poza miastem, że czasem tracę z nim kontakt. Czy do rezydencji poza miastem? Czy też do tego ślicznego domku, który mamy... hmm... na takiej czarującej uliczce w śródmieściu?

— Dostałem polecenie, aby nie ujawniać miejsca jego pobytu.

— Rozumiem. — Nagle coś ją olśniło. — Bardzo dobrze, mój drogi. Doskonała robota. Kiedy spotkam męża, powiem mu o tym. Mam jednak coś, czego on potrzebuje.

Nie było to zbyt przekonujące, ale stała z podniesioną głową, czekając na odpowiedź.

— Proszę tę rzecz zostawić, cokolwiek to jest. Wyślemy posłańca, żeby doręczył. Dobranoc, panienko.

Celia zarumieniła się z lekka, ale zaraz wpadła na inny pomysł.

— Czy mogłabym dostać pióro, atrament i papier? Recepcjonista wydawał się zdziwiony, że ona umie pisać.

— Po lewej stronie, obok oranżerii, jest biurko ze wszystkimi przyborami, panienko.

Skinęła mu głową jak prawdziwa dama i podeszła do biurka. Napisała tylko: „Brendan O’Neal, Astor House. Doręczyć natychmiast”.

Potem, starając się nie zwracać na siebie uwagi, wmieszała się w tłum gości. Przesuwając się od jednej grupy do drugiej, odeszła pospiesznie, kiedy jakiś mężczyzna

JUDITH O’BRIEN chciał się do niej odezwać. Przez cały czas obserwowała recepcję, czekając, aż odejdzie urzędujący tam młodzieniec.

Wreszcie oddalił się, a jego miejsce zajął inny recepcjonista.

Mogła teraz wykorzystać okazję.

Podeszła do kontuaru.

— Tak, panienko — odezwał się.

— Mam pilny list do pana Brendana O’Neala. Spojrzał na kopertę.

— Dziękuję — usłyszała.

— Chwileczkę! Gdzie on teraz jest?

— Zaraz wyślę z tym posłańca.

— Chciałam oddać mu to osobiście.

— Przykro mi, panienko. Mamy w tej sprawie wyraźne polecenia.

Nie pozostało jej nic innego jak wyjść i próbować znaleźć chłopca, który będzie niósł jej list, iść za nim i...

Stała we wnętrzu budynku, z dala od światła latarni.

Jestem szalona, pomyślała, rozcierając zziębnięte dłonie. Zapomniała zabrać rękawiczek, kiedy opuszczała w pośpiechu dom przy Washington Square. To był wariacki pomysł.

Chciała jednak podjąć tę próbę. Musiała go zobaczyć, tylko ten jeden raz. Miała nadzieję, że może uda jej się odnowić tę krótkotrwałą więź, jaka ich połączyła. Czuła, że coś ważnego zdarzyło się między nimi.

Co on do niej czuł? Może szacunek? Może lubił jej towarzystwo?

Chuchała w dłonie, żeby je trochę rozgrzać. Kilku posłańców przebiegło koło niej, ale żaden nie niósł listu do Brendana.

Medium k

Może to nie był szacunek, ale wyraźnie czuła, że coś się między nimi wydarzyło. Może to była przyjaźń, która mogłaby się przekształcić w coś więcej, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Tupała dla rozgrzewki, ponieważ miała stopy zdrętwiałe z zimna. Miała też na sobie cieniutką ślubną bieliznę i żałowała, że nie włożyła swoich bardziej...

— Idzie! — szepnęła.

Mały chłopak, ze skórzaną torbą przerzuconą przez ramię i listem w ręku, wybiegł z hotelu.

Szła za nim Broadwayem aż do miejsca, gdzie miał doręczyć paczkę. Czasem chłopak oglądał się do tyłu, a wtedy Celia usiłowała schować się gdzieś przed jego wzrokiem. Nie było to łatwe. Drzewa nie miały liści, a schody przeciwpożarowe nie stanowiły dobrej

kryjówki. Raz nawet kucnęła za korytem z zamarznąłą wodą.

Potem udali się na Jane Street, skręcili w Mott, dotarli do Charles Street, gdzie posłaniec doręczył kolejną przesyłkę.

Celia była już całkowicie zubożniała i przemarznięta, miała lodowate dłonie, czuła również, że za chwilę odmrozi sobie uszy, chociaż przykrywał je kapelusz.

Wreszcie znaleźli się na King Street.

To niemożliwe, żeby on tu mieszkał, pomyślała. Była to ulica skromnych pensjonatów, niewątpliwie porządných, ale nie spełniających wymogów człowieka, przyzwyczajonego do apartamentów w Astor House.

Zobaczyła, że chłopiec wręcza list korpulentnej kobiecie w szarej, jedwabnej sukni, która dokładnie obejrzała kopertę, popatrzyła na adres i zamknęła drzwi.

JUDITH O'BRIEN

To było tu. Brendan mieszkał w tym domu.

Celii nie obchodziło już, co ktoś mógł sobie o niej pomyśleć. Prowadzące do wejścia stopnie wydawały się piętrzyć w nieskończoność. Jej zmarznięte ręce nie mogły uchwycić kołatki, ale wreszcie udało jej się zastukać.

Drzwi otworzyły się i ukazała się ta sama tęga kobieta.

— Tak?

Celia usiłowała wyprostować się, ale nie starczyło jej siły.

— Brendan O'Neal — wychrypiąła. — Proszę.

— Moja panienko. W tym pensjonacie mieszkają tylko bardzo szacowni goście...

— Brendan! — krzyknęła Celia. — Brendan, proszę... Ale jej krzyk nie był wystarczająco głośny.

— Panienko, proszę natychmiast odejść, zanim będę zmuszona... i

— Brendan!

Celia zapomniała o swoim dobrym wychowaniu. Właścicielka pensjonatu patrzyła na nią jak na natręta.

— Coś podobnego. — Próbowała zamknąć drzwi.

— Proszę mnie wysłuchać. — Celia płakała.

Drzwi były już prawie zamknięte, szczelina, przez którą wpadało światło, robiła się coraz węższa, a za chwilę miała całkowicie zniknąć.

Nagle otworzyły się szeroko. Stał w nich Brendan.

— Proszę pana, ta dama jest bardzo natrętna. Spojrzał na Celię, po czym zwrócił się do gospodyni.

— Pani Harris, to nie jest żadna dama — powiedział. To jest moja żona.

— Panie O’Neal! — wykrzyknęła zdumiona gospodyni.

Medium

Wziął ją na ręce, chociaż nie wydawało się, żeby robił to zbyt chętnie.

Bije od niego tyle ciepła, pomyślała Celia i zamknęła oczy, kiedy niósł ją na górę.

— Pani Harris, poproszę o dodatkowe koce i butelkę z gorącą wodą.

— Tak. Zaraz. Coś takiego. Nigdy bym nie pomyślała mamrotała, dodając jeszcze jakieś spostrzeżenia o znakomitych gościach i swoim porządnym, szacownym domu.

Kiedy byli przy drzwiach pokoju, Brendan spojrział na Celię.

— Więc w taki sposób spędzasz swoją noc poślubną? powiedział. W jego głosie brzmiała wyraźna niechęć.

Na pewno mnie nienawidzi, pomyślała Celia. Tak napisał w liście i to dokładnie miał na myśli.

Spodziewała się, że zrzuci ją ze schodów, wyrzuci na dwór albo zamknie drzwi przed nosem. Drżała z zimna i wyczerpania.

Wtulona w jego ramiona, przymknęła oczy.

■*i*

11

vrłos dobiegał z dużej odległości, jakby—wychodził z tunelu.

— To już staje się regułą — powiedział.

Celia usiłowała otworzyć oczy, wydobyć się z zapaści. Wreszcie udało jej się unieść powieki.

Ale nic nie widziała. Otaczała ją całkowita ciemność.

— Ośleplam! — krzyknęła przerażona. Ogarnęła ją panika, nie czuła już wcale zmęczenia. — Och, mój Boże, jestem ślepa!

Wtedy ktoś zdjął jej kompres z oczu.

— Och — szepnęła, zażenowana.

Brendan odsunął się od łóżka. Odwrócony do niej plecami, wyglądał przez okno. Nie wiedziała, czy usiłuje powstrzymać złość, czy śmiech.

— Czy otrzymała pani mój list?

Nie było nic radosnego w jego głosie.

— Tak. Otrzymałam pana list.

— Czy nie dość wyraźnie napisałem, o co mi chodzi?

Medium

— Wystarczająco wyraźnie.

— To dlaczego jest pani tutaj? — Brendan odwrócił się w jej stronę. Celi zabrakło tchu. Jego postać, skąpana w porannym słońcu, nabrała jakichś nierzeczywistych rysów.

Dlaczego znajdowała się w tym pokoju?

Różne myśli przychodziły jej do głowy. Mogła powiedzieć, że zmusiła ją do tego przysięga małżeńska, że naprawdę chce spędzić z nim życie i być jego prawowitą żoną. Mogła również powiedzieć, że ciotka jej nie rozumie, że każdy czegoś od niej wymaga, a ona już nie ma na to siły.

A także to, że pomijając wszystko inne, po prostu nie chce być dłużej sama.

Mogła mu również powiedzieć prawdę: że sama nie wie, dlaczego tutaj jest. Była jakaś przyczyna, której nie potrafiła sobie wytłumaczyć, ale która kazała jej go odnaleźć.

— Powtarzam pytanie: dlaczego pani tu jest?

— Ciotka Prudence powiedziała mnóstwo okropnych rzeczy — zaczęła bezradnie, wiedząc, że to, co mówi, jest infantylne. — Mówiła, że przez całe życie byłam im wielkim ciężarem. Że muszę się odwdzięczyć za to, że wzięli mnie pod opiekę po śmierci rodziców.

Milczał przez chwilę. Wreszcie odezwał się głosem pozbawionym zainteresowania,

jakby mówił do kogoś obcego, kto zawraca mu głowę swoimi kłopotami.

— Przykro mi, że pani ciotka okazała się inną kobietą, niż pani oczekiwała. Będę jednak bardzo wdzięczny, jeśli zechce pani zaraz wrócić do swojego domu.

Celia gorączkowo usiłowała coś wymyślić, czymś go

JUDITH O'BRIEN zainteresować. Doszła jednak do wniosku, że w tym momencie nie należy mu tłumaczyć, że Amanda naprawdę tję się pojawiła.

* Zauważyła rozłożoną mapę na stoliku przy oknie.

— Czemu ma służyć ta mapa? Czy planuje pan podróż? Patrzył na nią przez chwilę roziskrzonymi oczyma.

Ubrany był w zwykłą białą koszulę, bez kołnierzyka, rozpiętą pod szyją. Widać było włosy na jego piersi. Skórzane szelki opasywały potężne ramiona. Nawet w ta— j kim stroju wyglądał wspaniale.

Szybko zwinął mapę. Celia zdołała tylko zauważyć, że był to plan Nowego Jorku.

— Czy wybiera się pan na poszukiwanie Garricka? spytała, siadając na łóżku. — Czy po to jest potrzebna ta mapa?

Z gniewnym wyrazem twarzy włożył mapę do skór— rżanej tuby.

— Teraz wyjdę z pokoju — powiedział. — Będzie pani mogła się ubrać. Potem zawołam powóz, który odwiezie j panią na Washington Square.

Skierował się do drzwi.

Nie! Nie mógł jej opuścić! Ale gdyby mu to powie— i działa, zaczęłyby nią pogardzać.

Musi coś zrobić, coś powiedzieć. Był już w drzwiach.

— Nie! — wyrzuciła z siebie. Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

— Nie?— Jego twarz wyrażała bezgraniczne zdumienie.

— Tak — powiedziała bardziej stanowczo. — Powiedziałam: nie.

V/ .,■,,

Medium

— 'Czy nie umiesz podjąć żadnej cholernej decyzji? —*■ Nie ma powodu, aby

przeklinać.

— Nie ma, niech to wszyscy diabli!

Celia udawała, że jest opanowana, chociaż serce jej waliło.

— Zadałam panu pytanie i spodziewam się normalnej odpowiedzi.

Gniewny wyraz nie opuszczał jego twarzy.

— Pytałam, czy ma pan zamiar odszukać Garricka. Czy chce pan to zrobić? — Celia spytała swobodnym tonem.

Odpowiedział jej ledwie zauważalnym skinieniem głowy.

— Proszę mnie wziąć ze sobą! Ja naprawdę mogę pomóc! Kiedy w gospodach usłyszą pana akcent, zobaczą pana strój, to zaraz każdy będzie chciał obdrzeć pana ze skóry.

— Zdaje się, że już mi się to przytrafiło — rzucił jej piorunujące spojrzenie.

Celia nie dała się wciągnąć w tę wymianę zdań, z której musiałaby wyjść pokonana. Trzymała się tematu, który dawał jej jakąś szansę.

— Mogłabym pomóc — powtórzyła. — Mogę się panu przydać.

— Wbrew temu, co pani sądzi, jestem wystarczająco bystrym człowiekiem, a nie głupcem.

— W żadnym wypadku tego nie sugerowałam. Ale mam tutaj swoje znajomości, znam wielu ludzi.

— To jest oczywiste. To są pani, jak by to nazwać? Pani... zawodowe powiązania.

7 — Medium

JUDITH O'BRIEN

— Również i to — przyznała. — Mamy też pewne zapiski w nus/.yih Zielonych Księgach i mogą być one przydatne przy ustalaniu miejsca pobytu Garricka. Księgi te są niebywałym zbiorem wszelkich wiadomości. Poza tym mam wprawę w zbieraniu informacji z najróżniejszych źródeł. Mogę być panu bardzo pomocna. Wybór należy do pana. Czy rzucać się na ślepo w wir poszukiwań, czy wziąć mnie za przewodnika.

— Kobietę, która przed chwilą myślała, że jest ślepa, bo miała kompres na oczach?

Miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu.

— Czy za te usługi trzeba będzie oddzielnie zapłacić? zapytał, wpatrując się w obrączkę na jej palcu.

Szybko schowała rękę pod kołdrę.

— Nie. Nie trzeba będzie nic płacić.

— No, tak — powiedział oschłym tonem. — Jest w tym trochę racji. Nie znam tego miasta. A im szybciej znajdziemy Garricka, tym prędyj będzie można położyć kres tej niemiłej sytuacji.

To oczywiście ona, Celia, była tą nieprzyjemną sytuacją. Jak bardzo ten człowiek musiał jej nie cierpieć.

— Dobrze. Dam pani dwie godziny na zabranie rzeczy z domu. Potem...

— Nie — powiedziała.

— Nie?

— Tak. Nie.

Zaczerpnął głęboko powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, ale Celia go uprzedziła.

— Wystarczy mi sukienka, w której tu przyszłam. Niczego więcej nie potrzebuję.

Medium

Brendan stał bez ruchu i wpatrywał się* W nią. —Gelia również znieruchomiała.

— A pani cenne Zielone Księgi? Czy nie będą potrzebne?

— Tak. Ma pan rację. Poślę wiadomość Patrykowi i on mi je dostarczy. —I dodała jeszcze, wbrew swojej woli: To nie ja wywołałam zjawę podczas ślubu. Nie mogłabym zrobić czegoś tak okrutnego.

Jeśli Brendan już wcześniej był zły, to teraz wpadł w prawdziwą furję.

— Jak pani śmie zaprzeczać temu?! Jest pani nie tylko oszustką, ale i kłamcą!

— Nie jestem! — Celia wyskoczyła z łóżka, była równie wściekła jak on. — Jak pan śmie, pan jest, pan jest, pan jest... —Zabrakło jej słów. Wszystkie najgorsze przezwiska wyleciały jej z głowy właśnie wtedy, kiedy najbardziej ich potrzebowała.

— Tak? — warknął.

— Jest pan okropny!

Skrzyżował ramiona i patrzył na nią z rozbawieniem.

— Nie zrobiłam tego. — Usiłowała się opanować. — Nie mogłam tego zrobić. Skąd miałam wiedzieć, że będziemy brać ślub? W jaki sposób mogłabym to zaaranżować? Byłam zbyt...

— Skacowana? — odpowiedział.

— Nie. Wyprowadzona z równowagi. Przysięgam, Brendan. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Nikomu.

Na jego twarzy ukazał się przelotny uśmiech. Jego spojrzenie powędrowało od jej ramion w dół, a potem jeszcze niżej.

JUDITH O'BRIEN

:Była tak podekscytowana, że nie zdawała sobie sprawy, że ma na sobie tylko cieniutką bieliznę i przezroczystą koszulkę.

— Czy to pani ciotka sfabrykowała zjawę mojej siostry? Zaskoczył ją tym pytaniem.

Czyżby ciotce Prudence udało się spreparować tak realistyczną zjawę? Jeszcze wczoraj nie uwierzyłyby w to. Ciotka Prudence? Kobieta, którą znała, kochała i nawet starała się chronić przez całe swoje życie.

Teraz, po tym, co się wydarzyło, okazało się, że w ogóle jej nie zna i nawet nie ma pojęcia, co jej chodzi po głowie.

Wyraz zmieszania na twarzy Celi wystarczył mu za odpowiedź.

— Dziękuję — powiedział łagodnie.

— Za co?

— Za odpowiedź na moje pytanie.

— Nie. To tylko...

— Za dziesięć minut musimy być gotowi. Zjemy śniadanie na dole. Powiem pani Harris, żeby położyła dodatkowe nakrycie. Powiem też, żeby przynieśli wodę do pokoju.

Tylko tyle powiedział. Nie wspomniał, gdzie pojedą i w jaki sposób będą się przemieszczać.

Nic na temat tego, że są mężem i żoną. Nie wspomniał również, co będzie, kiedy już

odnajdą Garricka.

W szyscy w gospodzie zwrócili uwagę na tego bladego mężczyznę.

Tajemniczy przybysz, skulony nad kuflem piwa, podskakiwał za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi.

Medium

A gdy ktoś starał się wciągnąć go do rozmowy, jak to bywa w gospodzie w małym miasteczku, odpowiadał nieprzytomnym spojrzeniem.

Początkowo myśleli, że nie zna angielskiego, nie miał jednak żadnych kłopotów przy zamawianiu piwa. Może umiał tylko zamawiać napitki? Zwrócili też uwagę na jego białe, wypielęgnowane dłonie. Nie były to ręce robotnika ani farmera, nawet nie urzędnika. To były ręce dżentelmena.

Tym większe wzbudzał zainteresowanie.

Przybysz wyciągał czasami zwitek pergaminu i odczytywał go, przecierając zmęczone oczy. Po czym zwijał go uważnie i chował do kieszeni kamizelki.

Już tyle razy to czytał. Wciąż te same słowa. Na to właśnie wyraził zgodę, zanim sprawy przybrały inny obrót. Zanim te słowa powróciły do niego, aby go prześladować.

Kochał Amandę. Nadal ją kochał. Wszystko, co zrobił, chociaż mogło wydawać się inaczej, zrobił dla Amandy, wyłącznie dla niej.

Niełatwo było ją zadowolić. Pewnie podjął zbyt ryzykowne kroki, jak to teraz oceniał. Robił to jednak dla Amandy.

I dla Brendana O'Neala. Chciał okazać się godny zaufania szwagra, a jego jeszcze trudniej było zadowolić niż Amandę.

Chciał zyskać szacunek Amandy i Brendana O'Nealów. Miał nadzieję, że Amanda uzna jego postępowanie za wyczyn godny najwyższej pochwały. Może nawet zakochałaby się w nim, tak jak on szaleńczo się w niej zakochał.

JJ/DITH O'BRIEN

A dla Brendana, na którym chciał zrobić dofróważenie, oznaczałoby to pokazny zysk:

Ale wszystko poszło w złym kierunku.

A teraz, przez Celię Thomason, wszystko jeszcze bardziej się skomplikowało. Zjawa Amandy, zapach jej perfum... wszystko to wprowadziło go w takie oszołomienie, że zachował się jak głupiec, zupełnie nie po męsku. A tego właśnie najbardziej się wstydził.

Teraz, kiedy znajdował się daleko od domu przy Washington Square, łatwiej było mu uznać pannę Thomason za oszustkę. Bardzo sprytną oszustkę. Była niezwykle przekonująca, udając zaskoczenie na widok rezultatu swoich podłych zabiegów. Musiał przyznać, że ta sztuczka była doskonała.

Im więcej o tym rozmyślał, tym bardziej nabierał przekonania, że został umyślnie wprowadzony w błąd. Zjawa wydawała się rzeczywista, ale ona miała wiele sposobów, aby to sfingować. Może zrobiła to za pomocą latarni magicznej albo jakiegoś dobrego portretu.

Złudzenie to można było wywołać najróżniejszymi metodami. Mógł to być nawet najprostszy chwyt — pokazali mu jakąś młodą kobietę, a on zobaczył tę, którą spodziewał się ujrzeć.

Nie miał nic do ukrycia.

Musiał to sobie zapamiętać. To nie Amanda ukazała się w salonie. Nie przyszła w odwiedziny w sześć miesięcy po swojej przedwczesnej śmierci. A więc nikt o niczym nie wiedział. Nikt nie mógł udzielić żadnej informacji Brendanowi ani pannie Thomason. Ani nikomu innemu.

Medium

Tak było. Teraz poczuł się o wiele lepiej. Uwielbiał Amandę i nie miał nic do ukrycia.

Postanowił wrócić do miasta. Stanąc przed Brendanem i Amandą twarzą w twarz.

Przed Brendanem i Celią, poprawił się, może teraz pozwolić sobie na konfrontację z Celią.

Śmierć Amandy to był zwykły nieszczęśliwy wypadek. Taki zapadł wyrok, a co ważniejsze, taki był również werdykt opinii publicznej.

Tak. Zaraz stąd wyjedzie, wróci i stanie przed nimi wszystkimi twarzą w twarz.

Nie miał nic do ukrycia.

\

■' 12 .,♦.,'«■

«<s

Jftrendan wszedł do pokoju, trzymając w ręku małą walizkę i kapelusz.

— Powóz czeka. Czy jest pani gotowa do podróży?

— Jestem — westchnęła. — Gdzie jedziemy?

— Myślałem, że to pani coś zaproponuje. — Miał zamiar usiąść na brzegu łóżka, ale po chwili wahania przyciągnął ciężkie krzesło spod okna.

Było to wyjątkowo niewygodne krzesło.

— Jak pan myśli, gdzie Garrick mógł pojechać?

— Kiedy byliśmy młodszy, Garrick często odwiedzał gospodę w małym miasteczku, Tudberry. Nazywała się chyba Swan's Back. Szukał tam pociechy, ile razy miał jakieś życiowe kłopoty.

— Jeśli pan uważa, że Garrick jest w gospodzie, będziemy mieć trudności ze znalezieniem go. W tym mieście są setki takich lokali. Nie damy rady wszystkich sprawdzić.

— Tak. Ale proszę pomyśleć, jaką będziemy mieli zabawę, próbując tego dokonać.

—*Medium*

— Słucham?— Podparła się na łokciu i spojrzała na niego.

— Nie wiem, czemu to powiedziałem. — Na jego twarzy nie było uśmiechu. — Niezbyt dobrze się czuję.

Celia odruchowo przesunęła się na drugą stronę wielkiego łoża, a on wyciągnął się na łożku obok niej. Ubrani, leżeli na zasłanym łożku.

— Nie jestem sobą od pewnego czasu — powiedział, patrząc w sufit. Skrzyżował ramiona i odetchnął głęboko.

— Miał pan wiele przejść. Stracił pan ojca, a potem siostrę, w tak okropny sposób. Teraz znowu zniknął Garnek. Nic dziwnego, że jest pan wyprowadzony z równowagi.

— Może. Ale nie mam prawa pani dręczyć.

— Nie dręczy mnie pan — powiedziała cicho.

— Tak. Dręczę. Zachowywałem się potwornie od chwili, kiedy panią zobaczyłem. W przeszłości nie zawsze byłem, powiedzmy sobie, szlachetny. Byłem jednak uczciwy i przyzwoity. Ale pani wyzwala we mnie najgorsze instynkty. — Zwrócił głowę w jej stronę. Celia też odwróciła się do niego. — Nie byłem uczciwy w stosunku do pani.

Zrobiło jej się słabo, ale nie dała tego po sobie poznać.

— W jaki sposób?

— Jeśli chodzi o noc w Astor House. Jeśli chodzi o...

— Proszę. — Czuła, że się czerwieni. — Proszę nie mówić dalej. Nie chcę nic więcej słyszeć o tamtej nocy.

— Nie, proszę. Ja muszę powiedzieć.

— Litości — szepnęła. — No dobrze, jeśli pan musi. Jakie to będzie krępujące, pomyślała, przypominanie tej upokarzającej sytuacji.

JUDITH O'BWEN

— Nic się nie wydarzyło— powiedział, spokojnie. Mogę tylko prosić o wybaczenie i...

Gwałtownie podniosła się na łóżku. /

— Co?

— Nic się nie wydarzyło.

— Niemożliwe.

— To prawda. .— .—

— Nie podarł mi pan nocnej koszuli?

— Nie. Przydeptała ją pani w tańcu, potem wpadła pani na słupek łóżka i przewróciła się na podłogę. Mówiła pani, że to jest taki układ taneczny.

— Ja tańczyłam? Ale ja przecież nie umiem tańczyć jestem beznadziejną tancerką!

— Wiem o tym.

— Ja sama podarłam koszulę? Skinął potakująco głową. Opadła z powrotem na poduszkę

— Nic się nie wydarzyło?

— Pokojówka położyła panią do łóżka. Ja spałem w salonie. Zobaczyłem panią dopiero następnego ranka.

— Więc dlaczego tak dziwnie się czuję? — Nie chciała rozwijać tego tematu, ale miała niezbitą pewność, że zaszły w niej jakieś głębokie zmiany.

Czuła się teraz prawdziwą kobietą. Ale to uczucie okazało się złudą. Nie była kobietą, której wdzięki uwiodły światowego mężczyznę, a jej urok doprowadził go do szaleństwa.

Była tylko nieudolną tancerką, oszołomioną po wypiciu dwóch kieliszków szampana, które dosłownie zwały ją z nóg.

Medium

Wyobrażała sobie, że połączyła ich jakaś magiczna więź. Co gorsza, zrobiła z siebie jeszcze większą idiotkę, idąc w ślad za nim aż do tego pensjonatu, podążając za nim jak wystraszony pies.

To było żałosne.

— Celio, ty płaczesz? — spytał czułym tonem.

— Nie — rzuciła gwałtownie, odsuwając jego rękę, kiedy chciał ją pogłaskać po policzku. — Dlaczego pozwolił mi pan wierzyć, że coś się między nami wydarzyło? — Starła się mówić spokojnym tonem.

— Nie wiem.

— Czy dla zwykłej igraszki? Czy zabawnie było patrzeć na moje upokorzenie?

— Nie, oczywiście, że nie!

— Więc jaki mógł mieć pan powód? Jaki powód, aby sfabrykować tak podłe kłamstwo?

Czuła, że musi natychmiast wyjść z tego pokoju, musi uciec. Chciała wstać i już dotykała stopami podłogi, ale Brendan przewrócił ją z powrotem na łóżko. Leżała na plecach, a on przyciskał ją całym swoim ciężarem.

— Nie wiem! — krzyczał. — Nie wiem, dlaczego cię oszukałem.

Usiłowała się wyrwać, jego twarz znajdowała się tuż przy jej twarzy, a oczy... pałały namiętnością.

— Puść mnie. — Celia walczyła, aby zrzucić z siebie ten ciężar, który ją przygniatał.

Nigdy jeszcze nie doświadczyła tak bliskiego fizycznego kontaktu z innym człowiekiem. Chociaż robiła wszystko, aby się wyzwolić, nie mogła uwolnić nóg, zaplątanych w tiulowe halki.

JUDTTH O'BWEN

Brendan patrzył jej w oczy i widział w nich dziki gniew i ból, którego sam był przyczyną. Oddychał coraz szybciej.

Jego twarz zbliżała się do jej twarzy. Zniemacka przycisnął wargi do jej ust.

Kiedy poczuła jego język, zaczęła walczyć jeszcze mocniej, broniąc się przed tym śmiałym atakiem.

Ale jego wargi nadal znajdowały się na jej ustach, potem przesunęły się na policzek, ucho i szyję. Nigdy przedtem Celia nie doznała takich uczuć.

Jej opór wyraźnie malał, a ciałem wstrząsały dreszcze*

— Co ty... — wyszeptała.

Zamknęła oczy. Rozluźniła dłonie, zaciśnięte do tej pory w pięści. Czowała tego mężczyznę tak blisko siebie, czowała jego zapach. Już go nie odpychała, ale wyraźnie przyciągała do siebie, żeby był jak najbliżej.

— Celio! — Po raz pierwszy w życiu ktoś wymówił jej imię w ten sposób.

Zsunęła z jego ramion wełnianą marynarkę, która ocierała się o jej policzek. Pozostał w białej lnianej koszuli i jedwabnym krawacie.

Rozwiązała mu krawat i zaczęła odpinać guziki koszuli.

Chciała poczuć pod palcami jego skórę. Nie mogła się już tego doczekać. Czowała jego ręce na swoich plecach, gdy Brendan starał się rozluźnić jej suknię. To trwało o wiele za długo i Celia była coraz bardziej zniecierpliwiona. Wtedy poczuła, że rozerwał suknię jednym ruchem ręki.

Nareszcie jej piersi mogły dotykać jego nagiej skóry. Zarzuciła mu ręce na szyję, całowała jego ramiona.

— Celio, ja... — zaczął.

Medium

— Brendan, proszę. Pragnę ciebie. Żawłże cię pragnęłam. Dotykaj mnie. Kochaj mnie. Delikatnie pocałował ją w usta.

Zamknęła oczy, poddając się tym nowym, zmysłowym doznaniom. Głośno westchnęła. Kiedy poczuła, że kładzie się na niej, przeciągnęła się z rozkoszą. Słyszała, jak szepce jej imię, czuła jego gorący oddech i przyspieszone bicie serca.

Otwierał się przed nią nowy świat doznań, zagarniał ją całą. Teraz oboje byli nadzy. Ocierała się o niego, ■ wchłaniała w siebie i doznawała coraz silniejszej rozkoszy. Pocałował ją namiętnie, delikatnie rozsunął jej nogi i pytająco spojrział w oczy.

— Jesteś pewna?

Nie mogąc wydobyć głosu, skinęła tylko głową. Zagryzła wargi, kiedy poczuła, że przeszedł ją nagły ból. Brendan poruszał się wolno, aby nie sprawiać jej cierpienia. Cały czas nie odrywał od niej oczu.

Potem zaczął wykonywać szybsze i bardziej zdecydowane ruchy. Celię zalewały fale rozkoszy. Wtuliła głowę w jego ramię. Słyszała, jak stale powtarza jej imię. Nagle znieruchomiał, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Wyczerpany, opadł na łóżko.

Leżeli spokojnie, chociaż serca były im mocno. Opierał głowę na jej ramieniu.

Po chwili Celia szepnęła.

— O czym chciałeś mi powiedzieć?

Zaczął się śmiać, aż zatrzęsły się jego szerokie ramiona. Ale kiedy się odezwał, jego głos był poważny.

JUDITH O'BRIEN

— Chciałem ci powiedzieć, że kłamałem z bardzo prostej przyczyny.

Odchyliła głowę i rzuciła mu pytające spjrzenie. Delikatnie odgarnął jej włosy z czoła i przesunął palcem po policzku.

— Mówiłem tak, ponieważ bardzo chciałem, żeby to okazało się prawdą. %— *x': i ani Harris?

Brendan zastukał do drzwi i wszedł do salonu gospodyni.

Siedziała na kanapie. Powitała go miłym uśmiechem.

— Panie O’Neal, pana powóz czeka już przeszło godzinę.

Zauważyła, że jest inaczej ubrany, niż kiedy widziała go przy śniadaniu. To jest naprawdę elegancki mężczyzna, pomyślała. Tylko Europejczycy są tak kulturalni, że przebierają się do posiłków.

— Ach, tak. — Uśmiechnął się. Rzeczywiście był niezwykle czarujący! Pani Harris przechyliła kokieteryjnie głowę. — Chyba dzisiaj nigdzie nie wyruszymy — powiedział. — Pani O’Neal będzie musiała sprawić sobie nowe suknie.

— Więc tak?! — wykrzyknęła gospodyni, przypuszczając, że młoda pani O’Neal jest w poważnym stanie. — To się zawsze przydarza nagle. — Chciała również dodać, że kiedy spodziewała się swojego pierwszego dziecka, musiała zmieniać garderobę co trzy miesiące. Ale ponieważ jej kochany Bertram miał już dwadzieścia dziewięć lat, wolała nie poruszać tego tematu.

■ *Medium*

■■■!—■’—— Czy to jej pierwszy raz? — spytała z Uśmiechem. — Pan O’Neal był wyraźnie zaskoczony.

— Słucham?

— Pytałam, czy to pierwszy raz małżonki? — Ci mężczyźni, pomyślała pani Harris. Czasami nic do nich nie dociera.

— No, tak — wyjąkał. — Ja... więc tak.

— A jak się teraz czuje?

— Ja... no. Teraz wydaje się... — Wyprostował się nagle. — Ja... chciałem spytać, czy może tu przyjść jakaś krawcowa?

■■■’■■■— Oczywiście. Na naszej ulicy mieszka niejaka madame LaFarge. Właściwie nazywa się Betty Sinclair, ale madame LaFarge przyciąga więcej osób. Może pan również spróbować na Broadwayu. Wydaje mi się, że Stewarts ma krawcowe, które chodzą do klientek.

— To dobrze. Dziękuję pani, pani Harris. Zachichotała nagle, kiedy już miał wychodzić.

— Chwileczkę, panie O’Neal— powiedziała. Myślała teraz o Josephie, swoim drugim synu, który mieszkał w Bostonie. — Proszę powiedzieć pani O’Neal, że za drugim razem będzie o wiele lepiej. Ja sama mój drugi raz uważałam prawie za przyjemność...

— Dziękuję! Do widzenia!

To bardzo dziwne. Pani Harris popatrzyła na zatrzaśnięte drzwi. W jakim pośpiechu ten człowiek wypadł z pokoju! Nigdy by nie pomyślała, że jest taki nerwowy.

— Ci Europejczycy... — westchnęła.

Brendan O’Neal zatrzymał się po drugiej stronie drzwi i potrzęsął głową. Jacy ci ludzie są bezczelni! Rzucił

JUDITH O’BrIEN okiem na swój pokój na piętrze, gdzie Celia dzielffi© usiłowała zeszyć swoją suknię, i potrzęsął głową. , — Ci Amerykanie... — mruknął i wyszedł na ulicę.

Łz swojego punktu obserwacyjnego po drugiej stronie ulicy widział, jak Brendan wychodził z pensjonatu.

Dlaczego zrezygnował z apartamentu w Astor House i zamieszkał w pensjonacie? Nie rozumiał tego.

Nic już nie było jasne i oczywiste. Ani postępowanie O’Neala, ani śmierć Amandy.

A teraz Brendan ożenił się z Celią Thomason. Panna Thomason była teraz panią O’Neal.

Ta myśl doprowadzała go do szaleństwa.

Powinien to był przewidzieć i do tego nie dopuścić. ?

Celia O’Neal.

Najpierw była Amanda, a potem nagle Celia.

To uczucie zaatakowało go znienacka. Tak samo było z Amandą. Kiedy to się zaczęło?

Miał jej obraz przed oczami. „Panna Thomason” dla wszystkich, którzy przekraczali próg jej domu, ale dla niego po prostu Celia. Jego Celia.

Wiedział, że nie będzie szczęśliwa z Brendanem O’Nealem. Ona jest drobną i delikatną dziewczyną, a on potężnym irlandzkim gburem.

Jeszcze będzie mu wdzięczna.

Amanda też byłaby mu wdzięczna, gdyby ten wypadek nie pokrzyżował mu planów. Tak. Uśmiechnął się. Już niedługo Celia będzie mu dziękować.

Medium

Och, dziękuję — powiedziała Celia do dziewczyny, która przyniosła jej koszyczek z szyciem. Służąca obrzuciła Celię ciekawym spojrzeniem. Widziała przecież Celię w tej ciemnej sukience, którą teraz tak pieczołowicie zszywała. Sukienka była cała w strzępach.

Celia zaczerwieniła się, ale też uśmiechnęła się lekko. Jakie to dziwne, że cały jej świat zmienił się w przeciągu kilku godzin. A właściwie w przeciągu kilku minut.

Co ją jeszcze czeka? Co ich czeka? Czy teraz będą już prawdziwym małżeństwem?

A może on wciąż chce jej się pozbyć? Zapłacić jej i porzucić?

Nawlekając igłę, oglądała podarty materiał, poszarpane szwy. Podniosła sukienkę do góry i stwierdziła, że niewiele da się z nią zrobić. Postanowiła jednak spróbować.

Szyła, pogrążona w myślach. Wspominała ciotkę Prudence, zastanawiała się, co dzieje się teraz w domu. Myślała również o trzech mężczyznach, którzy mieli się tam wkrótce pojawić, aby odebrać dług wuja Jamesa. I te tłumy, które się tam wczoraj zgromadziły, żeby się z nią spotkać, ci smutni ludzie, którzy chcieli porozmawiać ze swoimi utraconymi bliskimi.

Po chwili poczuła znajomą woń.

To był już dobrze znany zapach, aromat perfum Amandy.

Celia powoli uniosła głowę. Amanda stała blisko niej.

— Witaj — powiedziała Celia cichym głosem.

Tak jak przedtem, kształty Amandy powoli stawały się coraz wyraźniejsze. I tak jak poprzednio, jej oczy błyszczały. Ale tym razem miały inny wyraz.

JUDITH O'BRIEN

Celia zobaczyła w nich czułość.

Odruchowo uśmiechnęła się do tej młodej kobiety, która byłaby jej szwagierką.

Patrząc na stojącą przed nią zjawę, Celia uświadomiła sobie nagle, że gdyby nie

tragiczna śmierć Amandy, to nigdy by nie spotkała Brendana O'Neala. Nie przyszedłby do domu jej ciotki, aby szukać pomocy.

Obecne szczęście Celi było nierozzerwalnie związane ze śmiercią siostry Brendana.

— Och, Amando. Tak mi przykro.

Wtedy wydarzyła się rzecz niezwykła. Amanda szczerze uśmiechnęła się do niej. Był to bardzo serdeczny uśmiech, tkliwy i pełen zrozumienia. Celia zastanowiła się przez chwilę, dlaczego nikt jej nie powiedział, jaką niezwykłą osobą była Amanda.

Może sami o tym nie wiedzieli. Nawet Brendan, dla którego była zawsze tylko małą siostrzyczką, z którą niewiele miał do czynienia, i dlatego nie zdawał sobie sprawy, na jaką niezwykłą kobietę wyrosła ta dziewczynka.

Amanda lekko potrząsnęła głową, jakby chciała zaprzeczyć. Uśmiech nie schodził jej z twarzy.

Nagle zasępiła się.

— Co się stało? — spytała Celia.

Amanda już się nie uśmiechała. Otworzyła szeroko oczy, a jej palec wskazywał na okno.

— Czy coś jest na zewnątrz?

Pytanie Celi zawisło w powietrzu. Biały palec zjawy nadal zwrócony był w kierunku okna. Wreszcie, kiedy słowa Celi dotarły do niej, zaczęła potakująco kiwać głową.

Medium

— Czy to ktoś, kogo znam? Amanda coraz szybciej kiwała głową.

— Ktoś, kogo ty znałaś, Amando?

Tak, tak, mówił wyraz jej twarzy, a Celi wydawało się, że słyszy słowa wypowiedane śpiewnym akcentem, bardziej wyraźnym niż akcent Brendana.

Ale wargi Amandy nie poruszały się.

On jest na ulicy! Wyjrzyj, Celio, wyjrzyj zarazi

Celia zerwała się z miejsca, zrzucając koszyczek z szyciem na podłogę i podbiegła do okna.

Zobaczyła tylko jakąś uciekającą sylwetkę. Nie dało się nikogo rozpoznać, był to

jedynie cień mężczyzny w zwykłej marynarce i czapce na głowie. Celia nie mogła dostrzec, jakiego był wzrostu, czy był wysoki, czy niski, jedyne, co widziała, to kontur postaci biegnącej po bruku i ginącej w zaułku.

Odwróciła się do Amandy, której sylwetka stawała się coraz mniej wyraźna.

— Proszę, zaczekaj — Celia zbliżyła się do niej. — Nie opuszczaj mnie. Proszę cię, powiedz mi coś więcej...

Strzeż się, Celio. Uważaj na Brendana, uważaj na siebie, żeby was nie spotkała ta sama krzywda co mnie.

Słowa te nie zostały wypowiedziane, ale Celia bardzo dobrze je zrozumiała.

— Co mogę zrobić? Nie wiem, kogo mam się strzec. Proszę cię, daj mi więcej informacji.

Nie oddalaj się od Brendana. Nie pozwól mu odejść. Zagraża wam niebezpieczeństwo. Będzie...

Głos rozpląnął się w oddali, zniknęła również sylwetka Amandy.

JUDITH O'BRIEN

— Wróć! — krzyknęła Celia. — Proszę cię; wróć! Ktoś zapukał nieśmiało do drzwi.

Weszła służąca, ta sama, która przyniosła Celi koszyczek z szyciem.

— Czy pani mnie wzywała? — Robiła wrażenie zdenerwowanej, błędziła niespokojnym wzrokiem po pokoju.

— Nie, nie. Dziękuję. Niczego nie potrzebuję. Służąca jeszcze raz rozejrzała się po pokoju.

— Dobrze, proszę pani. Gdyby pani mnie potrzebowała, to proszę zawołać.

— Dziękuję.

Celia zamknęła za nią drzwi. W głowie jej się kręciło. Nie mogła nic zrobić, musiała tu zostać w swojej podartej sukience i czekać na powrót Brendana.

Mała nadzieję, że powróci cały i zdrowy.

%'H.

13 l\iedy po raz pierwszy szedł na zebranie, zupełnie nie wiedział, czego ma się

spodziewać.

Był bardzo zdenerwowany. Nieufny. Wiedział, że jest w obcym kraju, otoczony nieznanymi ludźmi, którzy mieli swój jasny cel.

Tego wieczoru zebranie miało się odbyć w starej stodole. Za każdym razem miejsce zbiórki było inne, a informacje przekazywano sobie potajemnie w gospodach, na ulicy, w porcie, a czasem, w niedzielne poranki, po nabożeństwie.

Czuł się niezręcznie w tej sytuacji, jakby został wyrzucony poza nawias wielkiej zmywy, o której nic nie wiedział. Tak to wyglądało — była to wielka, sekretna zмова.

Potem słuchał przemówień.

Pierwszy mówca początkowo nie zrobił na nim wrażenia. Rozwodził się nieudolnie na temat programu pomocy głodującym. Mówił, że każdy człowiek powinien

JUDITH O'BRIEN mieć możliwość utrzymania swojej rodziny. Wymienił kilka nazw miejscowości, nieznanych i bardzo dalekich. Człowiekowi będącemu obecnie w tak dobrej sytuacji materialnej, jaka stała się jego udziałem, trudno było wyobrazić sobie cudzą, odległą o tak wiele mil, niedolę. Postanowił wyjść, nie czekając, aż podejda do niego z kapeluszem, do którego wrzucano datki.

Po chwili mówca ożywił się, ogarnięty zapałem opowiadał o wolności, o niezależności. Gdzie indziej, jak nie w Ameryce, kolebce tak wielkiego narodu, mogliby się zebrać ludzie i zastanawiać się, jak wyzwolić inny naród?

To go poruszyło. Do tej pory jego życie przebiegało według ustalonej rutyny, decydowały o nim zewnętrzne uwarunkowania. Teraz usłyszał, że mógłby stać się częścią czegoś wielkiego — mógłby stać się częścią historii! To go zafascynowało. Nie potrafił już odejść.

To było zupełnie coś innego, niż sobie wyobrażał. Ta sprawa była niebezpieczna, wymagająca odwagi — to była prawdziwa przygoda. A on miał być z tym związany. Nawet miał się stać siłą sprawczą tego przedsięwzięcia, wielkim romantycznym bohaterem, jak Robert Emmett. Mógł nawet przejść do legendy.

Wszyscy mówcy podkreślali, że potrzebne będą wielkie sumy pieniędzy. Nie tylko na

nakarmienie głodujących, ale również na uzbrojenie rewolucjonistów, ponieważ żadnej wielkiej bitwy nie wygrano jeszcze za pomocą pięści, jak podkreślił jeden z nich.

On chciał to uczynić.

Wiedział już, że to nie było legalne. Jeden z mówców, ten który miał tak porywający głos, zauważył, że rewolucja

Medium amerykańska również nie była legalnym przedsięwzięciem.

Możliwe, że jego nazwisko znajdzie kiedyś swoje miejsce w historii Irlandii i będzie na świecie tak samo cenione jak nazwisko George'a Washingtona i Paula Revere! To było niewykluczone, a gdyby naprawdę się w to zaangażował — gdyby mógł dać im wszystkie pieniądze, jakie uda mu się zdobyć — to było bardzo prawdopodobne.

Wreszcie miał jakiś cel.

Jednego był pewien. To zebranie całkowicie odmieniło jego życie.

JYiedy Brendan szedł do Astor House, musiał się siłą powstrzymywać, żeby nie zacząć gwizdać. Nigdy przedtem nie gwizdał na ulicy i ten zwyczaj bardzo go denerwował. Zawsze miał ochotę, aby w mniej lub bardziej cywilizowany sposób, uciszyć takiego pogwizdującego wesołka.

A teraz pragnął zrobić to samo.

Uśmiechnął się na samą myśl o tym. Rzadko mu się to zdarzało, ale w tej chwili miał tak miły uśmiech na twarzy, że przechodnie odwzajemniali go po przyjacielsku.

Ameryka jest wspaniałym krajem, pomyślał, wymieniając ukłon z kolejnym przechodniem.

Pretensjonalny luksus Astor House raczej bawił go, niż irytował. Tę pompatyczną oprawę, z portierami w liberii, którzy mieli za zadanie nie wpuszczać do środka

zwykłych obywateli tego demokratycznego państwa* traktował jak zabawną groteskę.

— Panie O'Neal — powitał go jeden z odźwiernych. Brendan uśmiechnął się do niego, co sprawiło młodego człowieka w prawdziwe zdumienie.

Obłudny recepcjonista złożył Brendanowi uniżony ukłon. |

— Jest dla pana kilka przesyłek, sir.

— Dziękuję. — Ledwie rzucił okiem na koperty, zanim włożył je do kieszeni. — Chciałbym dowiedzieć się o dobrą krawcową.

— Panu chodzi o krawca, sir?

— Nie, o krawcową.

— Proszę mi wybaczyć, ale co z tą młodą kobietą, którą pan ostatnio zatrudnił?

— Młodą kobietą? Ja sobie nie... — Nagle wszystko zrozumiał. Wiedział już, w jaki sposób Celia odnalazła jego pensjonat poprzedniego wieczoru, kiedy zjawiała się razem z chłopcem na posyłki. Było jasne, że go śledziła.

Roześmiał się głośno, gdy wyobraził sobie, jak się za nim skradała.

Ogarnęło go dziwne, nieznane mu przedtem uczucie. Zapragnął natychmiast zobaczyć Celię. Jak najszybciej. Chciał jej powiedzieć, że wie już, co zrobiła i jakiego użyła podstępu.

Odszedł od kontuaru recepcjonisty, który już nie po raz pierwszy pogrążył się w zadumie nad faktem, jak bardzo bogacze różnią się od wszystkich innych ludzi.

Medium

V[^]elia podjęła nagłą decyzję.

Jeśli się pospieszy i szybko zbiegnie na dół, może uda się jej zidentyfikować mężczyznę, którego posądzała o zamordowanie Amandy. Mógł jeszcze być w pobliżu i zajmować się nadal obserwacją domu. Istniała taka możliwość.

Chciała jak najszybciej znaleźć się na ulicy, nie miała czasu na rozważania.

Uchyliła drzwi.

— Czy jest tam ktoś?! — zawołała niezbyt głośno. Nie było odpowiedzi. — Czy jest tam ktoś?! — powtórzyła trochę donośniej szym tonem.

Na podeście schodów ukazała się służąca. Patrzyła na Celię, poprawiając swój koronkowy czepeczek.

— Słucham panią?

— Czy mogłabyś przyjść do mnie?

— Tak, proszę pani. Przyjdę, jak tylko skończę sprzątać pokój pułkownika.

— Nie, nie, proszę cię, przyjdź zaraz. To bardzo pilne. Zdumiona służąca po chwili wbiegła na górę.

— Tak, proszę pani? — zapytała.

Celia otworzyła szerzej drzwi i wpuściła ją do pokoju.

— To może ci się wydać dziwne — powiedziała — ale czy nie masz tutaj zapasowego ubrania?

— Słucham panią?

— Wiem, że to jest niezwykle żądanie, ale widzisz, moja suknia nie nadaje się do włożenia, a ja muszę wyjść na chwilę.

— Proszę pani, mam jedynie tę sukienkę, którą noszę. Ja tutaj nie mieszkam.

JUDITH O'BRIEN

■— To tylko chwilowa pożyczka — powiedziała Celia.

— Ale proszę pani, ja muszę sprzątać pokoje i zmieniać pościel.

— To mi zajmie tylko chwilę. — Celia się uśmiechnęła. Muszę się z kimś spotkać w bardzo pilnej sprawie.

— Naprawdę nie mogę, proszę pani.

Celia przechyliła głowę i obdarzyła ją jednym ze swoich najbardziej uroczych uśmiechów, serdecznym i szczerym, który w końcu pokonał opory służącej.

Po kilku minutach była już na ulicy i podążała śladem tajemniczego mężczyzny.

ISrendan zobaczył ją, jak siedziała na krześle ze schyloną głową, zajęta jakąś robotką.

Wydawała mu się teraz inna, bardziej korpulentna, włosy miała rudawe. Zupełnie inaczej ją pamiętał.

Fakt, że znał ją tak mało.

Nie usłyszała, jak wchodził, szyjąc z zapamiętaniem. Uśmiechnął się na ten widok i zbliżył cichym krokiem. Położył jej rękę na ramieniu.

Siedząca kobieta aż podskoczyła.

— Sir! — wrzasnęła.

— Kim ty jesteś? — Ta kobieta miała na sobie podartą suknię jego żony.

— Jestem służącą pani Harris, proszę pana.

— A gdzie jest moja żona?

— Musiała wyjść, proszę pana.

— Musiała wyjść?

— Tak, proszę pana. Pożyczyła ode mnie sukienkę

Medium i wyszła. Powiedziała, że musi się spotkać z jakimś mężczyzną, proszę pana.

— Co, u diabła?!

Nie chciał krzyknąć, ale nie zdołał się opanować.

— Proszę pana! — wyszeptała młoda służąca drżącymi wargami.

Brendan zaczerpnął głęboko powietrza i spytał spokojniejszym tonem.

— Czy wiesz, kim jest ten mężczyzna?

Jego opanowany głos zabrzmiał jeszcze bardziej złowieszczo w uszach przerażonej dziewczyny.

— Nie, proszę pana.

— Więc to tak. Ona gdzieś chodzi w przebraniu pokojówki i spotyka się z jakimś tajemniczym mężczyzną?

Nie odrywając wzroku od podłogi, dziewczyna skinęła potakująco głową.

— Czy widziałaś, w którą stronę poszła?

— Nie, proszę pana — szepnęła.

— No dobrze. Dziękuję ci. — Odwrócił się do wyjścia i dopiero wtedy zorientował się, że służąca jest zmuszona zostać u niego w pokoju.

— Do widzenia — powiedział.

— Tak, proszę pana.

Wyruszył na poszukiwanie swojej żony.

INigdzie nie było go widać.

Celia rozcierała zziębnięte ramiona— po południu zrobiło się bardzo chłodno, a ona nie miała peleryny. Kogo widziała? Popatrzyła w okno, gdzie jeszcze

niedawno stała, a potem w kierunku, w którym uciekł mężczyzna. Zastanawiała się, czy nie powinna wrócić do ciepłego pokoju, zamiast szukać nie wiadomo kogo.

Było zimno. Ale odnalezienie tego, kto skrzywdził a może nawet zabił — Amandę, było ważniejsze niż ten drobny dyskomfort.

Zapominając o pogodzie, szła szybko ulicą. Istniała jeszcze niewielka możliwość, że mężczyzna ten był gdzieś w pobliżu.

Chciała chociaż raz na niego spojrzeć. I postanowiła dopiąć tego za wszelką cenę.

W przeciągu zaledwie dwóch dni Brendan stracił Z oczu szwagra oraz świeżo poślubioną żonę.

Szedł wolnym krokiem w górę Broadwayu, zatopiony w ponurych myślach. Nie zauważał niechętnych spojrzeń przechodniów, którym blokował drogę swoim powolnym marszem. Ci, którzy przyglądali mu się bliżej, byli raczej zaciekawieni tym przystojnym, dobrze ubranym mężczyzną, który szedł nienaturalnie wolno.

Otarł się o niego skromnie odziany człowiek, niosący planszę z napisem: *Chińscy akrobaci. Coś niezwykłego! Czar egzotyki! Dom Cudów McAllistera!* Plansza zostawiła biały ślad na pelerynie, ale Brendan niczego nie zauważył.

Przestał czuć się sobą. Jego ostateczne poczynania przypominały działania innego człowieka, do którego wcale nie miał zaufania. I którego zupełnie nie rozumiał.

Stracił kontrolę nad swoim losem. A z miejsca, gdzie stał, na tętniącym życiem Broadwayu, z jasno oświet—

Medium lonymi sklepami, wózkami sprzedawców prażonej kukurydzy i licznymi przechodniami, należącymi do wszelkich warstw społecznych, trudno było odzyskać kontrolę nad własnym życiem.

Znał to uczucie. Raz, kiedy był bardzo młodym człowiekiem, miał tę samą świadomość staczania się, kiedy we śnie spada się ze skały i nie ma się czego uchwycić. Już raz tego doświadczył.

Tamten okres to były najgorsze miesiące jego życia. Gorsze nawet niż śmierć rodziców,

gorsze niż wstrząsająca wiadomość o tragicznej śmierci siostry.

Londyn. Tam wtedy przebywał, w tym tętniącym życiem handlowym mieście, które jednocześnie było w jakiś sposób staromodne. W Nowym Jorku wiadomo było, że codziennie ustala się i zmienia reguły, że prawie wszystko jest możliwe. Każdy człowiek, odpowiednio zręczny i bogaty, mógł znaleźć się w najbardziej nawet elitarnych kręgach towarzyskich.

Natomiast w Londynie wszystko było skostniałe i od wieków utrwalone. Kiedy więc wytworna córka księcia zwróciła na niego uwagę, Brendan poddał się natychmiast jej urokowi.

Przez przeszło trzy miesiące zaniedbywał swoje interesy, podejmowany przez najwytworniej sze towarzystwo Londynu. Czasami zastanawiał się, dlaczego ta piękna istota wybrała właśnie jego, ale szybko odpędzał wątpliwości i dawał się ponieść nieznanym mu przedtem uczuciom. Zdecydował, że się z nią ożeni.

Ukochana jednak zniknęła i to tuż przed tym, kiedy Brendan miał się spotkać ze starym diukiem. Jego listy

JUDITH O'BRIEN wracały nierozpieczętowane, a wszystkie pytania zbywano milczeniem. Ci sami ludzie, którzy jeszcze niedawno tak serdecznie go witali, teraz unikali go i nie poznawali na ulicy. Przestał być gdziekolwiek zapraszany.

Wtedy właśnie Garnek powiedział mu, że urocza istota, której oddał swoje serce, znalazła mniej zamożnego, ale bardziej utytułowanego kandydata. Dwukrotnego wdowca, który po okresie żałoby zaczął poszukiwać stosownej narzeczonej.

Po tym incydencie Brendan z całą mocą poświęcił się interesom. To było coś, nad czym mógł sprawować pełną kontrolę. Dodawane cyfry albo wykazywały oczekiwaną sumę, albo nie. Można było spodziewać się zysku albo co najwyżej strat. Nieodłączny dla każdej transakcji element ryzyka można było z góry przewidzieć.

W miłości, niestety, było inaczej.

Postanowił, że już nigdy nie ustawi się na takiej straconej pozycji. Na pewno nie tym razem. Oczywiście, będzie wypełniał swoje obowiązki. Chyba tak będzie najlepiej. Celia,

która właśnie została jego żoną, pociągała go. Nie chciał jednak dopuścić do tego, aby sprawy zaszły za daleko. Oceniał elementy ryzyka — były do przyjęcia. Spłodzą kilkoro dzieci, potem zamieszkają oddzielnie. Może nawet po różnych stronach Atlantyku.

Teraz musiał skupić się nad tym, aby nie utracić kontroli nad sytuacją. Szczęśliwie zdołał ją chwilowo opanować. Nawet po tym poranku potrafił spojrzeć na wszystko chłodnym okiem, jak człowiek interesu, którym zresztą zawsze był.

Tak właśnie powinien postępować.

Medium

W swoim pochopnym małżeństwie musiał kierować się rozsądkiem, a nie emocjami. Tak. Czuł, że teraz nad tym panuje.

Nie był już bezwolnym narzędziem w rękach losu.

Skierował się w stronę domu na Washington Square. Postanowił, że każe po prostu dostarczyć Celi jej własne ubrania. Nie było powodu zatrudniania krawcowej, nie było również powodu, aby przyzwyczajać do zbytku kobietę, która nawykła do skromnych warunków.

Następnie postanowił, że zrobi wszystko, by z jej pomocą odnaleźć Garricka. Chciał mieć znowu swojego partnera w interesach i najbardziej zaufanego przyjaciela. Wszystko będzie tak, jak być powinno, i wróci do normy.

Zadowolony z siebie, odetchnął głęboko. Celia będzie bardzo oszczędną gospodynią. Kiedy na świat przyjdą dzieci, nie będzie musiał zatrudniać guwernantki.

Tak powinno wyglądać jego małżeństwo. I takie będzie.

I o niemożliwe, pomyślała Celia. Całe życie mieszkała w Nowym Jorku. A jednak były w tym mieście okolice, których w ogóle nie знаła. Ulice w dolnej części Manhattanu zakręcały pod niespodziewanym kątem, zmieniając stale swoje nazwy.

Nadal było zimno. Mimo późnego popołudnia, Celia nosiła tylko cienką wełnianą sukienkę. Nie postępuję zbyt mądrze, stwierdziła z uśmiechem. Była jednak pewna, że rozpozna płaszcz i czapkę mężczyzny, który stał przed pensjonatem. Była o tym całkowicie przekonana.

JUDITH O'BRIEN

Nawet nie było jej zbyt zimno. Szła bardzo szybko, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nikt nie zwracał uwagi na kobietę w stroju pokojówki. Wszędzie było pełno ludzi, którzy podążali w rozmaitych kierunkach.

W tej części miasta, w pobliżu portu, zatrzymywało się dużo furmanek. W powietrzu czuło się zapach soli, ale było to przyjemne wrażenie.

Będzie musiała przyzwyczać się do podróży statkiem,;; skoro została żoną Brendana.

Uśmiechnęła się znowu i rozejrzała uważnie, zanim przeszła przez wąską jezdnię.

Nie potrzebowała nic więcej, wystarczyłby jej jeden rzut oka na tego mężczyznę. Zawsze miała dobrą pamięć.

Wreszcie doszła do nabrzeża. Jak długo już chodziła po ulicach? Ale to nie było ważne; owiewał ją wiatr od oceanu, patrzyła na statki z ogromnymi żaglami i tak wysokimi masztami, że wydawały się sięgać chmur. Statki ze wszystkich stron świata, z Anglii, Chin, Irlandii i Hiszpanii. Załogi statków wydawały się równie egzotyczne jak przewożone przez nie towary i składały się z ludzi różnych ras i narodowości.

Celia miała ochotę roześmiać się głośno z radości, że widzi to wszystko i że — za sprawą Brendana — będzie sama brać w tym udział.

Zycie może być naprawdę wspaniałe!

Mrużąc oczy od słońca, które nagle ukazało się zza chmur, obserwowała, jak za pomocą lin i wielokrążków opuszczano ze statku wielkie bele. Z innego rozładowywano beczki i skrzynie, w których mogło znajdować się wszystko, co tylko możliwe. Mogły być tam jedwabie

Medium z Dalekiego Wschodu, suknie z Francji, porto i sherry z Hiszpanii lub delikatne koronki z Irlandii.

Mogły się tam także znajdować cebulki tulipanów z Niderlandów albo wino z Włoch. Wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, ze wszystkich stron świata.

Czuła, że rozpoczyna nowe, wspaniałe życie. Wystarczyło jedynie otworzyć szkatułki

pełne nieznanym jej jeszcze rozkoszy.

A wszystko to zawdzięczała temu wspaniałemu mężczyźnie.

Nie będzie już ciężarem dla ciotki. Będzie miała swój własny dom.

Popatrzyła na słońce i zrozumiała, że czas wracać i oddać suknię służącej.

Należało już także wrócić do męża. Razem odnaleźć Garricka i odkryć prawdę o śmierci Amandy.

A potem rozpocząć nowe życie. We dwoje.

Jeszcze trochę ludzi kręciło się koło domu przy Washington Square, ale było ich niewiele w porównaniu do tłumów z poprzedniego dnia.

Brendan wszedł na schodki i pociągnął za uchwyt dzwonka. Po chwili ktoś uchylił firanki w oknie tuż koło drzwi i ukazało się tam oko. Firanka zaraz wróciła na miejsce i drzwi uchyliły się lekko.

— Proszę wejść, szybko — powiedziano mu.

Kiedy znalazł się w środku, ciotka Prudence, której oko obserwowało go zza firanki, chwyciła jego ramię.

— Och, dzięki Bogu. Gdzie ona jest?

8 — Medium 225

JUDITH O'BRIEN

Zaskoczony tym powitaniem Brendan popatrzył na nią uważnie. Co to za kobieta? Czy rzeczywiście tak źle potraktowała Celię, a może Celia wyolbrzymiała całą sytuację?

Może po prostu kłamała?

— Witam panią, pani Cooper — powiedział.

— Gdzie ona jest? Oni nie chcą widzieć się ze mną, wszyscy chcą jej, Celi. Gdzie ona jest? Niektórzy są już mocno zagniewani, panie O'Neal. Chcą zapłacić dużo pieniędzy, żeby tylko się z nią spotkać, nic innego ich nie zadowoli. Ona musi tu wrócić.

— Nie wiem, gdzie jest Celia w tej chwili.

— Pan nie wie?! — krzyknęła piskliwym głosem ciotka. — Jak pan może nie wiedzieć?

— Ciotka Prudence wyciągnęła rękę, aby złapać go za ramię, ale szybko ją cofnęła.

— Przyszedłem, aby załatwić sprawę wysłania jej ubrań do wynajętego przeze mnie

mieszkania. Gdyby była pani tak dobra i dopilnowała ich spakowania, to zaraz przysłałbym po nie posłańca.

— Ale ona musi tu wrócić, czy pan tego nie rozumie? Och, mój Boże, ona musi tu wrócić.

— Zobaczę, co da się zrobić, proszę pani — odpowiedział oficjalnym tonem.

Zauważył stojącego na progu Patryka, który rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie i uczynił wymowny ruch głową w stronę ciotki Prudence.

— Czy mógłbym dostać filiżankę herbaty? — Brendan zwrócił się do niej z uśmiechem. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, jakby w tej sytuacji

‘■*’ *Medium* picie herbaty było zupełnie nie na miejscu. Otrząsnęła się jednak ze swojego histerycznego nastroju i zaczęła odgrywać rolę uprzejmej gospodyni.

— Ależ oczywiście, panie O’Neal. — Uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie, jak zwykle nie pamiętając, że taka zalotność byłaby na miejscu, ale przed czterdziestu laty. Proszę rozgościć się w salonie. Zaraz każę podać herbatę.

Ten powrót do codziennej rutyny wpłynął na nią uspokajająco. Poklepała go nawet po ręce, zanim wyszła do kuchni, aby wydać odpowiednie dyspozycje służącej.

Wtedy Patryk wślizgnął się do salonu.

— Sir— powiedział tylko, patrząc w podłogę, i — Co się tutaj dzieje?

— To istny dom wariatów. — Był wyraźnie podenerwowany, nie wyjął nawet rąk z kieszeni. — Dom był otoczony ludźmi przez całą noc. Kobiety krzyczały, że chcą zobaczyć swoich ukochanych zmarłych, mężczyźni walili pięściami w drzwi. Dziennikarze też zostali tu na noc, a jeden z nich, z gazety pana Greeleya, dobrze dał się nam we znaki. Gdyby panna Thomason, chciałem powiedzieć, pani O’Neal, mogła tu wrócić na chwilę, to jestem pewien, że wszystko by się uspokoiło.

— Przykro mi, Patryku, ale nie wiem, gdzie ona w tej chwili jest. — Po chwili dodał, jakby mówiąc do siebie: Nie wiem również, gdzie się podział mój szwagier.

— Pan Stevens?

Brendan spojrzał na niego uważnie.

— Tak. — Patryk zaczął przestępować z nogi na nogę. Brendan uśmiechnął się. — Czy nie spotkałeś przypadkiem pana Stevensa?

JUDfTH O'BrIEN

— Ja, no... ;

— Proszę cię, Patryku. On zniknął. Bardzo się o niego martwię.

— Ja... ja naprawdę nie mogę pana poinformować.

— To znaczy, że mi tego nie powiesz, tak?

— No właściwie to tak, za przeproszeniem.

— Słuchaj, Patryku. To jest niezwykle ważne. Pan Stevens był ostatnio w bardzo złej formie.

— To prawda.

Rozległo się głośnie walenie do drzwi. Patryk wzdrygnął się nerwowo.

— Następny. Całą noc, całe rano to łomotanie. Można oszaleć. Gdyby tylko pani O'Neal wróciła. Zaraz by się uspokoili.

— To musi być okropne dla ciebie, Patryku. Dom pełen rozhisteryzowanych kobiet, a ty jesteś tu jedynym mężczyzną. Chcą, żebyś je chronił przed zgromadzonym tu tłumem. A co ty możesz na to poradzić?!

— Ma pan rację! — wykrzyknął Patryk. — To jest straszne!

— Wydaje mi się, że gdyby pani O'Neal wróciła tu, choćby na krótko, zapewne położyłaby kres temu szaleństwu.

— Tak właśnie myślałem, proszę pana! Pani Cooper mogłaby ją potem zastąpić. Mamy przecież swoje sposoby. Potrzebujemy tylko panny Celi, żeby trochę nam pomogła, na samym początku. Potem ludzie przyzwyczajają się również do pani Cooper. I wszystko już będzie dobrze. Wiem o tym.

— Patryku, mam dla ciebie pewną propozycję.

Medium

— Sir?

— Jeśli mi powiesz, gdzie jest pan Stevens albo gdzie go ostatnio widziałeś, to przekonam panią O’Neal, żeby tu wróciła, na jak długo będzie trzeba. Co ty na to?

Patryk potrząsnął przecząco głową.

— Nie mogę, proszę pana. Złożyłem przysięgę.

— Przysięgę? Obiecałeś mojemu szwagrowi, że nie zdradzisz mi, gdzie on przebywa?

— To nie tak. To jest bardziej skomplikowane.

— Co to znaczy — bardziej skomplikowane? Zadam ci proste pytanie, Patryku. Spytam cię tylko, czy wiesz, gdzie jest mój szwagier?

Patryk wahał się przez chwilę, ważąc w myślach pytanie.

— Przypuszczam, że wiem.

— No dobrze. Może, jeśli ci będę zadawał pytania, będziesz w stanie odpowiedzieć zgodnie z własnym sumieniem, bo nie chcę, żebyś złamał przysięgę.

Patryk spuścił głowę i przez chwilę wpatrywał się w podłogę, potem wyprostował się.

— Nie widzę w tym nic złego, proszę pana.

— Doskonale! Czy mogę spytać, czy pan Stevens jest zdrowy?

— Tak, proszę pana. Może być pan tego pewny.

— No, to już coś. — Brendan pocierał policzek w zamyśleniu. — Czy jest niedaleko?

— No, nie jest daleko.

— Kiedy widziałeś go ostatni raz? — Całkiem niedawno.

— Proszę cię, Patryku. Potrzebuję dokładniejszych in-

formacji. On jest moim szwagrem i martwię się o niego. Obawiam się, że korzystając z usług pani O’Neal i waszych zawodowych trików, zaszkodziłem mu. Już przedtem był w złej formie.

— Och, nie, proszę pana. On jest całkiem w porządku. Wszyscy tak uważamy.

Wszyscy tak myślą, odnotował Brendan. Więc istniała jakaś grupa. Udawał, że nie dostyśzał tej informacji.

— Każdy się z tym zgadza? — spytał obojętnym tonem.

— Tak. — Patryk skinął głową.

— Bardzo ci dziękuję. Uspokoileś mnie. Zadowolony z siebie Patryk uśmiechnął się szeroko.

— Nie zauważyłeś więc u niego jakiejś zmiany? — Głos Brendana miał łagodne brzmienie. — To znaczy od czasu, kiedy go spotkałeś po raz pierwszy.

— No, naturalnie. Wtedy był świeżo po ślubie, interesował się tylko żoną. Zawsze mówił, że jest bardzo piękna, za przeproszeniem.

— Wszystko w porządku. To musiało być niedługo po jego przybyciu do Ameryki?

— Tak. Byli jeszcze żółtodziobami. Oboje. To ja byłem dla nich ekspertem.

— Mieli szczęście, że służyłeś im pomocą, Patryku.

— Myślę, że tak — powiedział, zadowolony. — Pamiętam też, kiedy...

Do salonu weszła ciotka Prudence, a za nią służąca z tacą.

— Patryku, czy możesz zejść na dół i porozmawiać z Hannah? Jest kompletnie oszalała po tym, jak ten mężczyzna usiłował wejść przez kuchnię. Żeby pan to

Medium widział, panie O’Neal. Włożył nogę między drzwi i bezczelnie usiłował wdrzeć się do kuchni. Idź na dół, Patryku. — Spojrzenie, jakim obrzuciła go ciotka Prudence, wyraźnie mówiło, że jego miejsce jest teraz na dole.

— Przepraszam — powiedział Patryk, wychodząc. Miał zmarszczone czoło i niepewny wyraz twarzy.

— Proszę mi wybaczyć. — Brendan zwrócił się do ciotki Prudence i do Patryka. — Dziękuję bardzo za herbatę, ale z niej nie skorzystam. Postaram się za to wrócić jak najszybciej z panią Ó’Neal.

Słowa Brendana nie od razu dotarły do zdziwionej ciotki Prudence. Patryk skinął mu głową, nadal nie będąc pewny, czy powiedział zbyt mało, czy też zbyt wiele.

Teraz Brendan musiał jedynie odnaleźć żonę, zaginionego szwagra i wtedy będzie mógł wreszcie zająć się swoim życiem.

v ■

\ i • i •

Zjatrzasnął drzwi pensjonatu o wiele mocniej, niż chciał.

Tak nie można, przekonywał sam siebie. Musiał zachować spokój, nie mógł przecież poddawać się emocjom związanym z tą kobietą. Przez całe popołudnie usiłował wymazać jej obraz ze swoich myśli i uczuć. Postanowił, że nie będzie miała na niego żadnego wpływu. Nigdy.

Trzaśnięcie drzwiami mogłoby oznaczać, że zależy mu na niej, że sprowokowała jego gniew lub niepokój, a tak przecież nie było. Nie miała nad nim żadnej władzy. Nie zmieni jego życia ani na jotę, z wyjątkiem tych rzadkich okazji, kiedy będzie potrzebował jej obecności, na przykład w celu splodzenia dziedzica rodu O'Neal, czy też przy okazji jakiegoś oficjalnego wystąpienia.

Najwyższy czas, żeby poinformować ją o tym, co postanowił. Ich tryb życia, razem czy też osobno, powinien zostać ustalony raz na zawsze.

Celia aż podskoczyła na dźwięk zatrzaskiwanych drzwi. Od swojego powrotu pogrążona była w romantycznych

Medium rozmyślaniach. Miała na sobie zreperowaną sukienkę i przerzucała strony leżących na małym stoliku książek. Po chwili uśmiechnęła się, a oczy jej nabrały ciepłego blasku.

— Właśnie czytałam wspaniałą książkę — zaczęła. — Jej autor może ci być znany. Jest nim niejaki Brendan O'Neal.

Trzymała w ręku jego własny notatnik, gdzie zapisywał swoje myśli. Był to zeszyt z nagłówkami „Co wiem” i „Czego nie wiem”, którego strony zapełniał najbardziej istotnymi wydarzeniami ze swojego życia.

— Och, Brendanie, to jest wspaniałe. Teraz dopiero czuję, że cię naprawdę poznałam. A to, co pisałeś o Amandzie... — Celia zaczerwieniła się. — A ta część o mnie. Ja też się w tym gubię. Przysięgam. Nie wiem, skąd się biorą moje uczucia ani gdzie mnie doprowadzą. Jeśli o mnie chodzi, to ta druga kolumna jest też prawie zupełnie czysta.

Znalazła księgę! Nikt jej wcześniej nie czytał. Nie pozwalał na to nikomu. Jak mógł zostawić ją na samym wierzchu? Dlaczego postąpił tak nierozsądnie?

— Myślałam też o Garricku, o tym, gdzie może być mówiła dalej Celia. — Jest kilka lokali na przedmieściu, mających atmosferę angielskich pubów, które Garnek tak lubił.

Czekała teraz na jego odpowiedź.

Jakie to wszystko dziwne, pomyślała. Tęskniła za nim, kiedy nie byli razem, ale właśnie wtedy wydawał się jej najbliższy. Czy tak czują się wszyscy małżonkowie? Czasem widziała, jak jej matka wygląda przez okno, aby zobaczyć ojca, powracającego do domu pod długim dniem pracy. Jako dziecko nie rozumiała tej potrzeby, chociaż zawsze było jej miło, kiedy widziała swoich rodziców

JUDITH O'BRIEN razem. Była wtedy pewna, że kochający się ludzie zawsze wracają do domu, bez względu na wszystko.

Teraz już nie była tego pewna. Śmierć rodziców przekonała ją o tym, że ludzie nie zawsze wracają. A wroga wypowiedź ciotki uprzytomniła, że chociaż wydaje się nam, iż rozumiemy uczucia innych, może się okazać, jak bardzo się mylimy.

Po dzisiejszym poranku, kiedy tak zbliżyli się do siebie z Brendanem, otwierał się przed nią świat nowych możliwości, przekraczający jej dotychczasowe wyobrażenia.

Teraz jej mąż był w domu, a ona miała mu tak wiele do powiedzenia, tyloma rzeczami chciała się z nim podzielić.

Brendan był blisko niej, więc przepelniała ją radość. To była jej przyszłość, jej nowe życie.

Ale on nie widział wyrazu jej twarzy. Celowo omijał ją wzrokiem. Nie widział powodu, aby utrzymywali między sobą jakikolwiek kontakt, choćby wzrokowy.

— Tak się cieszę, że już jesteś — powiedziała, podziwiając doskonałą sylwetkę swojego nowo poślubionego męża* Postanowiła powiedzieć mu, że widziała jego siostrę i że razem będą poszukiwać Garricka, a także człowieka, który prawdopodobnie jest winien śmierci Amandy.

Ale Brendan nie odzywał się.

— Gdzie byłeś? — pytała, ciekawa, co spowodowało jego dziwną nieruchomość i brak zainteresowania. Kosmyk ciemnych włosów spadał mu na czoło, miała ochotę odgarnąć go

i pogłaskać męża po policzku.

Wciąż milczący Brendan, który zachowywał się tak, jakby nie było jej w pokoju, zdjął rękawiczki i rzucił

Medium płaszcz na kanapę. Odwrócił się do niej tyłem, nalał sobie porządną porcję brandy i wychylił ją jednym haustem.

— Czy źle się czujesz? — spytała zatroskanym tonem. Czy mogę ci coś przynieść, żebyś się rozgrzał?

Nadal nie zwracał na nią uwagi, jego szerokie ramiona wydawały się murem, który ich dzielił.

Celia wstała z krzesła, podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu. Jej palce prawie dotykały gładkiej skóry na jego szyi, jednak nie przesunęła dłoni. Coś dziwnego wisiało w powietrzu, coś było nie w porządku. Nie miała pojęcia, co powoduje tę nieprzyjemną atmosferę.

— Brendan?

Powoli odstawił kieliszek i popatrzył na dłoń, spoczywającą na jego ramieniu. W jego wzroku było tyle pogardy i niechęci, że Celia natychmiast cofnęła rękę i zrobiła kilka kroków w tył.

— Co się stało, Brendan?

Nie poruszył się, a ją ogarnął nagły niepokój.

Z trudem przełknęła ślinę. Może on ma jakieś trudności w interesach, może miał jakieś niemiłe spotkanie albo nieporozumienie ze stangretem. Powinna mu jednak powiedzieć, co się wydarzyło. Musi w jakiś sposób wciągnąć go w rozmowę. Wszystko było lepsze niż ten potworny chłód.

— Widziałam dziś Amandę, Brendanie. Tutaj, w tym pokoju. Pokazała palcem okno i powiedziała, że człowiek odpowiedzialny za jej śmierć jest przed domem. Wybiegłam szybko, żeby go zobaczyć, ale to mi się nie udało.

Nic nie wskazywało na to, że słyszał jej słowa, wydawało się, że myślami przebywa gdzie indziej. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos był zimny i rzeczowy.

JUDITH O'BRIEN

— Nie musi pani odgrywać przede mną swoich sztuczek,

— Odgrywać sztuczek? — Celia nie pojmowała, o co mu chodzi.

Teraz jego ton stał się zjadliwy.

— Tak. Odgrywać sztuczek. To jest przecież pani zawód, prawda? Chciała pani, żebym uwierzył, że ma pani moc wskrzeszania zmarłych, że przywoła pani moją siostrę. A teraz twierdzi pani, że ona mówi?

— Trudno powiedzieć, że faktycznie mówiła. — Celia staniki się opanować drżenie głosu. — To było tak, że słyszałam, co mówi, nie słysząc jej głosu. To się odbywało w moim umyśle. Ona przekazywała swoje myśli do mojego umysłu.

Zacisnął rękę na kieliszku brandy.

— Teraz ona chodzi za tobą? Moja siostra, której nie znałaś, chodzi twoimi śladami, od salonu twojej ciotki aż do tego domu? I ja mam ci wierzyć? Czy nie rozumiesz, jakie to dla mnie wstrętne, że posługujesz się w ten sposób imieniem Amandy? Dla ciebie ona jest tylko rekwizytem, częścią sprytnej intrygi, która pomaga twojej ciotce i tobie przy prowadzeniu tej cyrkowej imprezy. Dla mnie ona była siostrą, ostatnią osobą, jaka pozostała mi z rodziny.

— Ale ja...

Nie słyszał jej odpowiedzi, nie słyszał niczego poza szumem w uszach.

Zachować spokój, perswadował sobie. Kontrolować się. Nie dopuścić jej do siebie, w żaden sposób.

Celia próbowała coś mówić, coraz głośniej. Była zrozpaczona, przerażona. •

Medium

Nagle doznał olśnienia. To ona podstępem zmusiła go do małżeństwa.

To było tak oczywiste, że chciało mu się śmiać z samego siebie, nie zwracał uwagi na jej aksamitny głos, który docierał do niego jak przez mgłę.

Jakim okazał się głupcem!

Niewątpliwie był pożądaną zdobyczą — cudzoziemiec, który w przeciągu sześciu miesięcy stracił ojca i siostrę, a potem na dokładkę zaginął mu szwagier. Celia doskonale umiała wykorzystać sytuację. A powód był jasny dla każdego, z wyjątkiem jego samego: pieniądze.

Zaważyła na tym przyczyna, stara jak świat, w połączeniu z zawodem, również starym jak świat. Czy to nie zawsze sprowadza się do jednego lub drugiego? W jego przypadku zagrały oba czynniki.

I jak jej, a właściwie... im, doskonale się to udało. Ułożyli cały plan i musieli być szczęśliwi, że Brendan O'Neal tak łatwo dał się złapać.

Jeszcze jedna myśl przyszła mu do głowy. Ci trzej mężczyźni, tych trzech opryszków, którzy, jak się wydawało, nękali ją o długi zmarłego wuja, najprawdopodobniej byli z nią w zмовie. Była tak przerażona, a on ją wyratował. Odgrywała rolę ofiary, on zaś... rolę zwykłego głupca.

Spokój, powtarzał sobie. Nie pokazuj, że jesteś wściekły. To dałoby jej przewagę. Możesz sobie pozwolić na to później. Nie teraz.

Celia skończyła mówić. Nie obchodziło go, co chciała powiedzieć, to nie miało żadnego znaczenia. Jedno było jasne— zrobił z siebie skończonego idiotę. Już po raz drugi w życiu kobieta zrobiła z niego durnia.

JITDITH O'BRIEN

Kiedy się wUIZGie odezwał, był jut ealkoWieie opanowany.

— Jak już mówiłem, nie potrafię zrozumieć, jakimi podłymi sztuczkami udało ci się doprowadzić do tego małżeństwa.

— Podłe sztuczki? — Zabrakło jej tchu. Czy nie słyszał, co do niego mówiła? Mówiła o swoich uczuciach, o tym, jak bardzo chce z nim być. Ale on tego nie słyszał. Teraz mogła tylko powtórzyć te niegodziwe słowa, jakimi podsumował jej postępowanie.

Nie zważając na to, co powiedziała, ciągnął dalej.

— Istnieje jednak możliwość, że na świat przyjdzie dziecko. W tym wypadku małżeństwo to pozostanie formalnym związkiem. W przeciwnym razie odbędzie się to tak,

jak wyłożyłem we wczorajszym liście. Szybkie unieważnienie, gdy wrócę do Londynu.

— Jak to możliwe? — Pokój zawirował jej przed oczami, musiała oprzeć się na krześle.

— To proste. Mam zamiar prowadzić taki tryb życia, jaki prowadziłem wcześniej. Do tej pory bardzo dobrze mi to służyło. Byłoby najlepiej, żebyś teraz wróciła do domu swojej ciotki. Na dole czeka powóz.

— Jak możesz tak mówić po tym, co wydarzyło się dziś rano?

Pozostał niewzruszony, jak gdyby rozmawiali o pogodzie.

— To był błąd. Proszę o wybaczenie. To się już więcej nie powtórzy, chyba że będziemy planować powiększenie rodziny.

— Nie.

Medium —i

— Nie? — Po raz pierwszy zdziwienie przeważało nad jego opanowaniem. Już od bardzo dawna nikt nie kwestionował jego decyzji.

— Nie. Nie zgadzam się na te warunki.

Starał się nie podnosić głosu. Przecież postanowił, że nie będzie okazywał żadnych emocji.

Był znowu sobą, w pełni kontrolował sytuację.

— Nie ma pani wyboru.

; — Z całą pewnością mam.

— Nie wzięła pani pod uwagę faktu, że jest pani moją „żoną”. Według brytyjskiego i amerykańskiego prawa jest pani moją własnością.

Dopiero po chwili dotarł do niej sens jego słów. Zaciśnęła ręce na poręczy krzesła tak mocno, że aż zbieleły jej nadgarstki.

Kim był ten mężczyzna? Wydawało się, że istnieją w nim dwie osoby —jedna łagodna, a druga niewypowiedzianie okrutna.

Celia ocknęła się wreszcie. Brutalna prawda wyrwała ją z uroczych marzeń, którymi karmiła się od rana.

Ulotniło się romantyczne uczucie. Jej dziewczęce fantazje zostały zaprzepaszczone.

Musi wymazać z pamięci wydarzenia poranka i myśl o wspólnym życiu z tym mężczyzną.

Stało się to, czego bała się najbardziej i robiła wszystko, aby do tego nie doszło. Nigdy nie chciała zostać jedną z tych żalosnych istot, które poddają się z pokorą swoim brutalnym mężom. Nie chciała znaleźć się w gronie tych kobiet, które przychodziły do niej, pragnąc usłyszeć dobre słowo od swoich okrutnych mężów, od dawna

i ■.?.■■

JUDITH O'BmEN spoczywających na cmentarzu. Nawet ich śmierć nie była dla tych kobiet wyzwoleniem.

— Nie! — Sama się zdziwiła, jak gwałtowny był ten protest.

Wargi Brendana wykrzywił ironiczny uśmiech, te same wargi, które przedtem okrywały ją namiętными pocałunkami.

Pomyliła namiętność uczuć z pragnieniem posiadania.

Och, Boże, nie. Proszę, tylko nie to. Proszę, Boże, wszystko, tylko nie to, modliła się w duchu.

Kiedy odezwała się ponownie, mówiła spokojnym, opanowanym głosem.

— Nie. — Przestała trzymać się kurczowo krzesła, stała wyprostowana i pewna siebie. — Nigdy nie będę pana własnością. Żadna cząstka mojej osoby nie będzie należała do pana.

Oczy jej płonęły. Wyglądała tak kusząco, że Brendan zapomniał na chwilę o swoich postanowieniach. Ogarnęło go dzikie pożądanie.

— Sprawa jest zamknięta — powiedział. Musiał pozbyć się jej, oddalić z zasięgu wzroku. Nawet z dzielącej ich odległości czuł jej zapach, bardziej zniewalający niż jakiegokolwiek perfumy. Tracił panowanie nad swoim ciałem. Na samo wspomnienie poranka krew krążyła mu szybciej w żyłach. — Na dole czeka powóz. Żegnam panią.

Nie było wyboru. Musiała odejść. Podniosła głowę do góry, unikając jego spojrzenia.

Musiała zabrać z dołu pelerynę. Przedtem nie było jej zimno, teraz bardzo potrzebowała okrycia przed chłodem.

Medium

Wyszła z pokoju bez słowa, cicho zamykając za sobą drzwi.

Brendan nasłuchiwał jej kroków na schodach, ale niczego nie usłyszał. Odeszła w całkowitej ciszy.

Nagle poczuł się zdruzgotany i bardzo zmęczony. Nie tego się spodziewał. Myślał, że będzie triumfotorem. Ale to przejdzie, tłumaczył sobie. To przejdzie. Chwycił krzesło, przy którym przedtem stała Celia. Z poczucia bezsilności zacisnął ręce na jego oparciu.

Jtowrót Celi do domu przy Washington Square był pozornie naturalny, a jednocześnie druzgocący.

Nie było mowy o ostatnich wydarzeniach. Mogło się wydawać, że wróciła z wizyty u przyjaciółki lub z zakupów na targu.

— Witaj, moja droga — powiedziała ciotka Prudence, szeroko otwierając drzwi.

Celia opanowała się całą siłą woli, aby nie uciec z krzykiem.

— Witaj, ciociu Prudence — odpowiedziała machinalnie. Nie miała nic więcej do powiedzenia.

Wszyscy ją opuścili. Teraz miała tylko siebie. Ale to dobrze, pomyślała. Zawsze miała jedynie siebie, tyle że przedtem o tym nie wiedziała.

— Na pewno jesteś okropnie zmęczona, moja droga. Chodź do środka. Po kolacji położysz się spać. Na jutro mamy zaplanowanych wiele rzeczy.

Celia spojrzała na ciotkę — kobietę, z którą mieszkała przez tyle lat i o której tak mało wiedziała.

JUDITH O'BRIEN

Ciotka wyczuła tę wrogość.

— Celio. — Wzięła ją za rękę. Celia nie miała już siły, aby temu przeszkodzić. — Powiedziałam ci takie okropne rzeczy. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Na pewno tak nie myślę. Przecież wiesz, że dla mnie jesteś córką, której nigdy nie miałam, moim własnym dzieckiem.

Nie było warto wdawać się w dyskusję. Celia skinęła tylko głową. Chciała jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju.

— Czy posłać ci kolację na górę?— spytała wesoło Prudence.

— Poproszę— odpowiedziała i zaczęła wchodzić po schodach.

Czy jest skazana na to, aby do końca życia wchodzić po tych samych schodach? I zawsze będzie taka smutna?

Czy tylko to jej zostało? Czy nigdy nie będzie inaczej?

Pogrążając się coraz bardziej w rozpacz, uznała, że to już nie miało żadnego znaczenia.

Zanim nadszedł poranek, udało się jej wyciszyć wszelkie emocje. Postanowiła zagłuszyć uczucia, ponieważ przynosiły jej wyłącznie ból i rozpacz.

Nie wychodziła ze swojego pokoju. Nie otwierała okiennic ani nie rozsuwała firanek. Mijały godziny. Nie otwierała książki, nie ruszała pudełka z robótką. Czas płynął, a ona patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Kiedy opuściła oczy, zauważyła błyszczącą obrączkę, którą nadal miała na palcu. Ten widok rozzłościł ją, chciała ją zerwać, usunąć ten urągający jej godności symbol, ale nie było to łatwe. Obrączka tkwiła na palcu jak złote okowy, a szarpiąc ją, tylko się zadrapała.

Ciotka, wyjątkowo tego dnia podniecona, mówiła jej,

Medium kto ma przyjść, ale Celia nie słuchała. Ubierała się machinalnie i przygotowywała do spotkań. Musiała przez to przejść, nie widziała innego wyjścia. Przynajmniej nie teraz. Później, pomyślała. Być może później.

Już była gotowa. Postanowiła zejść na dół jak zwykle, chociaż wydawało się jej, że minęły całe lata od czasu, kiedy wykonywała swoje rutynowe czynności. Jej klienci będą mówić o swoich ukochanych zmarłych, wycierać zapłakane oczy, ona będzie słuchać ze współczuciem, a potem Patryk i ciotka Pru pokażą swoje sztuczki.

Czuła się jakoś dziwnie. Już w trakcie ubierania ciarki przechodziły jej po skórze. Uczucie to spotęgowało się, kiedy zeszła ze schodów. Zatrzymała się i zaczęła oglądać ręce. Wyglądały tak samo jak zawsze, ale odnosiła wrażenie, że tysiące małych szpileczek wbija się jej w dłonie, pełźnie wyżej, pod rękawy ciemnozielonej sukni.

Może jestem chora, pomyślała obojętnie. Mało ją to obchodziło.

Ciotka czekała na nią w holu.

— Och, Celio! Bardzo ważne osobistości czekają na ciebie w salonie! — Ściszyła głos. — Wielu chciało tu przyjść, ale uzgodnili między sobą, kto znajdzie się w pierwszej dziesiątce, która będzie świadkiem twojej niezwykłej mocy. — Poprawiła swój koronkowy kołnierzyk. — Nawet pan Frederick Douglas wysłał kogoś, żeby się wszystkiego dowiedział! Już czeka w salonie dziennikarz z „North Star”, gazety propagującej abolicjonizm. Siedzi tam spokojnie, jak zwykły klient.

Celia patrzyła na ciotkę, niewiele z tej przemowy rozumiejąc. Ciarki nadal przechodziły jej po skórze.

JUDITH O'BRIEN

Prudence wymieniała zgromadzone w salonie ważne osoby, ludzi, którzy mieli osądzić Celię i zdecydować, czy nie jest oszustką. Czuła się rozdwojona. Jedna jej połowa słyszała wymieniane przez ciotkę nazwiska. Wszystkie były jej dobrze znane. Druga połowa poddawała się woli jakiejś niewidzialnej osoby. Zaświatowej, określiła ją w myślach. Czuła, że nie jest z niczym związana. Jedynie jej ciało mocno stało na ziemi. Cała reszta mogła dryfować, płynąć w przestrzeń.

Ciotka Prudence poklepała ją po policzku. Celia powoli weszła do salonu, przyzwyczajając oczy do panującego tam mroku. Salon był zaciemniony, jak zwykle przed seansem.

Był to po prostu kolejny seans.

Rozejrzała się po pokoju. Na krześle siedział pan Robert Sweeney, reporter z „Daily Telegraph”; obok niego pani Lucinda Kuhn ze Stowarzyszenia Sufrażystek, a także przedstawiciel wielebnego Beechera z brooklyńskiego kościoła.

Człowiek, którego przysłał Frederick Douglas, siedział obok pani Kuhn. Celia zwróciła uwagę na jego wystające kości policzkowe i rozwichrzoną fryzurę. Skinął jej głową na powitanie.

Pokój wirował jej przed oczami, ale zdołała się wyprostować.

— Witam wszystkich. — Uśmiechnęła się, zaciskając dłonie, żeby nikt nie zauważył ich drżenia.

Ubrana była w codzienną sukienkę z zielonej wełny, wykończoną kremową lamówką przy dekolcie i mankietach. Jej wspaniałe włosy były spięte na karku.

W salonie znajdowało się dziesięć osób, nie licząc

Medium ■■%

Patryka — ukryty czekał na kolej swoją i ciotki Prudence, która stała parę kroków za Celią.

Dopiero wtedy go ujrzała. W rogu salonu, z dala od stołu, siedział rozparty w fotelu Brendan.

— Dzień dobry, witajcie — wyjąkała, zapominając, że już ich pozdrowiała.

Dlaczego on tu był?

Aby ją upokorzyć, pomyślała. Aby się z niej wyśmiewać i zachowywać tak nieprzyjawnie, jak tylko potrafił. Aby jeszcze bardziej ją pogłębić.

Postanowiła, że mu się to nie uda. Nie pozwoli wyprowadzić się z równowagi.

Ciarki nadal przechodziły jej po karku, ale nagle poczuła się silna. Ten seans będzie najbardziej przekonujący ze wszystkich dotychczasowych.

A jeśli to będzie możliwe, postara się, żeby był prawdziwy.

Jeżeli Amanda przychodziła już wcześniej, to może również dzisiaj jej nie zawiedzie.

— Proszę, żeby wszyscy usiedli przy stole. Wszyscy, z wyjątkiem pana O'Neala — powiedziała.

Brendan, który już wstawał z fotela, zastygł w bezruchu. Nawet w przyćmionym świetle salonu zauważyła, że zacisnął szczęki, zawahał się chwilę, po czym usiadł znowu.

Zaczęto się zastanawiać, czy to doświadczenie powinno być przeprowadzone wieczorem, czy podczas dnia. Spór został rozstrzygnięty przez przedstawiciela pana Samuela Morse'a — który miał podjąć decyzję, czy Celia zasługuje na to, aby otrzymać prototyp nowej maszyny pana Morse'a

JUDITH O'BRIEN do porozumiewania się z duchami — że należy przeprowadzić to doświadczenie za dnia.

W domu zapadła pełna wyczekiwania cisza, jakby wszystko czekało tylko na ten sprawdzian.

— Dzień dobry — powiedziała znowu Celia po krótkiej przerwie.

Teraz wyraźnie widziała twarze zgromadzonych przy stole. Jej ciotka stała trochę z boku, w oczach miała wyraz trwogi oraz ten charakterystyczny błysk, który pojawiał się zawsze, jeżeli w grę wchodziły pieniądze.

Z innych twarzy trudno było coś wyczytać. Wszyscy mieli obojętne miny, chociaż pan Sweeney nie krył podejrzliwości — muskał wąsa, pod którym skrywał drwiący uśmiezek. Również pani Kuhn, którą można było nazwać przystojną kobietą, siedziała sztywno wyprostowana, ze złotymi binoklami przypiętymi do sukni. Ci dwoje nie mieli żadnych złudzeń. Cały salon wypełniony był niedowiarkami.

Szczególnie odnosiło się to do Brendana O'Neala.

— Usiądźmy przy stole i weźmy się za ręce — zaproponowała. — Bardzo proszę, żeby nikt nie wyłamał się z koła, nie puszczał ręki sąsiada, bez względu na to, co państwo zobaczą czy usłyszą. Bez względu na wasze doznania, koło nie może zostać rozerwane. Pomyślmy o tych, którzy odeszli, o tych, z którymi chcielibyście rozmawiać.

Pan Sweeney uniósł brwi do góry.

— A co z panem O'Nealem? Czy nie dołączy do nas?

— Pan O'Neal jest tutaj z sobie tylko wiadomych przyczyn, których ja niestety nie znam. On, proszę pana,

Medium należy do czołowych niedowiarków. Obawiam się więc, że jego obecność w kole może zakłócić całą naszą akcję.

— Muszę zaprotestować — powiedział pan Sweeney stanowczym, choć uprzejmym, trochę żartobliwym tonem. Nie wierzył ani przez chwilę w tę aferę z wywoływaniem duchów, natomiast spodziewał się, że napisze cały cykl sensacyjnych artykułów, demaskujących to niewątpliwie urocze medium, które nie okaże się niczym innym, jak tylko bardzo dobrą aktorką. — Rozumiem, że pan O'Neal jest pani nowo poślubionym małżonkiem.

Była to ostatnia rzecz, o której chciała teraz pamiętać. Na szczęście mimo wszystko udało jej się zachować spokój.

— Tak— odpowiedziała, nie znajdując odpowiednich słów na wyjaśnienie sytuacji. Nie widziała powodów, aby tłumaczyć, że to małżeństwo jest jedynie formalnym związkiem i że ona uważa swojego męża za najpodlejszego i najbardziej niegodziwego ze wszystkich ludzi. Nie chciała również dodawać, że według niej, nie powinien znajdować się po tej stronie, tylko po tamtej, wśród nieszczęsnych duchów, z którymi właśnie miała rozmawiać.

Zabolał ją jego uśmiezek, ale powtórzyła spokojnie.

— Tak.

— Pani wybacz. — Pan Sweeney skierował wzrok na Brendana. — Nie chciałbym tu nikogo szkalować, ale chyba mogę wystąpić w imieniu wszystkich zgromadzonych i wyrazić pogląd, że pan O’Neal może być osobiście zainteresowany przebiegiem dzisiejszego seansu. W tej sytuacji trudno nam będzie bezkrytycznie zaakceptować to, co się wydarzy, jeśli pan O’Neal pozostanie poza kołem. Czy wszyscy się ze mną zgadzają? ;

JUDITH O’BIEN

Zaczęto wymieniać spojrzenia. Raptem odezwała się pani Kuhn, wyjątkowo donośnym głosem.

— Oczywiście, panie Sweeney. Myślałam o tym samym. Panie O’Neal? Czy nie ma pan nic przeciwko temu, aby dołączyć do naszego koła?

Zanim zdołał odpowiedzieć, Celia pośpieszyła z inną propozycją.

— Może pan O’Neal zechciałby w ogóle opuścić nasze towarzystwo? Może miałby ochotę iść na długi, przyjemny spacer lub zażyć innych przyjemności, w bardziej odległych miejscach, wraz ze swoim szanownym szwagrem.

Brendan patrzył na nią, zdając sobie sprawę, że w ten bardzo okrężny sposób wyraziła prośbę, aby odszedł.

— Dziękuję ci, kochanie — powiedział tak słodko, że miała ochotę czymś w niego rzucić. — Jednak z przyjemnością dołączę do twojego zaczarowanego koła. — Zwrócił się do zgromadzonych, obdarzając ich swoim najbardziej czarującym uśmiechem. — Chcę

państwu powiedzieć, że pani O'Neal przywoływała również moją zmarłą siostrę. Zamilkł na chwilę. — Sprawa mojej siostry jest już przebrzmiała, tak samo określiłbym przywoływanie jej ducha.

Na twarzy pana Sweeneya ukazał się szeroki uśmiech. Postanowił umieścić to powiedzenie w swoim artykule.

— Jednak, moja droga — skinął głową w kierunku Celi mam kilka spraw, które chciałbym przedyskutować z Amandą.

Demonstracyjnie przysunął swoje krzesło; umieszczając je pomiędzy ciotką Prudence a człowiekiem z biura pana Morse'a, mrugnął żartobliwie do Celi.

Postanowiła nie patrzeć na niego, nie dać mu satysfak—

Medium > cji, że wyprowadził ją z równowagi. Skupiła się na przybyłych gościach.

Trzeba było coś powiedzieć, coś wyjątkowego, nie był to przecież zwykły, rutynowy seans. Każdy z obecnych czekał, aby udowodniła coś, czego do tej pory nie udało się udowodnić w całej historii ludzkości.

— Zdaję sobie sprawę, że dla wszystkich tu obecnych jest to niezwykle, a może nawet przerażające doświadczenie. Słyszeliście już wiele o tej nowej nauce, o spirytyzmie. A jest to jedno z najstarszych wierzeń na świecie. Pragniemy wierzyć, że kontakt z naszymi ukochanymi może pokonać próg śmierci i trwać wiecznie. Może mi się nie uda tego udowodnić dzisiejszego popołudnia, a może nigdy. Proszę tylko, aby otworzyli państwo swoje serca i umysły.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy słuchali jej w skupieniu.

— Proszę sobie wyobrazić, że są państwo tutaj, aby przeprowadzić eksperyment. O ile wiem, niektórzy z was badali wydarzenia zainicjowane przez siostry Fox. Jesteście tutaj, aby być świadkami tego, co się wydarzy, lub ewentualnie tego, co się nie wydarzy. Możecie być pewni, że bez względu na to, co zdecydujecie, co będziecie uważali za słuszne opisać czy też ogłosić, zaakceptuję tę decyzję. Nie będę was nachodzić w domach ani używać waszych szacownych nazwisk na rozlepianych na płotach reklamach.

Uśmiechnęli się blado.

Brendan siedział trochę z tyłu, więc nie mogła widzieć jego reakcji bez zwrócenia na siebie uwagi. Czowała jednak, że unosi do góry brwi i uważnie ogląda paznokcie.

JUDITH O'BRIEN

— A więc dobrze— mówiła dalej, całkowicie opanowana, mimo jego obecności, a może właśnie dzięki niej.

Zerknęła w stronę stanowiska Patryka. Mieli umówiony sygnał. Kiedy Celia powiedziała „A więc dobrze”, wiedział, że przysłała jego kolej.

Rozpoczął się seans.

Ciarki nadal przechodziły jej przez dłonie, ale czuła się wyraźnie ożywiona i na wiele gotowa, chociaż nie był to odpowiedni moment, żeby się nad tym zastanawiać. Poprosiła zebranych, aby zamknęli oczy i uwolnili się od codziennych zmartwień i trosk.

— Niech państwo pomyślą o tych, których kochaliście, a którzy odeszli już z tej ziemi.

W miarę jak mówiła, nabierała pewności siebie, a jej słowa miały coraz większą moc.

— Oni są teraz z nami — powiedziała, nie robiąc już tych melodramatycznych przerw, do których przyzwyczała swoich klientów. — Chociaż przeszli już do innego świata, ich uczucie pozostało. Nie jest już ono skażone bólami tego świata. Miłość, którą teraz czują do was, jest całkowita, doskonała, pozbawiona małostkowości. Ani drobne urazy, ani nawet poważne życiowe tragedie, nie mają już wpływu na tę czystą formę miłości, która jest najwspanialsza.

Panu Sweeneyowi drżały usta; oczy miał zamknięte.

— A więc dobrze — powiedziała głośno, żeby Patryk mógł ją usłyszeć. Robiła to machinalnie. Był to ich stały repertuar sztuczek.

Podłe sztuczki, to były słowa, których Brendan użył w stosunku do niej. I miał rację.

Medium

Popatrzyła na siedzących dokoła stołu. Chociaż niewiele o nich wiedziała, nie mówiąc już o Brendanie i własnej ciotce, coś spowodowało, że znaleźli się przy tym stole, w tej właśnie chwili.

Przywiodła ich tu nadzieja. Ci światowi, zblazowani ludzie, których niełatwo było zadziwić, mieli w głębi serca nadzieję, że wydarzy się coś autentycznego. Celia mogła sobie tylko wyobrażać, ile drogich osób utracili i jak głęboko zraniło ich to odejście.

Nawet cyniczny pan Sweeney, mimo całej swojej nonszalancji, na pewno zastanawiał się po cichu, czy rzeczywiście mógł porozumieć się ze zmarłymi.

Nawet Brendan, uświadomiła sobie ze zdziwieniem. Nawet on pozwolił sobie na taką myśl, bo przecież przyprowadził do niej Garricka.

Gdzieś w głębi duszy pozostał małym irlandzkim chłopcem, który znał opowieści o wrózkach, chochlikach i elfach, dzieckiem, które straciło matkę i na pewno marzyło o tym, żeby ją jeszcze kiedyś zobaczyć.

Nawet ciotka Pru chciała wierzyć. Biedna, rozczarowana ciotka Pru, kobieta, od której los się odwrócił lub, co gorsza, w ogóle ją zignorował.

Wszyscy ci ludzie mieli jakąś nadzieję. Ale nie można ich było oszukać nawet najwspanialszymi sztuczkami z repertuaru Patryka. Ona zresztą nie miała takiego zamiaru. Nie teraz.

— Pomyślcie o tych, za którymi nadal tęsknicie — powiedziała Celia ledwie dosłyszalnym szeptem. — Oni tutaj są. Im również bardzo was brakuje. Mają jednak pewną przewagę. Wiedzą, że miłość trwa nadal.

JUDITH O'BRIEN

Odczuwała coraz silniejsze mrowienie w dłoniach, jakby jakaś siła chciała użyć jej ciała jako przekaźnika.

Zaczynało się dziać coś autentycznego. Gdzieś pośrodku, pomiędzy rutynowymi sztuczkami a tą silną nadzieją, znajdowała się prawda.

— Proszę, przyjdźcie do nas — błagała, zamykając oczy. Myślała o swojej matce, ojcu, wuju Jamesie. Przypominała sobie przyjaciół z dzieciństwa, którzy odeszli, młode, wesołe twarze, które tak nagle i tak nieodwołalnie zgasły. To tylko zrządzenie losu, że ona nadal żyła, podobnie jak ci wszyscy zgromadzeni przy stole ludzie.

Takie samo zrządzenie losu jak to, które zabrało siostrę Brendana.

W salonie było chłodno, jak zwykle, kiedy nie palił się ogień na kominku. Panowała pełna oczekiwania cisza.

I właśnie w tym momencie w pokoju zaczął się unosić znajomy zapach perfum Amandy.

Celia nie otworzyła oczu, aby zobaczyć reakcję Brendana. Nie zwróciła na ten zapach szczególnej uwagi. Była pogrążona we własnych myślach i skupiona na dziwnych, otaczających ją wibracjach. Straciła poczucie odrębności własnego ciała. Mogłaby unosić się w powietrzu, nie było nikogo, tylko ona — Celia — która zerwała więzy z otaczającym ją światem.

Teraz w salonie rozchodził się inny zapach, z domieszką piżma. Konie, przemknęło Celi przez głowę. Był to zapach koni, siana, siodła i stajni.

Nie знаła tego zapachu, ale to nie miało żadnego znaczenia. Wirowanie stawało się coraz bardziej intensywne. W salonie nie odczuwało się już chłodu, roz—

Medium chodziło się natomiast dziwne ciepło, które sfiowijało wszystkich obecnych.

Celia i wszyscy inni mieli oczy zamknięte. Nagle rozległ się przeciągły szum. Nikt się nie odezwał, nikt się nie poruszył.

Celia wstrzymała oddech. Czowała, że za chwilę coś się wydarzy, coś niezwykle ważnego.

Ktoś z trudem złapał powietrze. Przez chwilę Celia zastanawiała się nawet, czy ten urywany oddech nie wyszedł z jej ust, ale szybko odrzuciła tę myśl.

Coś się miało wydarzyć, i to zaraz.

— Dawid! — krzyknęła jakaś kobieta. Celia poznała głos pani Kuhn. To ona tak dziwnie oddychała. — Mój Dawidzie, och, Dawidzie — łkała.

— Celio— ktoś szepnął jej do ucha tak blisko, że powinna poczuć ciepło innego ciała. Ale jedynym odczuwalnym ciepłem była delikatna temperatura, która przenikała do każdego kąta salonu. — Powiedz mu, musisz mu powiedzieć.

Jaki piękny, śpiewny akcent, pomyślała Celia. Jaki piękny dźwięk mają te słowa. To Amanda.

— Komu mam powiedzieć? — spytała. — Amando, gdzie jesteś? Komu mam powiedzieć — Garrickowi?

— Amanda? — odezwał się Brendan nieswoim głosem.

— Nie, nie — szeptał głos. — Powiedz Brendanowi.

— Co mam mu powiedzieć? — Głos Celi zabrział dziwnie donośnie w absolutnej ciszy.

— Powiedz, że mu przebaczam. Kiedy byliśmy dziećmi, upadłam i zraniłam się w policzek. On przez te wszystkie lata czuł się winny. Ale to była wyłącznie moja wina.

JUDITH O'BRIEN

Przewróciłam się przez zaczarowany krąg, potknęłam się o zaczarowany krąg...

Rozległ się przeraźliwy łomot, który prawie zatrzęsł domem. Drzwi salonu otworzyły się nagle, uderzyły gwałtownie o ścianę, słychać było brzęk tłuczonego szkła. Osłepiające światło wdarło się do środka.

Ukazała się czarna sylwetka mężczyzny.

Ktoś przeraźliwie krzyknął. Trudno się było zorientować, czy ten zniekształcony przerażeniem głos wydała kobieta, czy też mężczyzna.

Zapanowała upiorna cisza. Wreszcie postać odezwała się.

— Przepraszam. Ja szukam...

— Garrick? — Brendan zerwał się z krzesła. Celia i jej goście patrzyli zdumieni.

— Brendan? Szukam panny Thomason. — Stał tyłem do światła, więc nie było widać jego twarzy, ale głos zdradzał zakłopotanie. — Stukałem, ale nikt nie odpowiadał. Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem.

Znowu zapanowała cisza. W oczy zebranych, którzy już przywykli do przyćmionego światła salonu, uderzył blask popołudniowego słońca. Tylko Brendan już stał, inni nadal siedzieli przy stole, wymieniając niepewne spojrzenia.

Był to koniec seansu. i#^

15 i ani Lucinda Kuhn drżała nerwowo.

— To był on, mój Dawid — powiedziała.

— Pani Dawid? — spytał pan Sweeney, którego twarz ponownie nabierała rumieńców po wypiciu kieliszka brandy. — Kim jest pani Dawid?

— Mój syn — wyszeptwała.

— Nikogo nie widziałem — oświadczył przedstawiciel firmy pana Samuela Morse'a, robiąc jakieś notatki na kawałku papieru. — Mogę tylko stwierdzić, że ten eksperyment był w najwyższym stopniu nieprzekonywający. Zdecydowanie nieprzekonywający.

— To był mój syn, Dawid — sprzeciwiła się zdecydowanym tonem pani Kuhn. — Miał zaledwie czternaście lat, kiedy umarł. Wiem, że go widziałam.

— Z przykrością stwierdzam, że nie widziałem nikogo poza tym dżentelmenem. — Sweeney wykonał ruch głową w stronę Garricka Stevensa.

Reporter z „North Star” już wcześniej opuścił salon,

—■...

a wraz z nim kilka innych osób. Wszyscy byli przekonani, że widzieli coś nadzwyczajnego, ale nie byli pewni, co to było i co mogło oznaczać.

Tym razem nie użyto żadnych rekwizytów, nie było unoszących się instrumentów muzycznych ani skaczących wazonów. Patryk nie zdążył nawet zabrać się do tych sztuczek, kiedy Garnek Stevens nieoczekiwanie i gwałtownie przerwał seans.

Celia nadal siedziała przy stole. Obserwowała Brendana. Obserwowała swojego męża.

Brendan i Garrick rozmawiali zbyt cicho, aby mogła coś usłyszeć. Była to jednak bardzo ożywiona rozmowa, szybka wymiana słów, połączona z marszczeniem brwi i kiwaniem głową. W tym momencie zobaczyła kogoś innego w tym uroczym, rozkojarzonym młodym wdowcu, którego niedawno poznała. Teraz był to zupełnie inny mężczyzna.

Wreszcie zrozumiała, kiedy tak na nich patrzyła. Brendan miał prawie chłopięcy wyraz twarzy, malowało się na niej uczucie ulgi. Twarz Garricka była nieprzenikniona.

— To on ją zabił — szepnęła Celia. — Na pewno! — Dlaczego przedtem o tym nie pomyślała? Teraz było to dla niej oczywiste.

— Co pani mówiła, pani O'Neal? — Sweeney podniósł wzrok znad swoich notatek. — Proszę panią, pani O'Neal. Nie chciałbym uronić ani słowa. Mam bardzo mało materiału, za dużo opisu salonu i pani stroju, i nie dość właściwej treści. Niechże pani powtóiiyy, co pani przed chwilą powiedziała.

Garrick odwrócił się i popatrzył na nią. Wydawał się szczuplejszy niż poprzednio, jego

chuda szyja wystawała

Medium z kołnierzyka, wydatne jabłko Adama poruszało się wyraźnie, kiedy przełykał ślinę. , rt J

Patrzył na nią tak intensywnie, że musiała głęboko zaczerpnąć powietrza. Ścisnęła mocno dłonie, starając się nie odwracać od niego wzroku.

Chciała, żeby wiedział, że jego tajemnicę zna już przynajmniej jedna osoba.

Że zabił swoją żonę. Że nie zginęła ona w wyniku przypadkowego wybuchu, że ktoś specjalnie wywołał pożar.

Amanda została zamordowana.

Celia patrzyła na Garricka szeroko otwartymi oczami, a jej pierś unosiła się w przyspieszonym oddechu.

Uśmiechnął się do niej. Jego blada twarz miała roztargniony wyraz. Kiedy ich wzrok się spotkał, Celia pomyślała, że wszystko wyczytał z jej twarzy. Widziała w jego oczach poczucie winy, które zatruje mu całą radość, aż do końca życia. Miała taką nadzieję. Zobaczyła również, że on jest świadom tego, że ona wie.

Potem uśmiechnął się do Brendana i ponownie do Celii.

— Jak ten dżentelmen się do pani zwracał, panno Thomason? Musiał ulec złudzeniu, że jest pani matką Brendana.

Pan Sweeney, rasowy reporter, poszukujący sensacyjnych wiadomości, zwęszył okazję.

— Nic pan nie wie, panie Stevens? Panna Thomason jest teraz pana szwagierką, świeżo poślubioną panią O’Neal.

Garrick przestał się uśmiechać. Wyraźnie nie dowierzał tej wiadomości. Przez chwilę na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, ale szybko zniknął, ustępując miejsca życzliwemu zainteresowaniu. Tylko po oczach można było poznać, jak bardzo jest zszokowany.

9 — *Medium* 257

JUDITH O’BRIEN

■ ■ — Jestem skonsternowany, panno Thomason— zaczął. — Czy to żart?

— Obawiam się, że nie— Brendan pospieszył z odpowiedzią. — Jesteśmy poślubieni. Powiedział to tonem bankruta, który opowiada, co doprowadziło go do ruiny.

Garrick Stevens przez chwilę milczał zdumiony, ale zaraz zwrócił się do szwagra.

— Cieszy mnie twoje szczęście, Brendanie. — Serdecznie uściskał jego dłoń. Potem podszedł do Celii. — Teraz jest pani moją siostrą.

Kiedy całował ją w policzek, Celia zamknęła oczy i zaraz odsunęła się od niego.

— Czy nikt więcej nie widział mojego Dawida? spytała głośno pani Kuhn. Jej szare oczy błyszczały z podekscytowania.

Celia odwróciła się od Garricka. Rysy jej złagodniały na widok oczu pani Kuhn, w których nadzieja przeplatała się z niepewnością, czy to na pewno był jej syn.

— Obawiam się, że nie widziałam nikogo innego poza panem Stevenssem. Ale czułam zapach.

Pani Kuhn zerwała się od stołu, opierając na nim dłoń.

— No właśnie! Proszę mi powiedzieć, co pani poczuła? Celia nie zdążyła zareagować, bo do rozmowy włączył się niespodziewanie pan Sweeney.

— Chwileczkę. Chociaż niektórzy już wyszli, uważam że powinniśmy dokładnie spisać, czegośmy doświadczyli, wszystkie dźwięki, zapachy i wrażenia wzrokowe. W ten sposób nie będziemy się wzajemnie sugerować ani puszczać wodzy fantazji.

Medium

— Ja, na przykład, niczego nie widziałem — stwierdził Brendan.

— Dlaczego więc wypowiedział pan imię „Amanda”? spytała pani Kuhn. — Czy to nie jest imię pana siostry?

— Tak. Amanda była moją siostrą.

— Zaraz, zaraz— mitygował pan Sweeney, rozdając wszystkim arkusze papieru. — Opiszcie państwo dokładnie swoje wrażenia. Czy wszyscy mają ołówki i pióra?

Pani Kuhn całkowicie go zignorowała.

— Zapomniałam już o tym zapachu. Kiedy Dawid —■ przychodził do domu po całym dniu spędzonym na koniu, pachniał sierścią końską i sianem.

— Ja też poczułem ten zapach!—wykrzyknął mężczyzna z firmy pana Morse'a. — Myślałem, że tylko mi się tak wydaje, ale jednak czułem wyraźny zapach koni i jeszcze czegoś nieokreślonego.

— To był zapach stajni — potwierdziła pani Kuhn. Dawid zawsze przynosił ze sobą zapach stajni, po każdej przejażdżce.

— Błagam państwa! Dość tego! Zapiszcie wszystko na papierze...

— Wydaje mi się, że czułam również zapach kobiecych perfum — odezwała się pani Kuhn.

— Perfumy Amandy — wyjaśniła Celia. — Ale czy ktoś słyszał, co mówiła?

— Nie! — wykrzyknęła pani Kuhn. — Co powiedziała? Czy pani też słyszała mojego Dawida?

— Słyszałam tylko Amandę. — Celia chciała zobaczyć jak zareaguje Garrick. Wydawało się jej, że zbladł jeszcze bardziej.

JUDITH O'BRIEN

— Co powiedziała? — spytał. Ponieważ Celia milczała, podszedł do niej bliżej.

— Ona nic nie mówiła, Garricku — wtrącił Brendan. Pan Sweeney załamał dłonie gestem pełnym rozpacz*

— Czy nikt nie zapisze swoich wrażeń?

— Proszę. — Na czole Garricka ukazały się kropelki potu, mimo panującego w salonie chłodu. — Czy mówiła o mnie?

W drzwiach salonu ukazała się ciotka Prudence, a za nią Eileen z tacą.

— Podwieczorek — zaanonsowała wesoło, jakby to było czysto towarzyskie spotkanie. — Proszę mi powiedzieć, panie Sweeney, jeśli dostarczę panu szczegółowych informacji, to czy pan napisze o następnych eksperymentach, które mamy zaplanowane? To byłoby wspaniale!

Rozejrzała się po salonie. Uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy odczuła panujące tam napięcie. Nikt na nią nie zwracał uwagi.

— Proszę mi powiedzieć — nalegał Garrick. — Czy mówiła o mnie?

Celia potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie mówiła. Chciała tylko przekazać wiadomość swojemu bratu, Brendanowi.

— Co to było? — spytał pan Sweeney. — Czy to miało związek z jej śmiercią? Czy to była tajemnica, która spłonęła w ogniu? — Rzucił okiem na Brendana i Garricka. — Przepraszam — dodał.

Celia spojrzała na reportera. To się zamieniło w farsę. Tym razem nie zdołała nikogo podnieść na duchu. Siebie samej też nie. Nikogo również nie przekonała, że to

Medium wszystko było autentyczne. Nie przekonała też Brendan, na czym najbardziej jej zależało.

Miała natomiast pewność, że Garnek Stevens zabił swoją żonę.

— Przepraszam. — Wstała z miejsca. — Muszę się zastanowić.

— Czy to jest konieczne? — spytał Sweeney.

— Co ona powiedziała?! — wykrzyknął Garrick, ocierając pot z czoła.

Dlaczego Amanda nie zwróciła się bezpośrednio do swojego brata? Celia wiedziała, że przecież on niczemu nie uwierzy, jeśli te słowa wyjdą z jej ust. Ale to już nie miało znaczenia.

— Powiedziała, że to nie była twoja wina, Brendanie.

— Co nie było moją winą? — Po raz pierwszy tego popołudnia zwrócił się bezpośrednio do niej, a jego ton nie był oskarżycielski.

— Wtedy, kiedy potknęła się o zaczarowany krąg i zraniła w policzek. Powiedziała, że biegła za tobą i że to była wyłącznie jej wina.

Sweeney był zawiedziony.

— Tylko tyle? Żadnej wypowiedzi w sprawach wielkiej wagi? Siostry Fox zawsze przekazywały pochodzące z tamtej strony orędzie albo jakieś maksymy pełne głębokiej mądrości.

Celia potrząsnęła przecząco głową i spojrzała na Brendana, który siedział przy stole z nieprzeniknioną twarzą.

Wyszła z salonu, nie patrząc na nikogo.

Musi iść na górę, ale nie do swojego pokoju. Musi uciec od nich wszystkich, pomyśleć. ;

JUDITH O'BRIEN

Jedyny pokój, w którym można się było zamknąć, to zagrożone biuro wuja Jamesa. Tam się skierowała, zadowolona, że nikt jej nie zatrzymywał.

Zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. Nareszcie była sama, oddzielona od całego świata.

Gruba warstwa kurzu leżała na stosach książek i wszystkich innych sprzętach. Po śmierci wuja spędzały z ciotką długie godziny w tym biurze, szukając aktu notarialnego domu i innych ważnych dokumentów. Nie znalazły aktu własności, ponieważ wuj zastawił dom. Nie było tam też żadnych istotnych papierów, poza starą rodzinną Biblią, do której wpisano narodziny i zgony kilku pokoleń, i poza listami z kondolencjami po śmierci jej rodziców. Data śmierci wuja Jamesa wpisana była ręką Celi obok daty jego urodzin.

Mieszkała w tym domu od dzieciństwa, ale dopiero teraz zrozumiała, dlaczego wuj tak był przywiązany do tego biura. To było sprytne z jego strony, pomyślała z uśmiechem, że utrzymywał ten mały pokój w tak fatalnym stanie. Nikt nie miał ochoty do niego wchodzić, chyba że szukał schronienia przed ładem, panującym w innych częściach domu.

Celia odgarnęła stertę papierów i opadła ze znużeniem na drewniane krzesło przy biurku. Nie było na nim ani kawałka wolnego miejsca, wszędzie leżały księgi, kawałki papieru, dokumenty, zwoje map, połamane gęsie pióra, puste butelki atramentu. Poplamiona atramentem linijka podtrzymywała jedną z szuflad. Nie dało się jej więc otworzyć, tak samo jak dolnej szuflady poniżej.

Celia zamknęła oczy, krew pulsowała jej w skroniach. Wszystko, czego się ostatnio dotknęła, wszystko kończyło

Medium się fatalnie. Dobrze, że mogła się schronić w tym beznadziejnie zapuszczonym pokoju. —

Powoli ogarniało ją uczucie spokoju. Ten zakurzony pokój miał narkotyczne działanie. Było bardzo cicho, dochodziły jedynie nieliczne, przytłumione dźwięki.

— Moja droga — dobiegł ją cichy szept. Natychmiast rozpoznała ten głos. Wiedziała, że to wuj James; przecież była tu, w jego własnym pokoju, pogrążona w półśnie.

— Och, wujku, Jamesie — powiedziała z westchnieniem. — Dlaczego to zrobiłeś?

W stanie pół snu, pół jawy, w jakim się znajdowała, pytanie to uznała za wystarczające. Wuj James zrozumiał je prawidłowo.

— Nie miałem zamiaru umrzeć, Celio. To był przypadek. Miałem zamiar doprowadzić wszystko do porządku, zanim odejdę.

— Ciotka Prudence ma pretensję do mnie — wykrztusiła.

— Nie, to nieprawda. Zawsze była egoistką, ale ja zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Była wtedy jedną z najpiękniejszych dziewczyn w Nowym Jorku i nigdy nie zrozumiała, że każde piękno przemija. Ona nadal ciebie kocha. Ale teraz czuje się nieszczęśliwa. Odbija na tobie swoje niezadowolenie z życia.

— Aha — wymamrotała półprzutomnie Celia.

— Zanim zaśniesz, posłuchaj mnie, kochanie. W tym biurze jest coś dla ciebie ważnego. Celia uśmiechnęła się lekko.

— Szklany przycisk do papierów z głową indyka?

— Musisz wiedzieć, że to był indyk Benjamina Franklina, ten sam, którego on...

JUDITH O'BRIEN

:—.,■— Przecież wiem. Ten sam, o którym myślał, kiedy chciał, żeby indyk był naszym narodowym godłem. Ale wygrał orzeł. Ciekawa jestem, kto teraz ma ten przycisk?

— Posłuchaj, panienko— powiedział wuj James tym samym tonem, którego używał, kiedy ją musiał skarcić. Już od wielu lat nie nazywał jej „panienką”. — Słuchaj uważnie. Zajrzyj do atlasu, oprawionego w czerwoną skórę.

Celia zapadała już w sen, bezpieczna w zamkniętym na klucz pokoju.

— Czy słyszysz mnie? — wydawało się jej, że to nadal głos wuja.

— Tak, wujku Jamesie, Czerwony atlas.

— To dobrze. Tam znajdziesz klucz. A w tym pokoju, w kanapie, jest ukryte pudełko, do którego ten klucz pasuje. Schowane jest pod deskami, na których leżą poduszki. Czy

śłuchasz, co do ciebie mówię?

Była okropnie śpiąca, a tu wreszcie mogła spokojnie zasnąć.

— Klucz w atlasie — wydusiła z siebie. — Pudełko w kanapie.

— Dobrze — pochwalił ją głos. — Celio?

— Tak?

— Tu jest wielki spokój. Jest pięknie. Twoja matka i ojciec patrzą stąd na ciebie, kochają cię i kierują cię na właściwą drogę.

Kiedy zasnęła, uśmiechała się, a łzy spływały jej po policzkach.

; Obudziło ją pukanie do drzwi. Kiedy otworzyła oczy, było już ciemno. Jak długo spała?

Medium

Po omacku podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Na korytarzu stała Eileen, trzymała w ręku lampę olejną.

— Panienko? To znaczy, pani O’Neal?

— Słucham, Eileen. Musiałam mocno zasnąć.

— Pani Cooper pyta, czy będzie pani jadła kolację.

— Która godzina?

— Dochodzi dziewiąta.

— Czy już wszyscy poszli?

Przede wszystkim chciała zapytać, czy poszedł Bren—” dan, ale wolała nie myśleć, dlaczego to było dla niej także ważne.

— Tak, proszę pani. Wszyscy poszli.

Celia zastanawiała się przez chwilę, co ma teraz zrobić. W efekcie nie pozostało jej nic innego, jak zjeść kolację i iść spać w tym samym łóżku, w którym spędzała noce przez prawie dwadzieścia lat. To znaczy, z dwoma istotnymi wyjątkami.

Spytała jednak:

— A mój mąż? :/■; Eileen wzruszyła ramionami.

— Prawie się nie odzywał. Wyszedł zaraz po tym, jak pani poszła na górę.

— Czy mówił, dokąd idzie?

W wąskim kręgu światła lampy olejnej kładły się jakieś upiorne cienie.

— Nie, proszę pani. Po prostu wyszedł, a za nim wszyscy inni. Pan Stevens był bardzo przybity.

— Niewątpliwie — wycodziła przez zaciśnięte zęby.

— Słucham panią? „•

\\

: *JUDITH O'BRIEN*

— To nic, Eileen. Dziękuję ci. Pójdę z tobą na dół. Rzuciła jeszcze okiem na biuro i zeszła na dół na kolację, zastanawiając się, dlaczego miała taki zdumiewający sen. Brendan wiedział już, że coś było nie w porządku.

Dziwnego zachowania Garricka nie można było dłużej tłumaczyć rozpaczą po stracie żony. To było jeszcze coś innego. Widział wyraźnie panikę na twarzy Garricka, kiedy ten myślał, że Amanda przemówiła zza grobu.

Oczywiście, to wszystko było mistyfikacją, ale reakcja Garricka była autentyczna.

Pozostawała jeszcze sprawa tego, co rzekomo miała powiedzieć Amanda, te ważne słowa zza grobu. Że to nie przez Brendana upadła, będąc dzieckiem.

To zabawne. Czy nie powiedziałyby raczej czegoś na temat ostatnich wydarzeń? Szczególnie na temat własnej śmierci?

To wszystko nie miało sensu. Żadnego sensu.

Po seansie Brendan powiedział, że ma pracę do skończenia, i skierował się do swojego biura przy Water Street, gdzie w podejrzanych gospodach panował już wielki ruch.

Nic dziwnego, że tak mało płacił za wynajęcie tego biura, pomyślał nie pierwszy raz. Już od dawna chodziły legendy o lokalach na Water Street, począwszy od muzycznego baru Joego Allena — było to eleganckie określenie domu schadzek. Mówiono, że Allen, były student teologii, nalegał, aby w każdym pokoju w jego barze była Biblia.

Pomyślał, że jego siostra z pewnością powiedziałyby

Medium coś innego. Może wspomniałaby rodziców albo jakieś inne ważne wydarzenia. Nie mówiłaby o nic nieznaczącym upadku z dzieciństwa, o którym już dawno zapomniał.

Przechodząc obok cieszących się złą sławą lokali na Water Street, Brendan przypatrywał się uważnie przechodniom. W tej dzielnicy trzeba się było mieć na baczności.

Była tam tancbuda, której gości często nawet zabijano. Te drobne niedogodności nie zniechęcały innych amatorów, którzy czekali w długich kolejkach na wątpliwy przywilej dostania się do środka. Prawdę mówiąc, te podejrzane lokale mieściły się w nieszczelnych, byle jak skleconych budach i każda z nich miała swój charakterystyczny zapach.

Teraz przechodził koło gospody, zwanej Dziurą w Ścianie. Chociaż był tutaj nowy, wymieniał już pozdrowienia z właścicielem, Jednorękim Charliem, oraz z jego barmanką, Rozneglizowaną Mag. Jego przyjacielski stosunek do tych ludzi był odruchem samoobrony. Mag, która była o wiele wyższa od Brendana, zdobyła swój przydomek dzięki wynalazkowi w dziedzinie mody. Jej spódnice były zawsze podkasane powyżej kolan. Często uśmiechała się do niego i kiwała zgiętym palcem.

Zawsze odczuwał ulgę, kiedy minął to miejsce, ponieważ wiadomo było, jak brutalnie Mag traktuje tych, którzy nie zyskali jej sympatii.

Za jakiego głupca musi go uważać Celia! Oczywiście, nic go to nie obchodziło. Amanda, która mówiła, jak potknęła się o zaczarowany krąg... Też coś!

Pamiętał ten dzień, kiedy się skaleczyła, po czym została jej mała blizna pod okiem. Kiedy zobaczył krwawia—

JUDITH O'BRIEN cą ranę, wpadł w panikę, ale ona nie płakała, uśmiechnęła się nawet. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że była zadowolona, kiedy się nią zainteresował. Przez cały dzień nie zwracał na nią uwagi, wyraźnie ignorując tę małą dziewczynkę, która chodziła za nim krok w krok. Przeskoczył przez ogrodzenie, a ona chciała pójść za jego przykładem.

To się właśnie tam wydarzyło. Przy murze.

Według słów Celii, Amanda powiedziała, że to nie była jego wina, ale bez wątpienia był winien. Powinien był uważać na swoją siostrzyczkę, opiekować się nią. Ale wtedy starał

się od tego wymigać. Później, kiedy była już dorosłą kobietą, również uchylał się od tego obowiązku, chociaż wiedział, że wyłączony ze świata ojciec również się nią nie zajmuje.

Pochłonięty interesami, Brendan pozostawił innym opiekę nad tą wchodzącą w świat młodą kobietą. W zasadzie byle komu, dalekim krewnym w Londynie i płatnym opiekunkom, których nawet dobrze nie sprawdził, zanim powierzył im swoją jedyną siostrę.

Tę jedyną osobę, której dobro powinno mu najbardziej leżeć na sercu.

Ale tak nie było. Nigdy nic go nie obchodziła, tak było od czasu, kiedy dowiedział się o jej istnieniu. Źle jej życzył, jeszcze zanim się urodziła. Pocieszył się, że zabiorą ją złośliwe duszki, które, jak sobie wyobrażał, przebywały na zamku Sitric. Chciał pozostać jedynakiem. Prosił je, żeby ją zabrały. No i tak zrobiły.

Zabrało im to tylko więcej czasu, niż sobie wyobrażał. Zabrało im to przeszło dwadzieścia lat.

Medium

Ale wywiązały się z zadania. ■::;

Zatrzymał się nagle w odległości kilku kroków od swojego biura. Celia powiedziała, że Amanda przebaczyła mu to wydarzenie, kiedy potknęła się o magiczny krąg. On pamiętał, że to był mur, jedno z wielu kamiennych ogrodzeń na terenie ich posiadłości. Starła się go dogonić, ale nie zwracał na nią uwagi. Dopiero kiedy upadła, odwrócił się niechętnie.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak często prześladowała go pamięć o tym wydarzeniu i o tym, co doprowadziło do upadku siostry. Pamiętał też, jak starał się jej pomóc, pocieszyć tę małą zranioną istotę, tamować krew brzegiem jej sukienki. Martwił się o to, czy nie będzie surowo ukarany.

Już wtedy myślał tylko o tym, jak ten incydent może wpłynąć na jego własne życie. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, że ta rana może pozostawić trwałą bliznę na twarzy siostry.

Nagle ujrzał ją przed sobą, jej brudną, zakrwawioną buzię. Uśmiechała się do niego z takim zadowoleniem, jakby spotkało ją coś bardzo miłego.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, pocałowała go, jej białe ząbki błyskały, kiedy się śmiała.

Wtedy przypomniał sobie. To nie był mur. To był magiczny krąg elfów. Według podań były to miejsca, gdzie mogły gromadzić się duszki, bo krąg osłaniał je przed światem zewnętrznym.

To był magiczny krąg, a on przez te wszystkie lata wyobrażał sobie mur. Bo wtedy właśnie przechodził przez to kamienne ogrodzenie. Amanda biegła za nim i potknęła się o kamyki okalające krąg.

JUDITH O'BmEN

Ale nikt o tym nie wiedział. Powiedział lokajowi Keeneyowi, że to było kamienne ogrodzenie, powiedział ojcu to samo. Tylko jedna osoba zdawała sobie sprawę, że to był magiczny krąg. I to była Amanda.

Nikt inny nie mógł znać tego faktu. Nawet Garrick poznał tę historię według wersji Brendana.

Tylko Amanda wiedziała. I tylko ona знаła wagę swoich słów, wiedziała, jakie poczucie winy mogła wyzwolić ta pozornie nieistotna informacja.

Tylko Amanda.

— Dobry Boże! — powiedział na głos.

Uświadomił sobie coś, o czym już od pewnego czasu wiedział, ale nie chciał się do tego przyznać.

Że Amanda rzeczywiście się pojawiła.

A Celia nie była oszustką. :

O garnęła go zimna furia.

Początkowo miał tylko zamiar przesłać ostrzeżenie, tak jak wtedy, kiedy zginęła Amanda. Teraz miotła nim taka wściekłość, że incydent z Amandą wydawał się błahostką.

To była również jej wina! Przecież strzygła do niego oczami tak samo, jak to robiła Amanda. I tak jak Amanda, której oczy tyle mu obiecywały, zdradziła go. Celia i Amanda należały do tego samego gatunku. To było oczywiste.

Mógł być z każdą z nich szczęśliwy. Był już pewien, że osiągnie szczęście z Amandą,

ale wypowiedziała te wzgardliwe słowa, że nigdy nie mogłaby go pokochać.

Medium

Że kocha innego.

Nie planował tego, ale to się wydarzyło, ten wybuch i pożar. Tym razem będzie inaczej. Teraz to będzie celowe.

Śledził O'Neala na Water Street i wiedział już, że idzie do swojego biura. Budynek ten stał na rogu. To dobrze, bo ogień będzie się szybciej rozprzestrzeniał z pomocą wiatru od strony rzeki.

O tej godzinie ulica była względnie spokojna. Kiedy był już blisko Transportu Morskiego O'Neala, ściskając kurczowo torbę z grubej tkaniny, z pobliskiej gospody wyszło trzech marynarzy.

Przywarł do ściany, chowając się w cieniu. Marynarze byli pijani, prowadzili głośne rozmowy, śmieli się, klepali po plecach, wymieniali informacje na temat kobiet, mówili o Zezowatej Jane i Zwariowanej Mary. Trwało to bardzo długo.

— Szybciej — syknął, chociaż to nie mogło mieć na nich żadnego wpływu. Wreszcie odeszli chwiejnym krokiem, słysząc tylko ich podniesione głosy.

Szczęśliwym zrzędzeniem losu ulica była znowu opustoszała.

Stare drewniane schody momentalnie stanęły w ogniu.

Wtedy rzucił się do ucieczki.

Uzwonki wozów strażackich zbudziły cały dom.

Zaspana Celia przykryła głowę poduszką. Dlaczego wozy strażackie zawsze robiły taki hałas? Wreszcie odjechały, umilkły krzyki strażaków i stukot końskich kopyt.

JUDITH O'BRIEN

JYano, jeszcze przed śniadaniem, Celia weszła do biura wuja Jamesa.

Wiedziała, że to był tylko sen, ale chciała się przekonać, czy nie był to sen proroczy.

W pokoju było chłodno. Dokładnie otuliła się się szalem, rozcierając zziębnięte dłonie.

Atlas oprawiony w czerwoną skórę. Gdzie on był? Widziała go przed kilkoma

miesiącami, kiedy razem z ciotką przeglądała papiery wuja. Pamiętała, że położyła go na półce, był zbyt duży, aby go mogła postawić.

Był tam, gdzie go zostawiła. Poczowała się niespokojnie, kiedy zdejmowała ten brudny i ciężki tom z półki. Wreszcie otworzyła atlas na pierwszej stronie.

Uśmiechnęła się. Nic tam nie było. Tak jak myślała, to był tylko sen. Ale był to bardzo miły sen. Tak wyraźnie słyszała głos wuja Jamesa.

Już miała zamiar odłożyć atlas na półkę, ale na wszelki wypadek jeszcze raz przewróciła karty. W środku tomu było wgłębienie. A w nim klucz.

Zastygła w bezruchu. Możliwe, że już to widziała przedtem i po prostu o wszystkim zapomniała.

To był zwykły, czarny klucz z wyrytą na nim koniczynką.

Spojrzała na kanapę. Czy to możliwe?

Zdjęła poduszki. Teraz musiała wyjąć deski. Nie było to łatwe, ale jakoś dała sobie radę.

Pozostało jej tylko unieść klapę i zobaczyć, czy coś jest w środku. Trochę się tego bała.

Wreszcie uniosła klapę. Zawsze myślała, że spód kanapy jest z litego drewna, ale w środku była pusta przestrzeń, a w niej pudełko.

Medium

Nie było w nim nic szczególnego. Celia pamiętała, że jej ojciec miał takie same metalowe, ognioodporne kasetki. Była to zwykła skrzyneczka, z wypukłym wieczkiem, bez ozdób. Oczywiście, była zamknięta.

Klucz doskonale pasował. Celia otworzyła kasetkę.

Było w niej wiele papierów. Usiadła na krześle przy biurku, z pudełkiem na kolanach.

Na wierzchu był list. Celia od razu poznała charakter pisma wuja Jamesa.

Moja Droga,

Mogę się tylko domyślać, że kiedy będziesz czytać ten list, mnie już nie będzie na tej ziemi. Nie płacz po mnie, żyłem długo i szczęśliwie. A najważniejsze miejsce wśród moich radosnych wspomnień zajmujesz Ty, moja siostrzenico, która byłaś dla mnie czymś więcej niż tylko krewną.

Ale dość już sentymentalnych wzruszeń. Zawartość tej szkatułki pozostawili dla Ciebie Twoi rodzice, żebyś z niej mogła korzystać po ich śmierci. Oczywiście nie otwierałem tego pudełka do czasu, kiedy dowiedziałem się o ich tragicznym losie. Musisz wiedzieć, że bardzo Cię kochali i chcieli Ci zabezpieczyć przyszłość. Dziwisz się zapewne, że nigdy nie wspomniałem o Twoim spadku czy też posagu, jeśli będzie taka Twoja wola. Są trzy powody, dla których utrzymywałem to w tajemnicy. Jednym z nich jest Twoja ciotka Prudence. Bardzo ją kocham, ale nie jestem ślepy na jej wady, a jej główną wadą jest próżność. Uważałaby zostawione Ci pieniądze za swoją prawowitą własność, ponieważ mój dochód nigdy nie zaspokajał jej

potrzeb. Dlatego też nie ujawniłem ani jej, ani Tobie, ani nikomu innemu faktu, że spadek istnieje.

Drugi powód, niestety, już znasz. Jestem poważnie zadłużony. Chociaż mam nadzieję spłacić swoje długi przed śmiercią, istnieje jednak możliwość, że nie zdołam tego zrobić. Pieniądze, które tu znajdziesz, należą do Ciebie, Celio, nie do mnie. Nie używaj ich na spłatę moich długów. Mówię do Ciebie zza grobu, więc posłuchaj mnie, Panienko. Ostatni raz mam okazję, żeby Ci coś nakazać!

Trzeci powód jest trochę niejasny, nawet dla mnie samego. Od dawna zdaję sobie sprawę, że nie chcesz szybko wychodzić za mąż lub też wcale nie. Uważałem więc, że gdyby rozniosła się wieść o Twoim posagu (lub o tym, co z niego pozostało, gdyby odkryła go Prudence), to nie mogłabyś pozostać w wolnym stanie — nie używam słowa „staropanieństwo”, bo go nie lubię. Zamożni i niezamożni dżentelmeni stukaliby do drzwi przez całą dobę, a muszę wyznać, że myśl o tym zamieszaniu wydała mi się nieprzyjemna.

Jeszcze ostatnie słowo. Rozumiem Twoje opory przed wyjściem za mąż. Jednak, moja Droga, poślubienie odpowiedniej osoby, w odpowiednich okolicznościach, może wprowadzić nas w przedsiónek raj. Jeśli znajdziesz miłość, Celio, nie roztrwoń jej, bo jest ona zbyt cennym towarem. Nie roztrwoń miłości, moja Kochana.

Słyszę, że Twoja ciotka szykuje podwieczorek, a Patryk wychodzi na jedno ze swoich sekretnych zebrań. Biedny chłopak nie wie, że jestem świadom jego poczynań, bardzo

świadom! Dobranoc, moja Panienko. Zaslugujesz

Medium na to, aby być szczęśliwa, i mam nadzieję, tak jak Twoi rodzice, że znajdziesz w życiu szczęście.

Celia długo wpatrywała się w list. Nie czytała go ponownie, patrzyła tylko na niektóre słowa. Spadek. Posag.

Wreszcie odłożyła list na biurko. W szkatułce był jeszcze jeden list, z nieznanym jej charakterem pisma.

Najdroższa Celio!

Przykro mi, że tak się stało — jeśli masz ten list w ręku, to oznacza że Twoja matka i ja już rozstaliśmy się z życiem. Proszę Cię, Kochane Dziecko, nie miej do nas pretensji, że podjęliśmy tę ryzykowną podróż — Chcieliśmy koniecznie wrócić do domu, do Ciebie, a jeśli coś nam w tym przeszkodziło, nie było w tym naszej winy. Była to wola Boga, której nie możemy się sprzeciwić. Rośnij szczęśliwie, moja Celio. Twoja matka i ja patrzymy na Ciebie i jesteśmy z Ciebie dumni. Pewnego dnia spotkamy się wszyscy w lepszym świecie. Ale zanim to nastąpi, żyj długo i szczęśliwie. Niech Twoje życie pełne będzie miłości i radości, której zawsze nam dostarczałaś.

Nigdy przedtem nie widziała pisma swojego ojca.

Znowu wpatrywała się w list, w kształt liter. Jej ojciec to napisał.

Coś ją ścisnęło za gardło. Zawsze jej się wydawało, że jej rodzice nie wrócili z podróży, ponieważ nie bardzo tego chcieli.

Teraz wiedziała już, że było inaczej. Oni wszyscy ją kochali, matka, ojciec i wuj James. Jej dzieciństwo nie

było pozbawione miłości, wręcz przeciwnie, miała jej aż nadto. Jej rodzice nadal ją kochali, tak samo jak wuj James. No i ciotka Prudence.

Celia uśmiechnęła się lekko. Ciotka Prudence będzie zawsze ciotką Prudence.

Bez szczególnego zainteresowania wyjęła pozostałe papiery z pudełka. Nie były ważne, teraz miała już prawdziwy spadek — listy. Wszystko inne miało nieomal drugorzędne

znaczenie.

No tak, nieomal.

Pod papierami i jej dziecinnymi rysunkami (jak dobrze pamiętała te rysunki!) znalazła małą szkatułkę z adamaszku. Nacisnęła złoty guziczek i wieczko odskoczyło. Celia gwałtownie złapała powietrze.

Brylantowe kolczyki matki! Doskonale pamiętała ich blask, kiedy zwisały z jej uszu. Były przepiękne, z większym brylantem u góry, a mniejszym na dole. Wszyscy uważali, że zginęły razem z bagażem, którego nie udało się odnaleźć po śmierci jej rodziców, albo też, że matka miała je w uszach, albo...

A one tu były. Pieściła palcami ich chłodną, gładką powierzchnię, patrząc, jak odbijają się w nich promienie słońca.

Kolczyki jej matki. Co za wspaniały skarb, tak nieoczekiwany i tak piękny. Trzymając szkatułkę z biżuterią w jednej ręce, drugą przerzucała papiery. Były to listy kondolencyjne od przyjaciół i krewnych. To było wspaniałe uczucie, móc się dowiedzieć, jak wiele miłości otaczało jej rodziców — i ją samą.

Znalazła jeszcze jedną kasetkę, pokrytą czarnym ak—

Medium samitem. W środku były banknoty emitowane przez Bank Handlowy na Wall Street. Ten bank istniał nadal i świetnie prosperował. Dobra amerykańska waluta. Zaczęła je liczyć, bawiąc się jednocześnie kolczykami.

— To niemożliwe — powiedziała na głos. Musiała źle policzyć. Na pewno źle policzyła. Ponownie wszystko zsumowała. Kolczyki omal nie wypadły jej z ręki.

— Trzydzieści osiem tysięcy pięćset osiemdziesiąt siedem dolarów?

Siedziała oszołomiona, nie ruszając się z miejsca, dopóki nie usłyszała, że na dole podniosła się jakaś wrzawa.

Westchnęła głęboko i odłożyła pudełko na poprzednie miejsce, nie wiedząc, co innego mogłaby z nim zrobić. Wrzuciła kluczyk do kieszonki swojej codziennej, ciemnowiśniowej sukienki, którą nosiła przynajmniej od czterech lat.

Ile sukienek mogłaby teraz kupić?

Co za dziwna myśl!

Musi upłynąć dużo czasu, zanim to wszystko będzie mogła zrozumieć.

Brendan. Pomyślała o Brendanie. „Nie roztrwoń miłości”, pisał wuj.

Wiedziała, że go kocha. Wiedziała to od chwili, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła na progu swojego domu. Byli małżeństwem.

Nie powinna tracić nadziei.

Chciała go zobaczyć. Natychmiast. Była finansowo niezależna i ta świadomość dodawała jej odwagi.

Musi mu jeszcze powiedzieć, że Amanda ich ostrzegęła.

JUDITH O'BRIEN

Może uwierzy i będzie mógł ją pokochać? Spojrzała na obrączkę i ucałowała ją w nagłym odruchu. i

Nieporozumienia, jakie między nimi wynikły, są zwykłą błażostką. Teraz wszystko się zmieni.

Była pewna, że mają tę możliwość. Nie będzie to łatwe, ale...

Z dołu dochodziła coraz większa wrzawa. Co tam się mogło dzieć z samego rana? Może Hannah znowu spaliła tosty, co ciotkę Prudence zawsze doprowadzało do szału.

Wiedziała już, że rodzice ją naprawdę kochali, i nie tylko oni. Teraz zdobędzie miłość Brendana.

Wyszła z pokoju, doprowadzając wszystko do poprzedniego stanu. Nie można już było zignorować tego, co się działo na dole.

W salonie ktoś rozpaczliwie płakał. To była ciotka Prudence. Nie rozpaczała tak od śmierci wuja Jamesa.

— Ciociu Pru?

Kiedy weszła do salonu, Garrick poderwał się z krzesła. Jego blada twarz była umazana sadzą, ubranie podarte i wybrudzone.

Spojrzał jej prosto w oczy.

— Mam straszną nowinę — zaczął.

16 Celia nie mogła w to wszystko uwierzyć. To, co mówił Garnek Stevens, w ogóle nie miało sensu. Był rozkojarzony, stale przeczesywał ręką swoje rzadkie włosy.

— Szedłem do biura na Water Street, aby przejrzeć księgi. To miała być taka niespodzianka. Miałem zamiar wziąć się w garść i doprowadzić wszystko do porządku. Okropnie się zaniedbałem, zrobiłem straszny bałagan w rachunkach. Nie wiem nawet dlaczego. Nigdy nie wykazywałem zdolności do operowania cyframi. Może właśnie dlatego. Chaos, totalny chaos. Miałem dobre wyniki na uniwersytecie, bo tam uczyli tylko teorii. Ale w biznesie... To zupełnie inna sprawa. Nawet najprostsze...

— Ale co się stało? Mówił pan, że w biurze był pożar! krzyknęła Celia.

Ciotka Prudence szlochała na kanapie.

— Rzeczywiście. Pożar. Kiedy tam dotarłem, płomienie buchały już z okien. Starłem się, proszę mi wierzyć,

wszedłem do środka, ale dym był zbyt gęsty. Mój Boże, jak ja chciałem go uratować! Amanda i Brendan! To nie do uwierzenia. W ten sam sposób, w dokładnie ten sam sposób...

Celia słyszała, co mówił, ale nie docierało do niej, jakie te słowa mają znaczenie. Eileen i Patryk stali w drzwiach, a Ginny — młodsza siostra Patryka — trochę z tyłu, razem z Hannah, która zasłaniała ręką usta i patrzyła przerażonymi oczami.

— Celio, on nie żyje! — wykrzyknęła ciotka Prudence i rozpacziała dalej.

— Czy jest pan tego pewien? — Celia zwróciła się do Garricka, nie chcąc jeszcze uwierzyć w to, co usłyszała.

Powiedział, że Amanda i Brendan zginęli w ten sam sposób. To było niemożliwe. Ona by o tym intuicyjnie wiedziała. Odczułaby jakoś tę stratę. Przecież byli małżeństwem, cokolwiek by to miało oznaczać. Istniała między nimi jakaś więź. Całowała ją, i... Wiedziałyby, gdyby nagle umarł.

Czy Amanda nie ostrzegłaby jej przed pożarem?

Spojrzała na ciotkę Prudence, która lamentowała, jakby to jej własne życie legło w gruzach. Właściwie na to wyglądało, z jej punktu widzenia. Brendan był dla niej

ucieleśnieniem spokojnej przyszłości; przecież tak bogaty człowiek nie pozwoliłby, aby jedyna żyjąca krewna jego żony cierpiała niedostatek.

W głowie Celi kłębiły się różne myśli. Czyżby mogła nie wiedzieć, gdyby przytrafiło mu się coś złego?

Nie miała jednak żadnych przeczuć, zanim zginęli jej rodzice. Kiedy przyszła wiadomość o wypadku, była równie oszołomiona, jak reszta rodziny. Właściwie nadal

Medium się z tego nie mogła otrząsnąć. Nie przewidziała również śmierci wuja Jamesa, chociaż był tak bardzo chory.

Amanda nie ostrzegła jej przed pożarem.

Nagle Celia zeszywniała. Dostała ostrzeżenie.

Miała nie opuszczać Brendana ani na chwilę. Nie zlekceważyła tej rady, ale nie mogła się do niej dostosować. Kiedy zjawa pojawiła się podczas ślubu, wyglądała przerażająco — powyginana, poskręcana sylwetka.

To również było ostrzeżenie.

— Jadę na miejsce— oznajmiła Garrickowi, zrzucając *” szal i kierując się w stronę wieszaka.

— To nie jest dobry pomysł — powiedział Stevens. To może być przerażający widok.

— Czy coś znaleźli? Czy jest jakiś dowód na to, że coś mu się stało? Mogło go tam wcale nie być.

— Kiedy stamtąd odchodziłem, jeszcze się żarzyło. Nikt nie mógł wejść do środka. Proszę panią, pani O’Neal. Oni będą go teraz wyciągać i...

— Jadę.

Garnek ruszył za nią, chciał ją złapać za rękę, ale zatrzymał się w pół kroku.

— Proszę, niech się pani na to nie naraża. Proszę mi pozwolić sobie pomóc. Chciałbym panią wyręczyć w tym smutnym obowiązku.

— Czy był pan w pensjonacie na King Street? — Celia wiązała pod brodą wstążkę od kapelusza, ale palce odmawiały jej posłuszeństwa.

— Naturalnie. Nie było go tam.

— Co robiłby w biurze o tej godzinie? To przecież nie ma sensu.

JUDITH O'BRIEN

— To moja wina. Zrobiłem taki bałagan w księgach, że nic nie można z nich było zrozumieć. Nie pamiętam nawet, co robiłem, dlaczego podejmowałem takie decyzje. Brendan wiedział, że czeka go wiele pracy.

Garrick wydawał się bardziej przejęty fatalnym stanem rejestrów Transportu Morskiego O'Neala niż przypuszczalną śmiercią swojego szwagra. Dlaczego tak się martwi o księgi, które i tak spłonęły?

To również nie miało wielkiego sensu.

Celia wiedziała, że musi tam pojechać i zobaczyć wszystko na własne oczy.

— W takim razie pojedę z panią, pani O'Neal — zdecydował Garrick.

Celia widziała jego błyszczący wzrok i papierową cerę. Czowała się przy nim niezręcznie nawet we własnym domu, nie mówiąc już o wyprawie przez całe miasto. Coś z nim było nie w porządku.

Może ją zamorduje, tak jak zamordował Amandę?

— Dziękuję za propozycję — powiedziała chłodnym tonem — ale wolę jechać sama.

— W takim razie zostanę tutaj. Może będę mógł być pomocny.

Zostawienie Garricka w domu wydało się jej jeszcze bardziej przerażające.

— W gruncie rzeczy — uśmiechnęła się uroczo — miło mi będzie w pana towarzystwie.

Sprawiło mu to wyraźną przyjemność. Celia doszła do wniosku, że nie ośmieli się zrobić jej krzywdy w mieście, w biały dzień.

Ciotka Prudence, nadal pogrążona w żałobie, przykryła

Medium teraz twarz czarną woalką, elementem stroju żałobnego, który sprawiła sobie po śmierci wuja Jamesa.

Celia chciała jak najszybciej opuścić ten dom, zanim zawieszą na nim czarne chorągiewki i wieniec żałobny.

Dzień był pochmurny, mgła wisiała nad parkiem. Garrick rozglądał się w poszukiwaniu

powozu, a Celia spoglądała na park — niektóre zwirowe ścieżki obramowane były metalowymi ogrodzeniami. Zanim jeszcze zamieszkała na Washington Square, powstał pomysł, aby w parku odbywały się parady wojskowe. Zapomniano jednak o tym, że miejsce to było kiedyś cmentarzem, gdzie chowano zwłoki bezdomnych. A nawet jeśli o tym pamiętano, to nikt nie miał dość wyobraźni, aby pomyśleć, jaki skutek może mieć przemarsz setek żołnierzy po płytko wykopanych grobach.

W efekcie uczestnicy parady w galowych strojach zapadali się w ziemię, krzycząc z przerażenia. Dlaczego teraz przyszło jej to do głowy?

Garrick miał kłopoty ze znalezieniem powozu. Dziwne, że sprawiało mu to tyle trudności; na wezwanie Brendana powozy natychmiast się zatrzymywały.

Wreszcie, omal nie wpadając pod koła, Garrick zatrzymał jakiś wolno przejeżdżający pojazd.

Nieudolnie pomógł Celi wsiąść.

Czy to możliwe, aby ktoś tak słaby fizycznie mógł zabić swoją żonę?

Celia usadowiła się w powozie, a on wsiadł z drugiej strony.

Zapalenie zapalki nie wymagało siły, szczególnie jeśli palniki gazowe były poodkręcane. *

JUDITH O'BRIEN

— Water Street róg Dover— nieśmiało podał adres. Stangret wahał się przez chwilę. Ta dzielnica nie miała dobrej sławy. Wreszcie strzelił z bata i ruszyli.

Jazda z Brendanem wyglądałaby zupełnie inaczej. On umiał radzić sobie w każdej sytuacji. Celia nawet fizycznie odczuwała tę różnicę. Garrick zajmował w powozie znacznie mniej miejsca.

Na wspomnienie o tym, jak usiłowała odsuwać się od Brendana, opierając się o drzwi powozu, uśmiechnęła się mimo woli. Chociaż tak się kurczyła, nie mogła uniknąć fizycznego kontaktu z tym barczystym mężczyzną, nie czuć ciepła jego ciała.

Stevens był niespokojny, bezustannie zakładał nogę na nogę, obciągał mankiety, wyglądał przez okno. Potem zaczął wyciągać nitkę ze spodni.

Kiedy już uporał się z nitką, zajął się łokciem marynarki. Pilnie tam czegoś wypatrywał, wyginając się na wszystkie strony.

Biedna Amanda, pomyślała Celia. Wyjść za mąż w tak młodym wieku i zamiast oblubieńca ze swoich marzeń, znaleźć tego dziwnego, nudnego osobnika. I zginąć przez niego.

Przy inspekcji swojej garderoby Garrick tak się przechylał, że jego ręka znalazła się tuż przed twarzą Celi.

— Przepraszam! — powiedziała, nie mogąc dłużej tego znieść.

Spojrzał na nią pytająco.

— Och, proszę mi wybaczyć.

I to był kiedyś najlepszy przyjaciel Brendana?

Medium

Wreszcie się uspokoił, więc Celia mogła zebrać myśli i przygotować się na to, co ją czeka.

Przejeżdżali teraz przez ponure uliczki, zabudowane rozlatującymi się drewnianymi domkami. W większości z nich mieściły się gospody, których drzwi były szeroko pootwierane mimo panującego chłodu. Celia poczuła nagle specyficzny zapach zwęglonego drewna, popiołu i tę duszącą wilgoć, która świadczy o świeżo ugaszonym ogniu.

Powóz zatrzymał się. Celia wysiadła, nie czekając na pomoc Stevensa.

Na narożnym placu leżały zwały drewna.

— Tu było biuro — objaśnił niepotrzebnie Garnek. Celia zobaczyła potężnego mężczyznę w strażackim mundurze, który rozrzucał nadpalone deski i wydawał polecenia, gdzie jeszcze lać wodę.

— Proszę pana — zwróciła się do niego.

Olbrzym odrzucił ją uważnym spojrzeniem. Był mocno zbudowanym mężczyzną, bardzo wysokim, a w hełmie strażackim mierzył prawie dwa metry.

— Tak? — odezwał się, ale zaraz zajął się czym innym. Nie, nie, McBride. Nie w ten

sposób. Całym wiadrem. I znowu zwrócił się do Celi: — Tak?

Na jego hełmie widniał napis „Americus Engine Company” i wizerunek bengalskiego tygrysa z obnażonymi zębami i wyciągniętymi pazurami.

— Przepraszam. — Celia musiała wysoko zadzierać głowę. — To było biuro mojego męża i...

— Ale kto... — nie dokończył.

— Celia — odpowiedziała. — ‘r ; ‘ l

JUDITH O'BRIEN

— Pani mąż ma na imię Celia?

— Nie, nie, proszę pana. To ja jestem Celia O'Neal. Czy panowie...

Odwrócił się od niej i zaczął wydawać polecenia innym strażakom. Był młody, zapewne w wieku Celi, a zachowywał się tak arogancko.

Spojrzała na Garricka, który stał z rękami w kieszeniach i patrzył na zgliszcza.

— Przepraszam. — Celia szła za olbrzymem. Podszedł do niego inny człowiek.

— Szefie, znalazłem to.

Bez wahania wziął przedmiot i schował go do kieszeni.

— Proszę pana — powiedziała Celia lodowatym tonem. Czy to pana własność?

Popatrzył na nią i uśmiechnął się szeroko.

— Teraz już tak.

— Chodzi o mojego męża — powiedziała, coraz bardziej zła na tego mężczyznę. — Czy znaleźliście kogoś?

Uśmiech nie zniknął z jego z twarzy.

— Aha, to pani pewnie nie wie, gdzie on był w nocy? Może pani być spokojna, nie znaleźliśmy żadnego ciała. Budynek był pusty.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak okropnie się bała. A więc Brendan żył!

Zamknęła na chwilę oczy i bezgłośnie odmówiła modlitwę. Teraz już mogła swobodnie oddychać.

— Myślę, że to jest dobra wiadomość — powiedział. Skinęła głową. Ten niemiły

mężczyzna wydał jej się teraz wspaniałym człowiekiem. Co z tego, że przywłaszczył sobie jakiś przedmiot.

Medium

Przypatrywał jej się uważnie. Oceniał jej regularne rysy, piękną cerę, radośnie błyszczące oczy i wspaniałe włosy.

— W przyszłym roku startuję w wyborach na zastępcę radnego — oznajmił.

Po usłyszeniu tej nowiny Celia już miała odejść, zatrzymała się jednak.

— Mówiłem, że w przyszłym roku wystąpię o mandat zastępcy radnego z siódmego okręgu — powtórzył dumnie. — Niech pani powie mężowi, że Wielka Szóstka szybko ugasiła ogień. Niech mu pani powie, żeby głosował na mnie.

Skinęła głową.

— Tak nas nazywają, Wielką Szóstką. Oddział straży pożarnej numer sześć, pod nazwą Americus Engine Company. To był mój pomysł. Tygrysy też.

Co to za dziwny człowiek! Tłuste policzki na podłużnej twarzy, małe, zapadnięte oczka, nos jak pomidor, rzadka bródka.

Celia uśmiechnęła się. Pomyślała, że nie wszyscy potężni mężczyźni robią na niej wrażenie. Jak Brendan.

Przyszły radny odpowiedział uśmiechem, sądząc, że Celia wdzięczy się do niego.

— Dziękuję pani! Proszę nie zapomnieć. Nazywam się Tweed. William M. Tweed. Proszę powiedzieć mężowi, żeby na mnie głosował.

— Szefie! — zawołał kolejny strażak.

Brygadzysta Tweed z oddziału straży pożarnej numer sześć poszedł do swoich ludzi, zadowolony z kolejnego podboju. Tym razem była to urocza pani O'Neal.

JUDITH O'BRIEN

Cjarricki wydawał się zdziwiony, że Brendan nie zginął.

— Ale te płomienie— powtarzał. — Sięgały powyżej dachów. Jak to możliwe, że ocalał?

— Ponieważ wcale go tam nie było. — Celia mówiła to już po raz trzeci. — Po prostu nie było go w biurze. Dlatego musimy go poszukać. On może nie wiedzieć, że wasze biuro spłonęło. Przedtem to on szukał pana, a teraz my jego.

Myślała, że Garrick powie jej, co się z nim działo przez cały ten czas, ale podstęp się nie udał.

Potrząsnął głową i dalej wyglądał przez okno powozu.

— Ale te płomienie...

— O Boże — westchnęła Celia.

Zwrócił się do niej z żalnym uśmiechem. •

— On mnie szukał? Martwiliście się o mnie? Ale te płomienie... — powtórzył.

Celia zastanawiała się, czy Garrick nie prowadzi j akiej ś gry, aby udowodnić swoją niewinność, chociaż nikt go \ jeszcze o nic nie oskarżał. Było również możliwe, że 1 rzeczywiście pomieszało mu się w głowie. Rzuciła mu kilka ukradkowych spojrzeń. Nadal robił wrażenie niespokojnego, chociaż nie wiedział, że jest obserwowany. Już się go nie bała. W tym stanie nie mógł nikomu zagrażać. Najwyżej samemu sobie.

Pojechali do Astor House, ale powiedziano im, że Brendana od dawna nie widziano w hotelu. Poznał ją recepcjonista, ten sam, od którego usiłowała wtedy wydostać adres męża. W pewnym momencie Garrick oświadczył, że jest bardzo zmęczony. Celia nie miała powodu,

Medium aby mu nie wierzyć, został więc w swoim luksusowym apartamencie w hotelu.

Było słoneczne popołudnie, wszystkie chmury zniknęły, Celia postanowiła iść piechotą do pensjonatu na King Street. Na miejscu sama pani Harrison, w sukni z niebieskiej tafty, otworzyła jej drzwi. Kiedy poznała Celię, powitalny uśmiech zniknął z jej twarzy.

— Pani O'Neal — powiedziała z naganą w głosie.

— Pani Harris — powtórzyła Celia. — Czy zastałam pana O'Neala?

— Nie, nie ma go.

Celię ogarnęło przerażenie. A może rzeczywiście coś mu się przytrafiło? Może strażacy nie odnaleźli ciała? Może leżał gdzieś pod zwałami drewna, które rozrzucał Tweed?

— Pan O’Neal wyszedł dziś rano zaraz po śniadaniu oznajmiła z triumfem pani Harris.
— Całą noc spędził w pensjonacie. Bardzo mu smakowało śniadanie, pani O’Neal...

Celia rzuciła się jej na szyję.

— Dziękuję pani. Dziękuję. — Łzy spływały jej po policzkach. — Spędził tu całą noc?

— Oczywiście. — Pani Harris była zaskoczona.

— Czy nie wie pani przypadkiem, gdzie poszedł po śniadaniu?

— Nie. Wiem tylko, że wziął ze sobą jakąś wielką księgę i ołówek.

— Dziękuję pani, pani Harris.— Celię przepelniało uczucie radości.

10 — Medium

JUDITH O’BIEN

.Drendan siedział na wzgórzu i patrzył na Hudson River. „>■■■■■

Nie mógł się nadziwić, że można było dojść piechotą do tak pięknego i spokojnego miejsca. Był to długi spacer. Wydawało się, że miasto jest odległe o setki kilometrów. Tutaj słyszał tylko śpiew ptaków, beczenie owiec i szczekanie psów.

Leżał na plecach, wystawiając twarz do słońca, i czuł się wspaniale.

Po chwili wziął do ręki swoje notatki i zaczął czytać wpis z poprzedniej nocy. Siedział nad tą księgą do świtu. \ Patrzył na dwie kolumny. i

„Co wiem” i „Czego nie wiem.”

W pierwszej kolumnie zapisał, że Amanda mu przebaczyła, że Celia rzeczywiście przywołała ducha jego siostry. Napisał tam również, że śmierć Amandy nadal budziła wątpliwości, że Garrick dziwnie się zachowuje, że księgi Transportu Morskiego O’Neala były w rozsypce i że w tej chwili nic go to nie obchodzi.

A na końcu listy — że kocha swoją żonę.

Uświadomił to sobie tak nagle, że zabrakło mu tchu. j To wspaniałe, czyste uczucie oładnęło nim nie gdzie >,\ indziej, tylko na obrzydliwej Water Street, kiedy szedł jj do biura. \ 1

W takiej chwili nie chciał zajmować się interesami, i] Wrócił do pensjonatu, aby wszystko przemyśleć.] jj

Różne obrazy przesuwają mu się przed oczami. Celia] \ uśmiechająca się do niego w Astor House. Celia w ślubnej \ j sukni. Celia czekająca na niego w pensjonacie. ii

Zawsze Celia.]]

lj

Medium „„•—..

Zaczął czytać listę z kolumny „Czego nie wiem”.

Dlaczego zginęła Amanda? Gdzie podziewał się Garnek? W jaki sposób uda mu się zaprowadzić porządek w księgach w nowojorskim biurze?

Wreszcie, czy nie jest za późno na to, aby Celia go pokochała?

To pytanie nie dało mu spać aż do świtu.

Zachowywał się względem niej potwornie. Nigdy przedtem nie był dla nikogo tak okrutny. Przerażony własną brutalnością, chciał jej wytłumaczyć, że to nie jest jego prawdziwa natura.

Prawdziwy Brendan był zawieszony w próżni pomiędzy dzieciństwem a chwilą obecną. Sam dobrze nie znał prawdziwego Brendana. Pojawiał się na krótko, aby znowu zniknąć. Celia też widziała go przez chwilę.

Coś się jednak zmieniło. Czuł się wyzwolony po tym, co powiedziała Amanda, a teraz był również pewien, że były to jej słowa. Poczuł ulgę, że Amanda, gdziekolwiek jest, nie gardzi nim, chociaż nigdy przedtem o nic go nie oskarżała. On sam nie pozbedzie się nigdy poczucia winy, ale mimo to poczuł się wolny.

I po raz pierwszy, jak daleko sięgał pamięcią, nie pogardzał sobą.

To był właśnie powód, że tak haniebnie traktował Celię. Kiedy widział w jej oczach wyraz czułości i przebaczenia, a czuł, że na to nie zasługuje, tym bardziej zamykał się w sobie.

Najłatwiej było nie zastanawiać się nad niczym i zachowywać się podle, chociaż nie zawsze łatwo mu to przychodziło. Kiedy czasami odzywał się w nim praw—

i

JUDITH O'BRIEN dziwy Brendan, pragnął, aby taka chwila trwała wiecznie. Najmniejsza oznaka czułości, a Celia promieniała. Tak mogło być zawsze, jeśli to byłoby

możliwe.

Potem zawsze mścił się na niej za te krótkie chwile i znowu był bezlitosny.

Zamknął księgę i popatrzył na rzekę, na płynące po niej łodzie i statki.

Powróciło natarczywe pytanie.

Czy nie jest już za późno?

17 lym razem Celia nie miała oporów przed powrotem do domu. Nie miała się czego wstydić, nie musiała chodzić ze zwieszoną głową. Brendan żył i był bezpieczny.

Na widok domu ogarnął ją pusty śmiech. Ciotka Prudence nie marnowała czasu. Dom obwieszony był czarnymi chorągiewkami, na drzwiach umieszczono ogromny wieniec żałobny. Celia zaczęła zrywać te dekoracje, drzeć chorągiewki.

Właśnie zdejmowała wieniec, kiedy w drzwiach ukazała się ciotka Prudence, spowita we wdowie szaty.

— Celio! — syknęła. — Jak ci nie wstyd! W twoim krótkim związku z panem O’Nealem nie brakowało nieporozumień, ale to nie zwalnia cię od obowiązku, aby przyzwoicie się zachowywać.

— Ale on żyje, ciociu Pru. — Celia uśmiechnęła się do niej radośnie. — Nie było go wtedy w biurze, był w pensjonacie.

JUDITH O’BIEN

!—Jesteś tego pewna?

— Oczywiście. Pani Harris powiedziała mi, że zjadł z apetytem śniadanie.

— Jesteś pewna, że on żyje? Celia wchodziła już do hallu.

— Naturalnie. Jak inaczej mógłby jeść śniadanie? Ciotka Prudence ściągnęła czarny, koronkowy czepek.

— Nie wiem. Biorąc pod uwagę te wszystkie dziwne rzeczy, które tu ostatnio miały miejsce, nie wydaje mi się, aby fakt, że ktoś umarł, miał mu przeszkadzać w codziennych czynnościach. Idę się położyć. — Ciotka z trudem wchodziła po schodach.

W drzwiach kuchni ukazała się Eileen, również ubrana na czarno.

— Tak mi przykro, proszę pani — zaczęła.

Zanim zdołała dokończyć, ktoś zastukał do drzwi. Eileen poszła otworzyć. Na widok gościa na jej twarzy pojawił się wyraz lekkiego zaskoczenia.

— Pani zmarły mąż przyszedł z wizytą — powiedziała i wróciła do kuchni.

— Co ona mówiła? — spytał szorstko Brendan O’Neal, wchodząc do holu.

Jak wspaniale wyglądał! Celię zachwycała nawet jego szara peleryna i kapelusz, który trzymał w ręce. Jego rudawobrązowe włosy były rozwichrzone, jeden kosmyk opadał mu na czoło.

Stwierdziła ponownie, że jest niezwykle przystojny. Nawet zbyt duży nos doskonale pasował do jego twarzy. Brendan zdjął pelerynę i zawahał się, czy ma podejść do wieszaka.

Medium

Celia miała ochotę rzucić mu się w ramiona, ale zdołała tylko potakująco skinąć głową.

— Witam panią— powiedział. Czy zawsze miał tak promienny wzrok? — Nie dokończyliśmy naszych interesów.

Och, nie, pomyślała, starała się jednak nie zdradzić, że ogarnęło ją przerażenie. On chce odjechać. Jak najszybciej anulować małżeństwo.

— Chodzi o naszą umowę — ciągnął. Celi zaświtała nadzieja.

— Słucham? — Starowała się być równie zasadnicza jak on. Wiedziała już, że nie lubił, kiedy była zbyt łagodna.

— Rzecz w tym, że chociaż pani seanse mogły wywierać duże wrażenie, problem mojego szwagra nie został rozwiązany.

— Ma pan rację! — Celia gwałtownie powściągnęła swój entuzjazm. — Oczywiście ma pan prawo wymagać czego innego. Musimy się tym zająć, prawda?

— Tak — przyznał. — Oczekuję, że pani podejdzie do sprawy poważnie.

— Naturalnie.

— Nie można tego robić w pośpiechu.

— Nie, to byłoby okropne.

Każde z nich kierowało wzrok w inną stronę, aby nie patrzeć na siebie wzajemnie. Brendan zajęty był oglądaniem poręczy i zastanawiał się, czy nie zacząć liczyć pnących się

w górę tralek. Celia skoncentrowała się na stojaku na parasole, który podobno pochodził z Chin.

Czy w Chinach używano parasoli?

— Myślę, że.... — zaczęła. : *

JUDITH O'BRIEN

— Powinniśmy... — odezwał się jednocześnie.

— Proszę mówić — uprzejmie zaproponowali oboje. Brendan uśmiechnął się, a ona odwzajemniła ten uśmiech, nie pamiętając, jak bardzo tego nie lubił.

— No tak. — Nadal nie patrzył na nią. — Może w Zielonej Księdze znajdziemy jakąś wskazówkę.

— Też o tym myślałam. — Starła się mówić swobodnie, chociaż nie było to wcale łatwe.

— To dobrze. — Dopiero teraz spojrzał na nią. — Martwię się o niego. — Nie było już agresji w jego głosie.

— Wiem — odpowiedziała. Chciała położyć mu rękę na ramieniu, ale bała się to zrobić. — Chciałam panu zadać trudne pytanie.

— Czy chodzi o to, że Garnek mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Amandy?

— To jest... — Nie dokończyła zdania. — Skąd pan wie?

— Ponieważ nad tym samym się zastanawiałem. To jest okropne przypuszczenie, prawda? Jak z tragedii greckiej.

Nadal stali w hallu. Celia zauważyła jakiś ruch w salonie. Ktoś tam sprzątał, ale nie widziała kto.

— Może przejdziemy na górę, do biura mojego wuja. Tam jest spokojnie i tam trzymam Zielone Księgi.

— Świetny pomysł. — Dał jej znak, żeby szła pierwsza. Celia czuła się okropnie skrępowana, wiedząc, że on idzie tuż za nią po schodach i obserwuje jej ruchy. Była trochę zdyszana, kiedy doszli do trzeciego piętra.

— To tutaj. — Jedną ręką przytrzymała drzwi, a drugą odgarniała włosy z czoła.

Spojrzał na nią z niepewną miną, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie odezwał się. ?

Medium

■ Wszedł do biura wuja Jamesa.

— Straszny tu bałagan. — Celia ominęła jakieś pudło. — Może pan zrobić sobie miejsce w tamtym rogu, przy wypchanej sowie.

Zastosował się do polecenia.

— Proszę mi powiedzieć — spytała, kiedy już się usadowił — czy pan myśli, że to Garnek?

— Nie wiem — powiedział. — Jednego dnia jestem tego pewien, a innego wydaje mi się to niemożliwe. Wiem, że on zadaje się z jakimiś ludźmi i chce to utrzymać w tajemnicy.

— Naprawdę?

— Ponadto mam przeczucie, że wasz Patryk też coś o tym wie.

— Patryk? i — Tak. Spytałem go o Garricka i on sugerował, że... Celia aż podskoczyła.

— List wuja Jamesa! — zawołała.

— Jaki list?

Zawahała się przez chwilę. Siedział tak blisko miejsca, gdzie znajdował się jej skarb, jej jedyne zabezpieczenie na przyszłość. Był jej mężem, więc pieniądze w szkatułce, listy i kolczyki jej matki stanowiły jego własność.

Ale ta sprawa była zbyt ważna. Mogła pomóc rozwiązać zagadkę śmierci Amandy.

■—• .

— Celio? ■ ■',—.';■.,■■ „? ‘ ,’. ‘— . ^.— . :.—: ^yl’. Uśmiechnęła się. . ;,’
Wyjęła kluczyk z kieszonki.

— Przepraszam. — Przechodząc, dotknęła jego kolan, więc wstał, nie wiedząc, gdzie ma się podziać.

Zdjęła poduszki, usunęła deski i wydostała szkatułkę.

JUDITH O'BRIEN

Czekał spokojnie, zdziwiony, aż Celia otworzy pudełko i wyjmie list wuja.

— Zaraz. Chwileczkę— rzuciła, przeglądając dokument. — Tutaj. Wuj pisze o zebraniach, na które chodzi Patryk. On wiedział, co się tu działo.

Brendan patrzył na nią. Tak bardzo chciał być bliżej niej, poczuć ciepło jej ciała. Wreszcie spojrzął na list.

— Ma pani spadek — powiedział swobodnym tonem.

— Tak — przyznała. — Dowiedziałam się o tym dopiero dziś rano. Odziedziczyłam ponad trzydzieści tysięcy dolarów i brylantowe kolczyki mojej matki.

Nie odezwał się. Zacerpnęła tchu i dodała

— Prawnie to wszystko należy do pana.

Przeniósł wzrok na jej twarz, która znajdowała się tak blisko. Pogładził ją czule po policzku, nie mogąc się powstrzymać od tego gestu.

— Celio — powiedział — nie przyszłoby mi nigdy do głowy, żeby z tego skorzystać. To należy do ciebie.

— Ale pan jest do tego uprawniony — powtórzyła. Może jej dobrze nie zrozumiał.

Potrząsnął przecząco głową.

— To są twoje pieniądze— powtórzył i powrócił do studiowania listu, a ona zastanawiała się, kim jest prawdziwy Brendan O’Neal.

^/ariim się rozstali, uzgodnili, że tego wieczoru trzeba będzie śledzić Patryka, który właśnie dziś miał wolne.

Medium

■—>•:— Więc spotkamy się tutaj— szepnęła, podając mu kapelusz i rękawiczki. h
■< ;v. <

— Nie, Celio. Pójdę sam. To może być niebezpieczne.

— No, właśnie. Będziesz mnie potrzebował dla ochrony. Z ledwością powściągnął uśmiech.

■ ‘■::— Nie będziemy się o to sprzeczać, Celio.

— Ja się nie sprzeczam. Idę z tobą.

— Nie.

— Brendan, jestem mieszkanką Nowego Jorku. Wiem, jak śledzić kogoś, nie będąc widzianą. Jak myślisz, w jaki sposób znalazłam cię w pensjonacie pani Harris?

— Myślę, że podałaś list recepcjoniście, a potem szłaś za posłańcem z Astor House.

— Właśnie... Skąd o tym wiesz?

— Zgaduję. — Uśmiechnął się szeroko.

— Proszę. Pozwól mi iść. Wycofam się, jeśli będzie mi groziło jakieś niebezpieczeństwo.

Zastanawiał się przez chwilę. A jeśli rzeczywiście było już za późno, jeśli zniszczył ostatnią szansę na ich wspólne szczęście?

Mogła to być ostatnia okazja, żeby mogli być razem.

— Dobrze — zdecydował. — Ale gdyby groziło niebezpieczeństwo...

— Ucieknę.

Tym razem nie mógł już pohamować uśmiechu, a ona cała się rozpromieniła.

— Gdzie teraz idziesz? — próbowała się dowiedzieć.

— Do biura. Księgi są w okropnym stanie i... o co chodzi?

— Mam złą nowinę.

— Jaką nowinę? k

JUDITH O'BRIEN

— Wczoraj wieczór, kiedy byłeś w pensjonacie, biuro na Water Street doszczętnie spłonęło.

— Żartujesz?

— Ależ skąd.

— Już prawie tam byłem. — Spoważniał. — W ostatniej chwili postanowiłem wrócić do pensjonatu. A już wchodziłem na schodki.

— Czy myślisz, że Amanda mogła cię ostrzec?

— Nie wiem. — Potrząsnął głową, pogrążony w myślach. Położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała cichym głosem:

— Garrick przyszedł rano, aby nas zawiadomić. Twierdził, że bezskutecznie usiłował

cię ratować.

— Cóż, u licha, miałby robić na Water Street o tej porze?

— Podobno chciał pracować.

— Garrick?

Skinęła potakująco głową.

Stał zamyślony, a po chwili zwrócił się do niej.

— Celio, kiedy przyszedł Garrick i powiedział ci o pożarze, czy myślałaś, że ja...

Instynktownie chwyciła go za rękę.

— Tak — wyszeptala. — Początkowo tak myślałam. Dużą, silną dłonią dotknął jej policzka. Zanim zdążył spytać, jak się wtedy czuła, pocałowała tę dłoń. Miała oczy pełne łez.

Głośno przełknął ślinę.

— Dziękuję ci — powiedział prawie niedosłyszalnie. Kiedy wkładał kapelusz i rękawiczki, miał już wesoły uśmiech na twarzy.

— Ma to swoją dobrą stronę — rzucił, jak gdyby nic

Medium między nimi nie zaszło. — Te książki były okropnie zabałaganione. Teraz będzie o wiele łatwiej.

Z tymi słowami wyszedł.

Celia patrzyła za nim; obserwowała jego zamaszysty chód. Widziała człowieka, który przed chwilą dowiedział się, że ktoś usiłował go zabić poprzedniego wieczoru i że tym kimś był najprawdopodobniej jego najbliższy przyjaciel, jego szwagier, który był również mordercą jego siostry. A szedł tak dziarsko, jakby przed chwilą dostał skarb.

Nie wiedziała, że tak właśnie się czuł.

1 rzymała się blisko niego, kiedy szli za Patrykiem krętym szlakiem po górnym Manhattanie, przechodząc przez pola uprawne, czasem mijając bardziej okazały dom, krążąc pomiędzy szopami i starymi chatkami.

Patryk parę razy obejrzał się do tyłu, jakby czuł, że jest śledzony. Wtedy chowali się za drzewo lub udawali, że wchodzi do gospody. Wreszcie dotarli do starego domu. Był

rzęsiście oświetlony, widać było, że jest w nim wiele osób. Patryk podszedł do drzwi, zamienił kilka słów ze stojącym w progu mężczyzną i wszedł do środka.

— Co to może być? — spytała szeptem.

— Nie mam pojęcia.

Widzieli idących mężczyzn, którzy kryli się za wysokim żywopłotem, zanim dotarli do drzwi. Kilku z nich zatrzymało się, rozmawiając dość głośno. Brendan nachylił się do jej ucha. *..■•.* — To Irlandczycy. v , —

JUDITH O'BRIEN

3 — Skąd wiesz? — spytała. Widziała, jak mu oczy błyski* czą w ciemności. — No tak, naturalnie — dodała.

— Zostań tutaj. Ja spróbuję tam wejść. ■'•• — Pójdę z tobą. > — Tam nie ma żadnych kobiet. Zostań tutaj. ?.

Nie protestowała. Sama widziała, że tylko mężczyźni szli krętą ścieżką koło ogrodzenia, niemalowanego od zamierzchłych czasów.

Patrzyła na Brendana. Szedł pewnym krokiem. Zamienił kilka słów ze stojącym przy drzwiach mężczyzną i natychmiast został wpuszczony do środka.

Postanowiła sprawdzić, co się tam dzieje.

Starając się robić jak najmniej hałasu, podkrađła się do najbliższego krzaka. Napływali kolejni przybysze. Teraz wyraźnie słyszała ich głosy.

Jeszcze kawałek, pomyślała.

Szybko przemknęła w stronę domu. Stała teraz przy samym oknie. Przez grubą, brudną szybę widziała tylko zamazane sylwetki i mgliste światło latarni. W pokoju stało kilka krzeseł, na których nikt nie siedział. Zgromadzeni tam mężczyźni przechodzili właśnie do środkowego pomieszczenia.

Ale z tego miejsca niewiele widziała.

Przeniosła się do innego okna, skąd mogła zajrzeć do tamtego pokoju. Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do migotliwego światła latarni, zauważyła Patryka. A może tylko jej się tak wydawało.

Po chwili dostrzegła Brendana. Był wyższy o głowę od większości mężczyzn, więc choć starał się nie zwracać na siebie uwagi, nie miał na to szans.

Słyszała teraz wyraźnie rozmowy. Mowa była o wol—

Medium ności, klęsce głodu i o rewolucji. Ktoś wymienił nazwisko Daniela O'Connella, co spotkało się z ogólnym aplauzem. Ktoś inny zawołał „Brian Boru”, co wywołało jeszcze większą owację. Celia pomyślała, że w tym towarzystwie o wiele lepiej być nieżyjącym królem irlandzkim niż żywym irlandzkim politykiem.

Garricka jednak nie było wśród zgromadzonych. Dokładnie przyglądała się wszystkim twarzom, zwracała uwagę na każdą przygarbioną sylwetkę, ale go nie dostrzegła.

Zobaczyła jednak kogoś innego— tego mężczyznę z nosem jak kartofel, który nachodził ją wraz z dwoma innymi towarzyszami, aby odebrać dług wuja Jamesa. Tamci dwaj też byli w środku; trzymali się blisko siebie, jak bracia syjamscy.

Podeszła bliżej do okna, żeby słyszeć wyraźniej.

Przemawiał mężczyzna z nosem jak kartofel; reszta ustawiła się w półkole.

— Mówię wam, chłopcy — miał wyraźny irlandzki akcent — możemy zapobiec klęsce głodu i uwolnić Irlandię! Potrzebujemy jedynie funduszy. Wrzucajcie pieniądze do kapelusza i bądźcie hojni, bo oni tam głodują.

Każdy sięgał do kieszeni, aby wrzucić coś do kapelusza, choć byli to ludzie, którzy sami wyglądali tak, jakby potrzebowali pomocy i zupełnie nie mieli się czym dzielić.

Osobnik z kartoflanym nosem uśmiechał się, kiwał głową, zachęcał gestem do wpłacania datków.

I oni wpłacali.

Celia była pewna, że człowiek ten nie miał irlandzkiego akcentu, kiedy przychodził do niej do domu. Ani on, ani jego towarzysze.

JUDITH O'BRIEN

— Czy mogę zabrać głos? — spytał ktoś autorytatywnym, tak dobrze jej znanym tonem.

Przeraziła się. Co Brendan chce zrobić?

Wstrzymała oddech. Przetarła kawałek szyby, aby lepiej widzieć.

Zachęcono go do wystąpienia i Brendan zaczął przeciskać się do przodu. Celia zobaczyła, że z twarzy Kartoflanego Nosa znika uśmiech. Ale po chwili stał się on jeszcze bardziej promienny, kiedy Brendan znalazł się koło niego. Posunął się nawet do tego, że poklepał Brendana po plecach, co zostało skwitowane morderczym spojrzeniem.

— Przyjaciele. Nazywam się Brendan O’Neal. Pochodzę z Dublina.

Wszyscy przyjęli tę wiadomość z aplauzem.

— Zgadzam się ze wszystkim, co zostało tu powiedziane. Sytuacja w Irlandii jest rzeczywiście okropna. Dotknęła ją niewyobrażalna klęska głodu. Zgadzam się również z tym, że wolna Irlandia byłaby lepszą Irlandią.

Rozległ się ponownie szmer zadowolenia, a Kartoflany Nos skinął potakująco głową. Trudno było zgadnąć, czy to był wyraz zgody, czy ulgi.

— Ale, panowie — mówił dalej Brendan — czy wiemy, gdzie idą te nasze ciężko zarobione pieniądze?

Zapanowała cisza, którą przerwał mówca z kartoflanym nosem.

— Może pan być spokojny, mój przyjacielu, że idą tam, gdzie są potrzebne.

— Do kieszeni pana szefa? — zaatakował Brendan. Rozległy się głośnie szepty t—
Oczywiście, że nie. Idą wprost do Irlandii. Dojdą

Medium tam akurat na Boże Narodzenie. Pomyśleć tylko o tych szczęśliwych twarzyczkach dzieci...

— W jaki sposób tam dotrą?

— Słucham?

— Te fundusze. A poza tym, jaki pożytek będą mieli w Irlandii z tych pieniędzy? Tam potrzeba żywności, podstawowych artykułów. Pieniądze nie mają wartości tam, gdzie nie można niczego kupić.

— No tak, ale musi pan zrozumieć, że to wszystko jest bardzo skomplikowane. — Kartoflany Nos uśmiechał się niewyraźnie.

— Zdaję sobie z tego sprawę, ale ponawiam pytanie. W jaki sposób te fundusze dotrą do

Irlandii?

— No jak to. Statkiem, oczywiście. Jakby inaczej?

— Teraz jest koniec listopada, proszę pana — powiedział Brendan. — Do wiosny żaden statek nie wypłynie na Atlantyk.

Zapanowała absolutna cisza.

— Mamy specjalną jednostkę, rozumie pan... — Irlandzki akcent gdzieś zniknął.

— To fascynujące — zauważył się Brendan. — A z jakiej części Irlandii pan pochodzi?

— No więc, dużo podróżowaliśmy, kiedy byłem małym chłopcem. Mogę powiedzieć, że jestem obywatelem Irlandii, wyspy bez granic, bez względu na to, czy jest mi dane przycisnąć do serca tę cudną ziemię.

Nadal panowała cisza, chociaż normalnie po tej deklaracji zawsze zrywały się brawa.

— Z jakiego hrabstwa pochodzi pana rodzina? — Brendan nie dawał za wygraną.

— Moja rodzina? Oni też podróżowali. Po całym kraju.

JUDITH O'BRIEN

Tak kochaliśmy Irlandię, że zawsze szukaliśmy najpiękniejszych potoków, najbardziej zielonych wzgórz i najurodziwszych dziewczyn.

Znowu nie słyhać było żadnego aplauzu.

— W jakim hrabstwie się pan urodził? Z tej okazji pana matka na pewno przez dłuższy czas musiała pozostać w jednym miejscu.

Kilku mężczyzn roześmiało się; zdezorientowana reszta trwała w milczeniu.

— Urodziłem się w hrabstwie Clare — wykrztusił wreszcie Kartoflany Nos.

— Tak? Jak nazywało się najbliższe miasto? j

— Nie pamiętam. Byłem małym chłopcem. | Nikt się nie roześmiał. 5 Brendan przypatrywał mu się przez chwilę, potem j zwrócił się do zgromadzonych. I

— Panowie. Ten człowiek nazywa się Cyrus Fuller, chociaż ma również wiele innych pseudonimów. Urodził się wśród zielonych wzgórz Pensylwanii i jest na usługach pewnego deputowanego, którego nazwiska nie będę teraz wymieniał. Panowie, ten człowiek, który tu stoi przed wami, jest złodziejem. Miałem z nim ostatnio do czynienia, kiedy usiłował

wymusić na samotnej kobiecie oddanie dużej pożyczki. Groził jej brutalnie, chciał posunąć się nawet do użycia siły, przy pomocy, obecnych na tej sali, swoich dwóch kompanów. Biedna kobieta żyła w ciągłym strachu. Dlaczego? Uważała, że musi zdobyć pieniądze na pożyczkę, która już raz, dawno temu, została spłacona przez jej zmarłego wuja.

Celia nie spuszczała wzroku z mężczyzny nazwanego przez Brendana Fullerem.

Medium

— Protestuję! — odezwał się Kartoflany Nos.

„■” — Zaczekaj, Cyrusie. Sprawa Irlandii zbytnio nam wszystkim leży na sercu, abyśmy mogli pozwolić, żeby korzystał na tym zwykły oszust, ze złym irlandzkim akcentem. Musimy się wszyscy zorganizować. Fundusze są niewątpliwie ważne, ale najważniejsza jest jedność.

— Jak możemy panu zaufać?! — krzyknął ktoś z tłumu. Rozległ się potakujący szmer. Wszyscy wpatrywali się nieprzyjaznym wzrokiem w mężczyznę z nosem jak kartofel, który był coraz bardziej speszony. Jego dwaj towarzysze już wcześniej się ulotnili.

— Jak możecie mi zaufać? Nie wiem. Musicie sami o tym zdecydować. Jestem właścicielem Transportu Morskiego O’Neala, największego przedsiębiorstwa tego typu w Londynie i Dublinie, a wkrótce również w Nowym Jorku. Potrzebuję ludzi do pracy. Dobrze zapłacę, jestem uczciwym pracodawcą. Ale wracając do sprawy, uważam, że powinniśmy spotykać się w miejscach publicznych, za zgodą władz miasta. Nie mamy nic do ukrycia. Nie będę zbierał pieniędzy do kapelusza, będziemy natomiast współpracować z kupcami i politykami, aby Irlandia jak najszybciej otrzymała pomoc.

Na sali zapanowało podniecenie, które udzieliło się również stojącej za oknem Celi.

Nawet nie usłyszała zbliżających się kroków.

18 ***** dostała powalona na ziemię, twarzą w trawę, pozbawiona tchu.

Zamroczone, słyszała jeszcze donośny głos Brendana, entuzjastyczny odzew zgromadzonych ludzi, ich wesołe okrzyki. Ale to wszystko docierało do niej jakby z oddali.

Ktoś ją przygniatał całym swoim ciężarem.

— Proszę... — Ledwie mogła wydobyć głos. Przewrócił ją na plecy i nadal mocno

trzymał.

— Patryk?! — Widziała go teraz wyraźnie. — Tak się cieszę, że to ty! Wystraszyłam się, ale...

— Teraz wyglądasz tak samo jak ona.

— O kim mówisz?

— O Amandzie.

Przytrzymał jej rękę, jego kolano prawie wbijało się jej w bok.

— Skąd znałeś Amandę?

— Ja ją kochałem.

Medium

Dobry Boże, pomyślała. Usiłowała uśmiechnąć się do niego.

— Kochałeś Amandę?

— Tak! — Uniósł ją lekko i z powrotem obalił na ziemię.

— Jak... — Celia nie dokończyła. Tak strasznie bolały ją ręce, które coraz mocniej ścisnął.

— W ten sam sposób, Celio. Zaglądała przez okno, żeby podejrzeć Garricka. Tak samo jak ty przed chwilą patrzyłaś na Brendaną. Jesteście nawet jednakowo ubrane.

— Rozmawiałeś z nią?— Celia miała ochotę płakać z bólu.

— Tak. Na początku była miła i słodka, bardzo chciała pomóc naszej sprawie. Rozumiesz, zależało nam na ich pieniądzach. Ale potem ten mazgaj Anglik wystraszył się. Uważał, że coś jest nie w porządku. Amanda też tak myślała. Wiesz, co on chciał zrobić?

— Nie.

— Chciał założyć swój własny fundusz pomocy Irlandii. Tylko po to, żeby zrobić jej przyjemność! Ale to by zepsuło nasz interes, rozumiesz? Oni by mieli po swojej stronie tych wszystkich bogatych i ustosunkowanych ludzi. Posłano mnie, żebym ich ostrzegł. A właściwie, jego. Miałem nadzieję, że on umrze.

— Dlaczego? Dlaczego miałbyś komuś życzyć śmierci, Patryku?

— Bo wtedy mógłbym być z Amandą. Wtedy moglibyśmy być razem, tak jak powinno

być. Ale ona powiedziała mi coś strasznego. Coś strasznego.

— Co takiego?

— Że kocha swojego męża. Powiedziała mi to prosto

w oczy, kiedy przyniosłem jej wieczorny bukiet kwiatów. Tak zawsze robiłem. Poranny bukiet i wieczorny bukiet. Wtedy powiedziała, żebym tego więcej nie robił. Kiedy spytałem dlaczego, powiedziała, że kocha swojego męża. Celi wydało się, że o niej zapomniał.

— Miałem zamiar go zabić, ale kiedy ona umarła, dałem sobie spokój. To było prawie tak samo dobre. Garnek zresztą też wkrótce umrze.

— Tak?

Na twarzy Patryka ukazał się upiorny grymas.

— Opium. To wcale nie było trudne. On jest słabym facetem. Kiedy po śmierci Amandy został sam, dałem mu spróbować opium. Nigdy nie widziałem, żeby kogoś tak wzięło! Raz się rozplakał i powiedział, że kiedy jest oszołomiony, to łatwiej mu znieść rozpacz.

Mimo potwornego bólu rąk, Celię ogarnęło współczucie. Biedny Garrick. To tłumaczyło wszystko, bałagan w księgach, jego dziwne zachowanie.

— Wczoraj wieczór próbowałem go zabić. Nie do końca mi się jednak udało.

Nie musiała pytać, o kim mówił. Przez jej głowę przemknęła tylko myśl, że Brendan cudem uniknął śmierci.

— Potem będziemy razem.

Musiała coś zrobić. Natychmiast. Najlepiej będzie pozwolić mu mówić.

— A kiedy pojawiła się u nas Amanda? Nie bałeś się, że będzie na ciebie zła?

Rozciągnął usta w kpiącym uśmiechu. ; — Nie. Nie rozumiesz? Ona przysłała, żeby mnie zo—

Medium baczyć! Nie mogła się ode mnie oddalić nawet po śmierci. Tak jest lepiej. Wiesz, tak jest o wiele lepiej.

Gorączkowo szukając sposobu ucieczki, Celia chciała odepchnąć Patryka kolanem, ale

leżała zaplątana w suknię i nie mogła nic zrobić.

Na jego twarzy ukazał się znów ten ohydny grymas. Z coraz większą siłą przygniatał ją do ziemi. Chciał mieć wolne dłonie

— No to już, Celio — powiedział miłym głosem. — Teraz wszystko sama zobaczysz. Pomyśl tylko, czeka na ciebie przyjaciółka. Będziemy zawsze razem, ty, Amanda i ja.

Zacisnął ręce na jej gardle.

Nie! Chciała krzyknąć, ale nie była w stanie wydobyć głosu. Po chwili nie mogła już nawet oddychać.

Walczyła, ale była to przegrana walka. Zobaczyła skrawek domu i okno, przez które obserwowała Brendana.

Ale jemu nic się nie stanie, pomyślała.

Miała wrażenie, że pękną jej płuca. Słyszała wyraźnie jakieś charczenie.

Ale Brendanowi nic się nie stanie.

Kiedy już zaczynała tracić świadomość, usłyszała jakiś nieludzki krzyk.

— Nie!

Poczuła, że znika ciężar, który przygniatał ją do ziemi. Prawie nic nie widziała, z trudem unosząc powieki.

— Celio? Pani O’Neal?

Poznała ten głos. Chciała wymówić jego imię, powiedzieć: Garnek, ale nie mogła wydobyć głosu.

Wiedziała, że obok toczy się bójka. Słyszała głucho uderzenia pięści.

JUDITH O’BIEN

Nagle znalazła się w objęciach bardzo dużego i bardzo silnego mężczyzny. Przytulał ją do piersi, słyszała, jak wali mu serce.

— Celio, o Boże! Powiedz mi, że nie jest za późno. Nie mogła mówić, ale przynajmniej zdołała otworzyć oczy, a wtedy on przycisnął ją jeszcze mocniej do siebie.

Widziała, że jacyś ludzie zabierają Patryka, że wszyscy się rozchodzą.

Garrick stał oparty o pień drzewa.

Brendan pochylił się i zajął jej w oczy.

— Dziękuję ci, Garricku — powiedział. — Gdybyś nie przyszedł akurat w tym momencie i nie ściągnął mnie z tej cholernej mównicy...

— To Amanda— wymamrotał Garrick, który jeszcze nie mógł dojść do siebie. — Przyszła do mnie. Powiedziała, gdzie mam iść. Jak bym mógł bez niej odnaleźć to miejsce?

— Wiem — uspokajał go Brendan, jednocześnie gładząc Celię po głowie. — Wiem.

Nagle Celia poczuła zapach perfum.

— Brendan? — wychrypiła z trudem.

Amanda pojawiła się nagle i stanęła przed nimi. Jej ciało nie było już powykręcane. Była tetfaz zwiastunką miłości i pokoju.

— Amando! — Garrick zaszlochał.

Uśmiechnęła się. *Będziesz jeszcze szczęśliwy, Garricku. Ja ciebie naprawdę kochałam. Znajdziesz jeszcze miłość, bo na nią zasługujesz.*

Potem spojrzała na Brendana.

— Dziękuję ci — powiedział do swojej siostry. I nic więcej.

Celia chciała coś powiedzieć, ale Brendan tSrzyBiał ją mocno w objęciach, osłaniając siłą swojej miłości.

— Och, Amando — powtórzył Garnek.

Zjawa już rozpływała się w powietrzu. *Do widzenia*, dobiegły ich jeszcze jej słowa. *Nie roztrwońcie miłości.*

Kiedy Amanda zniknęła, Celia usiłowała coś powiedzieć.

— To było w liście mojego wuja — szepnęła.

Ale nikt nie zrozumiał jej szeptu. Powtórzyła więc wyraźniejszym głosem:

— To napisał mój wuj.

Brendan popatrzył na nią z uśmiechem.

— Twój wuj napisał „nie roztrwoń miłości”? Skinęła głową.

— To jest również wygrawerowane na twojej obrączce, Celio. Należała kiedyś do mojej matki.

Szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia, więc potakująco skinęła głową. Potem pocałował

jej włosy. To było cudowne uczucie.

— I nie roztrwonimy — dodał.

Garrick wrócił do swojego hotelu, a Celia i Brendan pojechali do pensjonatu.

Kiedy wnosił ją na górę, nie protestowała. Spoczywała szczęśliwa w jego ramionach.

Epilog

Powietrze było chłodne, mimo wiosennego słońca.

Celia stała na pokładzie statku, otulona kocem, z filiżanką gorącej herbaty w ręku. Patrzyła na morze, które zlewało się z niebem na horyzoncie. Wydawało się jej, że nie istnieje na świecie nic poza niebem, falami i morzem.

Poczuła, że obejmuje ją czule silne ramię.

— Za parę godzin zobaczymy zachodnie brzegi Irlandii — powiedział.

— Nie mogę się tego doczekać. — Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Czy już lepiej się czujesz, kochanie? — Położył jej rękę na brzuchu. Dziecko miało przyjść na świat w zamku Sitric, za kilka miesięcy. — Pokażę ci zaczarowany krąg — powiedział.

— Znowu wierzysz w zaczarowane kręgi?

— Tak. — Przytulił ją do siebie. — Może zawsze w nie wierzyłem, tylko o tym nie pamiętałem. Nie wiedziałem, w której kolumnie je umieścić. Teraz znalazły swoje stałe miejsce w kolumnie „Co wiem”.

Garrick, zielony na twarzy, ukazał się na pokładzie.

— Czy już się zbliżamy? — Uchwycił się barierki, balansując całym ciałem w przeciwnym kierunku niż ruchy statku. — Kiedy wreszcie skończy się to piekielne kołysanie?

— Nieprędko — Brendan uśmiechnął się do Celi. Płyniemy teraz do Afryki Południowej.

— To wcale nie jest śmieszne — powiedział Garrick, dziwnie wydymając policzki. Obrócił się w miejscu i szybko zniknął z pokładu.

— Biedny Garrick — powiedzieli jednocześnie. Załoga zajęta była teraz żaglami i linami. Byli to przeważnie Irlandczycy, członkowie Bractwa Irlandzkiego. W ładowniach, oprócz innych towarów, wieziono, przeznaczoną do rozdania, żywność oraz nasiona zbóż, odpowiednie dla niezbyt żyznej irlandzkiej gleby.

— Mam nadzieję, że już mnie nie znajdą.

Nie musiała mu tłumaczyć, kogo ma na myśli.

Po tej okropnej nocy, kiedy odbywało się tajemne zebranie Bractwa, na Washington Square pojawiły się jeszcze większe tłumy. A Celia O'Neal znowu wystąpiła w charakterze oszustki.

Nie wydarzyło się już nic niezwykłego. Amanda nie pojawiła się, chociaż Garrick błagał o to na kolanach. Powoli zdołał jednak odzyskać równowagę. Uzależnienie od opium było wyjątkowo silne, ale w końcu przestał być niewolnikiem tego narkotyku. Wyglądał też znacznie lepiej, dopóki nie wsiadł na statek.

— Nie znajdują cię, Celio. Już ja się tym zająłem.

— W jaki sposób? Biedna ciotka Prudence liczy na to, że w Irlandii otworzymy nowy salon spirytystyczny.

— Biedna ciotka Prudence jest tak zainteresowana swoją świeżo otrzymaną fortuną, że myśli tylko o najnowszej modzie paryskiej. — Roześmiał się i zaraz dodał poważnym tonem. — To niezwykle z twojej strony, Celio.

— Zasługiwała na to. Na mój spadek i na pieniądze, które mi zapłaciłeś za pomoc Gamckowi. Jej jest to bardziej potrzebne niż mnie.

— Mimo że tak okropnie się zachowywała w stosunku do ciebie?

— Brendanie, ona to robiła ze strachu. Właśnie ty powinienesz to zrozumieć.

— Ach, tak?

— Ale co zrobiłeś, żeby mi dali spokój?

— Pamiętasz ten papier, który ci dałem do podpisania?

— Ten, w którym stwierdziłam własnym podpisem, że jestem bezczelną oszustką?

— Właśnie ten.

— Co z nim zrobiłeś?

— Wydaje mi się, że już teraz abonenci najbardziej szacownej gazety w Nowym Jorku upajają się każdym słowem tego dokumentu.

— Posłałeś go do „New York Post”?

Potakująco skinął głową. Celia początkowo zarumieniła się ze wstydu, ale po chwili już się uśmiechała.

— To było jedyne wyjście, Celio.

— Wiem.

Wziął filiżankę z jej ręki i postawił na pokładzie.

— Jak się czujesz, kochanie?

— Doskonale. — Westchnęła. — Codziennie czuję się jak pełna radosnych oczekiwań panna młoda. To jest wspaniałe.

— Obyś tak się czuła zawsze, moja ukochana.

Wtedy, w objęciach męża, zobaczyła po raz pierwszy jasną zielenią irlandzkich brzegów. Mogła się tylko domyślać, ile szczęśliwych, zaczarowanych kręgów odnajdzie na tej ziemi.